

J 265.736

BIBLIOTEKA SŁOWIAŃSKA

KAROL ČAPEK

BOŽA MEKA

60

WARSZAWA — 1927
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Wydano z dubletów
Biblioteki Gf. U. M. K.

Rej. No 2970.

BOŽA MEKA

BIBLIOTEKA SŁOWIAŃSKA
W PRZEKŁADACH
STANISŁAWA ALBERTI

TOM 3.

WARSZAWA — 1927
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

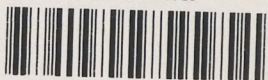
KAROL ČAPEK

BOŽA MEČKA

WARSZAWA — 1927

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001002436121

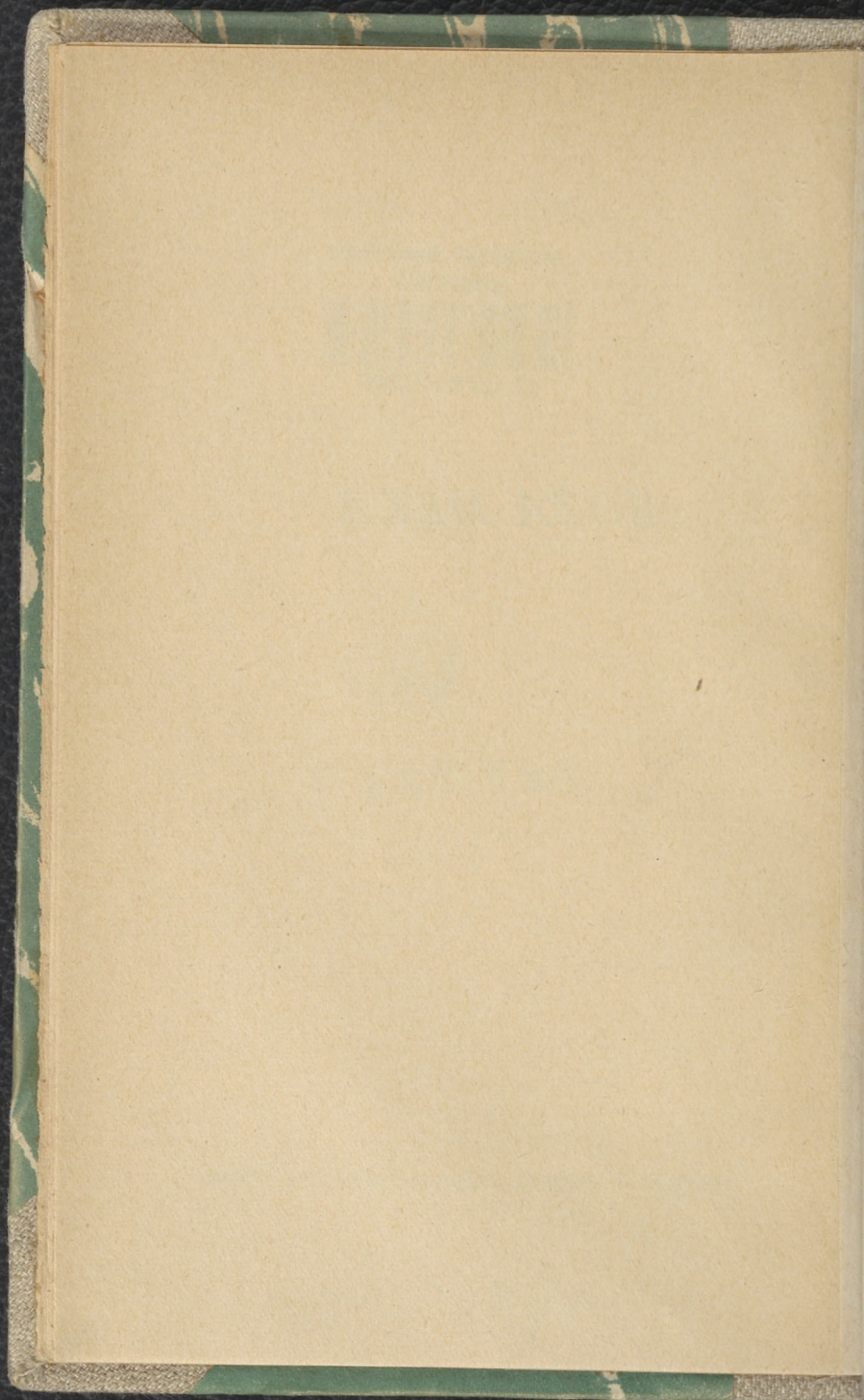


I 265.736

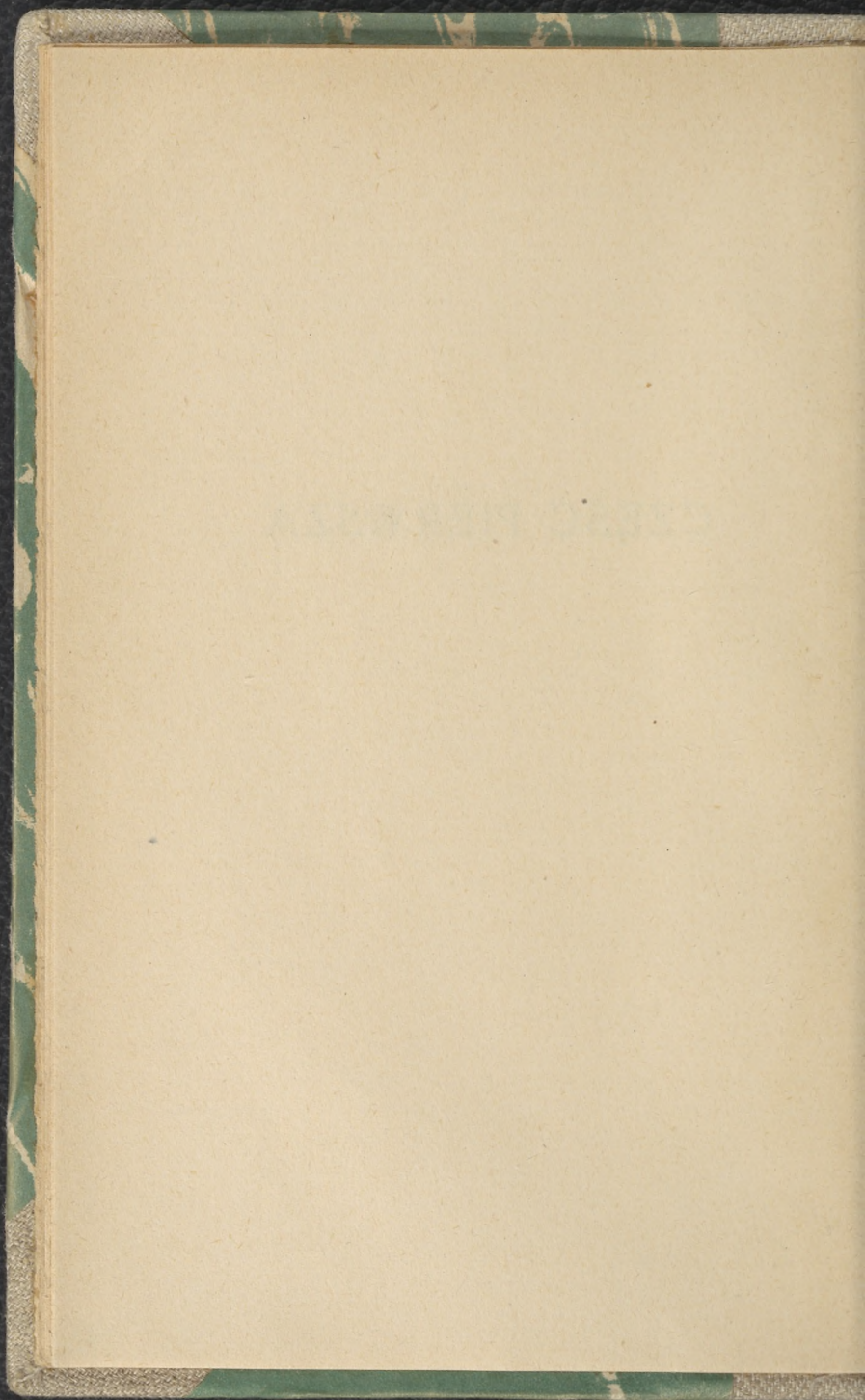
ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE

1964W1523/7

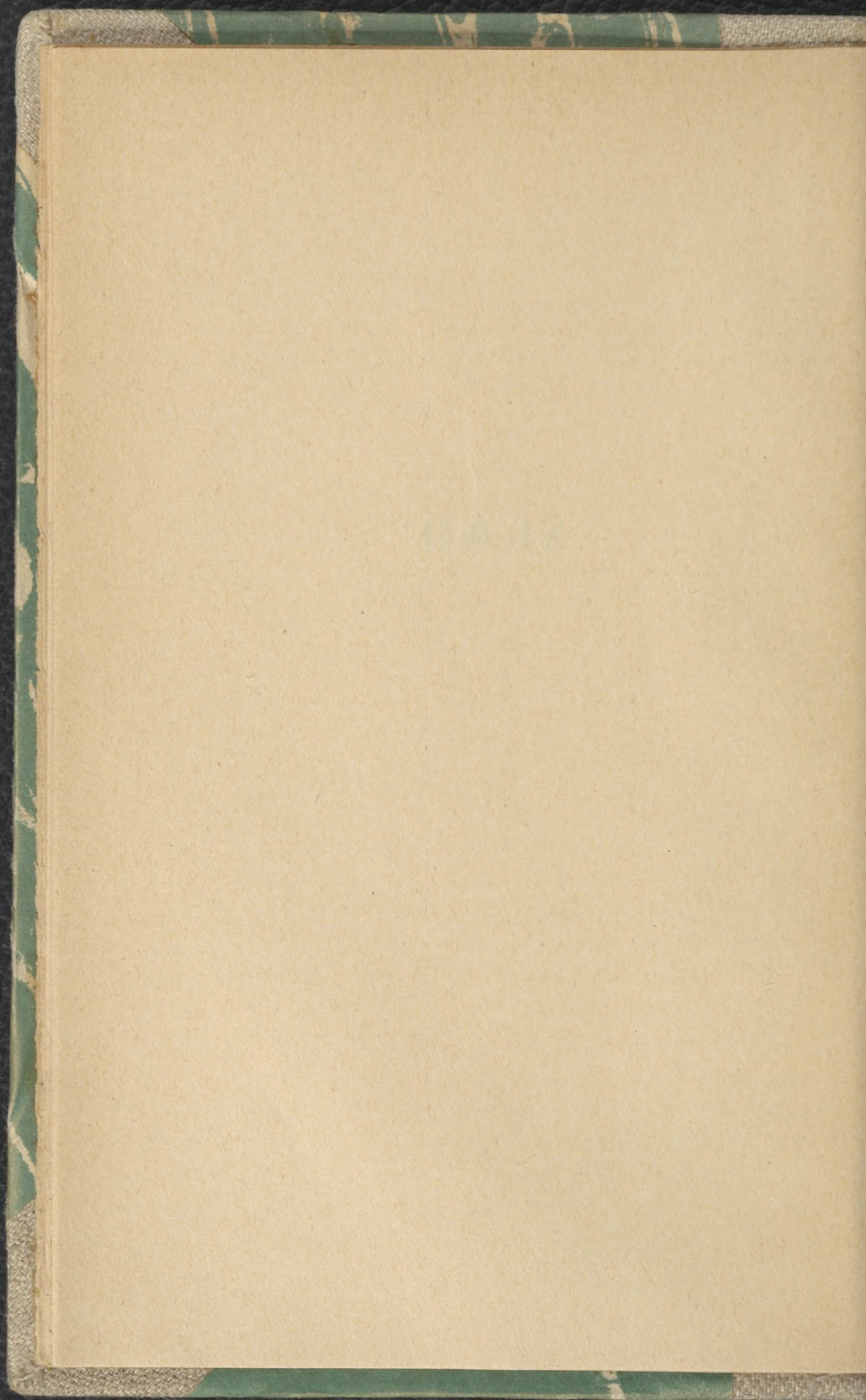
BOŽA MEKA



CZĘŚĆ PIERWSZA



ŠLAD



Nieskończenie cicho padał śnieg na zamarniętą okolicę.

— Ze śniegiem zawsze pada cisza — myślał sobie Boura, ukryty w jakiejś szopie i było mu równocześnie uroczyście i tęskno, gdyż czuł się osamotniony w szerokiej przestrzeni.

Ziemia przed jego oczyma upraszczała się, jednoczyła i rozszerzała zarazem, wyrównana w białe fale i nieporożona żadnymi śladami życia.

Wkońcu rzedniał i ustawał ten taniec śniegowych płatków — jedyny ruch w tej uroczyściej ciszy.

Wahając się, podróżny wsuwa nogi w nieodknięty śnieg i tak mu dziwnie, że on pierwszy naznaczy okolicę długim rzędem swych kroków.

Ale oto naprzeciw — gościńcem — idzie ktoś czarny i w szaty szczelnie zatulony; dwa łańcuszki kroków pobiegną obok siebie, skrzyżują się i na tej czystej, niepokalanej tablicy, zostawią ślady ludzkiej bytności.

Ale ten, który idzie naprzeciw staje. Ma uszronione wąsy i z uwagą spogląda na coś, na boku gościńca.

Boura zwolnił kroku. Patrzył w kierunku

oczu nieznanajomego. Oba łańcuszki zetknęły się i przystały obok siebie.

— Czy widzi pan ten oto ślad? — odezwał się zaśnieżony mężczyzna, wskazując na wgłębienie, oddalone o jakieś sześć metrów od skraju gościńca na którym stali.

— Widzę. To jest ludzki ślad.

— Tak. Ale skąd się tam wziął?

— Ktoś szedł tędy — chciał odpowiedzieć Boura, ale wstrzymał się, gdyż ślad ten był jedynym na całym polu. Przed nim ani za nim nie było żadnego innego śladu ludzkich kroków.

Na białej płaszczyźnie ten jedyny ślad odcinał się ostro i jasno. Był samotny. Nic nie prowadziło ani do niego, ani od niego.

— Skąd się mógł tam wziąć? — patrzył na niego i chciał podejść bliżej.

— Proszę zaczekać — wstrzymał go drugi — wyciśnie pan dookoła szereg śladów i wszystko pan zatrze. To się musi wyjaśnić — dodał podniecony — to być nie może, aby gdzieś był tylko jeden ślad.

Przypuśćmy, że ktoś skoczył stąd na pole; wtedy — to jest możliwe — przed nim nie byłoby kroków. Ale kto skoczyłby tak daleko i czy mógłby skoczyć tylko na jedną nogę? czyby mógł ustać? Przecie straciłby równowagę i musiałby się oprzeć gdzieś drugą nogą.

Sądze, że wówczas ubiegłby nieco wprzód tak jak wtedy, gdy się wyskakuje z jadącego tramwaju. Ale tu nigdzie niema śladu drugiej nogi.

— To jest bezsens — odezwał się Boura — bo gdyby skoczył stąd, z gościńca — musiałyby być tu jego ślady. Ale tutaj niema innych, prócz naszych. Przed nami nikt tędy nie szedł.

— Ślad zwrócony jest piętą do drogi, kto go zostawił szedł zatem w tym kierunku. Gdyby szedł do wsi, musiałby iść w prawo. W tej stronie są tylko pola. A czegoż — do djabła? — ktoś teraz po polach szuka?

— Niech pan pozwoli. Kto tam stąpił, musiał przecież znowu gdzieś odejść. Ale ja twierdzę, że wogóle nie odszedł, gdyż nie zrobił żadnych kroków. To jest jasne. Nikt tędy nie szedł. Ten ślad domaga się innego wyświe-tlenia.

Boura zaczął przemyśliwać głęboko:

— Może tam było w glinie naturalne wgłębienie, albo ślad w zamarznietem błocie i może do nich napadał śnieg? Albo — to o wiele prawdopodobniejsze — stał tam jakiś stary, porzucony bucik i porwał go przypuszczalnie z pod śniegu ptak? Wtedy mogłoby pozostać nie przysypane śniegiem wgłębienie, podobne do śladu. Musimy rozważyć wszystkie naturalne prawdopodobieństwa.

— Gdyby tam stał bucik już przed zamie-

cia, zostałyby pod nim czarna ziemia. Ale ja tam widzę śnieg.

— Może ten ptak porwał bucik, gdy jeszcze śnieg padał, albo upuścił go w czasie lotu na śnieg i znowu podniósł. To nie może być inny ślad!

— Czy ten pański ptak pożera buty? Czy może ściele sobie w nich gniazdo? Mały ptaszek bucika nie podniesie, a wielki — gdyby go chciał porwać na gniazdo — czyż zmieści się do niego?

Trzeba tę zagadkę rozwiązać inaczej. Ja sądzę, że to jest ślad! A jeżeli nie przyszedł tu z ziemi, musiał przyjść z góry. Pan sądzi, że to zrobił ptak, ale może być, że to zeszło choćby z — — — balonu. Może ktoś uczepił się balonu i jedną nogą wstąpił w śnieg, aby wystrychnąć świat na dudka. Niech się pan nie śmieje, mnie samemu jest nieprzyjemnie, gdy tłumaczę to powodami tak nienaturalnymi, ale — — —

Byłbym zadowolony, gdyby to nie był ślad. I obaj zbliżyli się do niego.

Okoliczności nie mogły być jaśniejsze.

Od rowu — wzdłuż gościńca — łagodnie wznosiło się niezorane, zaśnieżone pole. Mniej więcej w pośrodku znajdował się ten ślad, a za nim stało niewielkie, gęsto ośnieżone drzewko. Przestrzeń między gościńcem a śladem była

niepokalana. Powierzchnia śniegu nie była nigdzie naruszona. Śnieg był miękki i zbity i nie tak sypki, jak w czasie wielkich mrozów.

Był to doprawdy ślad.

Odcisk wielkiego bucika amerykańskiego fasonu z bardzo szeroką podeszwą i pięcioma silnymi ćwiekami na obcasie.

Śnieg był stłoczony i na powierzchni odcisku nie było świeżych płatków: ślad powstał więc dopiero wtedy, gdy już śnieg przestał padać.

Odcisk był głęboki i energiczny. Ciężar spoczywający na tej podeszwie musiał być o wiele większy, aniżeli waga kogoś z mężczyzn, nachylonych nad śladem.

W milczeniu odpadło prawdopodobieństwo przylotu ptaka i porwania bucika.

W górze — nad śladem — rozciągały się w powietrzu skrajne gałązki drzewa: kilka cienkich gałązeczek, przysypanych śniegiem, który w żadnym miejscu nie był strząśnięty.

Przy lekkim wstrząśnieniu gałązką spadały całe płaty śniegu.

Hipoteza „z góry“ bezwzględnie odpadła.

Nie można było niczego uczynić „z góry“ bez strząśnięcia śniegu z drzewa.

Rzeczywistość śladu nabrała twardej i nagiej wyrazistości.

Za śladem rozciągała się niepokalana, śniegowa płaszczyna.

Szli stokiem i wydostali się na wierzchołek pagórka. Znowu zniżala się wdół nietknięta, biała pochyłość, a za nią wyrastała nowa, jeszcze rozleglejsza i jeszcze bielsza.

Na kilka kilometrów wokoło nie było żadnego, innego śladu.

Wracali z powrotem.

Znaleźli podwójny łańcuch swych kroków, prawidłowy i piękny, jakby tak był zrobiony umyślnie.

Ale między oboma łańcuchami — w pośrodku wydeptanego koła — był ślad innej, potężniejszej nogi, wprost cyniczny w swem osamotnieniu.

Coś ich powstrzymywało, aby go nie zatarli i nie pozbyli się w cichej zgodzie myśli o nim.

Wyczerpany i zmęczony usiadł Boura na przydrożnym kamieniu.

— Ktoś zadrwił sobie z nas.

— To haniebne — odezwał się drugi — jest to strasznie twardy orzech do zgryzienia, ale — — — Psiakrew! tu są fizyczne granice. Przecież to wogóle niemożliwe — — —

Niech pan słuca — wybuchnął szybko i ze strachem — gdy tam jest tylko ślad jednej nogi, czyż nie zostawił go jakiś człowiek o jednej nodze?

Niech się pan nie śmieje. Ja sam wiem, że to głupstwo, ale przecież musi być jakieś wytłómaczenie.

Tu chodzi o rozum! To jest jakaś zaczepka! Jestem zupełnie zbałamucony. Albo jesteśmy obaj głupcami, albo znajduję się teraz w domu i śnię w gorące, albo musi być jakieś naturalne wyjaśnienie.

— Obaj jesteśmy głupcami — powiedział Boura w zamyśleniu — ustawicznie szukamy „naturalnego“ wytłómaczenia. Chwytamy się najbardziej skomplikowanych, najbardziej nieprawdopodobnych i najgwałtowniejszych przyczyn dlatego, że są „naturalne“.

A może byłoby daleko łatwiejszą rzeczą i naturalniejszą, gdybyśmy powiedzieli, że to jest poprostu cud. Wtedy popatrzylibyśmy tylko na ślad i poszli swoją drogą. Bez wewnętrznego zamieszania, a może nawet uspokojeni.

— A jabym nie uspokoił się. Gdyby z powodu tego śladu stało się coś wielkiego — — Gdyby się komuś zdarzyło coś dobrego — — wówczas sam padłbym na kolana i krzychałbym: cud. Ale przecież ten ślad to przykra, to strasznie bagatelna rzecz! Ktoś pozostawił jeden tylko ślad, zamiast zwyczajnego dwurzędu!

— Gdyby ktoś przed oczyma pana wskrzesił martwą dziewczynę, ukłęknałby pan i uko-



rzył się. Ale zanim śnieg stajałby pod kolana-
mi pana — przestałby pan wierzyć w cud i po-
myślałby, że śmierć była tylko pozorna. Tu
właśnie niema nic pozornego. Tutaj — przy-
puśćmy — zdarzył się cud w najbardziej
uproszczonych warunkach, w takich, w ja-
kich się robi fizyczny eksperyment.

— Możebym nawet nie uwierzył w to wskrze-
szenie — prawda! — ale i ja chcę być zba-
wiony i czekam na cud — — — na coś, co
przyjdzie i odmieni moje życie. Ten ślad ani
mnie nie nawróci, ani nie zbawi, ani z niczego
mnie nie wywiedzie. Dręczy mnie tylko. Nie
mogę się pozbyć myśli o nim. Ale ja mu nie
wierzę. Cud zaspokoiłby mnie, ale ten ślad
jest tylko pierwszym krokiem do niepewności.
Byłoby lepiej, gdybym go był nie zauważył.

Obaj milczeli długo.

Znów zaczął sypać śnieg — coraz gęstszy.

— Przypominam sobie — zaczął Boura —
tak! u Hume'a czytałem również o samotnym
śladzie w piasku. Więc ten — nie jest pierw-
szy. Sądzę, że naliczyć moglibyśmy ich ty-
siące, ale niezmiernie jest mało takich, które
nas nie dziwią, gdyż jesteśmy przyzwyczajeni
do pewnych prawideł. Ktoś inny nie zwróciłby
może nawet na taki ślad uwagi, nie uderzy-
łoby go to, że jest samotny i nie pomyślałby,

że są na świecie rzeczy, które się nie zaczynają i nie kończą.

Niech pan spojrzy, wszystkie nasze ślady są jednakowe, ale ten samotny jest o wiele większy i głębszy, aniżeli nasze.

A gdy zastanawiam się nad mojem życiem, zdaje się mi, że dostrzegam w niem — — — kroki, które nikąd i nigdzie nie prowadzą.

Jest bardzo zawiła sprawa, jeżeli ktoś chce uważać wszystkie swoje przeżycia za ogniwa w łańcuchu, który ma początek i koniec.

Czasami jednak zdarza się, że nagle uprzymnimy sobie, albo odczujemy coś takiego, czego przedtem nigdy nie było, nie było, nie było! i czego nigdy być nie może.

Są ludzkie sprawy, które się z niczem nie wiążą i zawsze wykazują swoje osamotnienie. Znam sprawy, które nie rozwinęły się dalej, które nikogo nie zbawiły, a przecie — — — Zdarzały się wypadki, które nie prowadziły już dalej i nie mogły się już rozwijać — a jednak były to może najważniejsze przejścia w życiu.

Czy nie uderzyło to pana, że ten samotny ślad jest daleko piękniejszy od wszystkich innych, które pan dotąd widział?

— A ja przypomniałem sobie — odezwał się drugi — siedmiomilowe buty. Może kiedyś ludzie znaleźli również taki ślad i nie potrafili

go sobie inaczej wytłómaczyć? Kto wie? Może poprzednie kroki są w Pardubicach i Kolinie, a następne aż w Rakowniku? Ale również mogę sądzić, że dalszy krok nie jest już odciśnięty w śniegu samotnie — ale może gdzieś w gromadzie, gdzieś — gdzie się coś stało, albo stanie. Mogę sądzić, że ślad ten jest ogniwem jakiegoś powiązanego łańcucha kroków, ma się rozumieć łańcuchem takich dziwów, w których ten ślad ma swoje naturalne miejsce.

Gdybyśmy mieli gazety, posiadające doskonałe informacje, być może, że moglibyśmy w kronice znaleźć wiadomość o dalszych krokach i udać się za ich śladami. Może to jakieś bóstwo daży swoją drogą. Idzie bez inkoherencji i posuwa się szybko. Może jego wędrówka jest jakimś wezwaniem, jakimś dowództwem, pod które mamy się garnać.

Wtedy moglibyśmy iść krok za krokiem drogą bóstwa. A może byłaby to droga zbawienia!

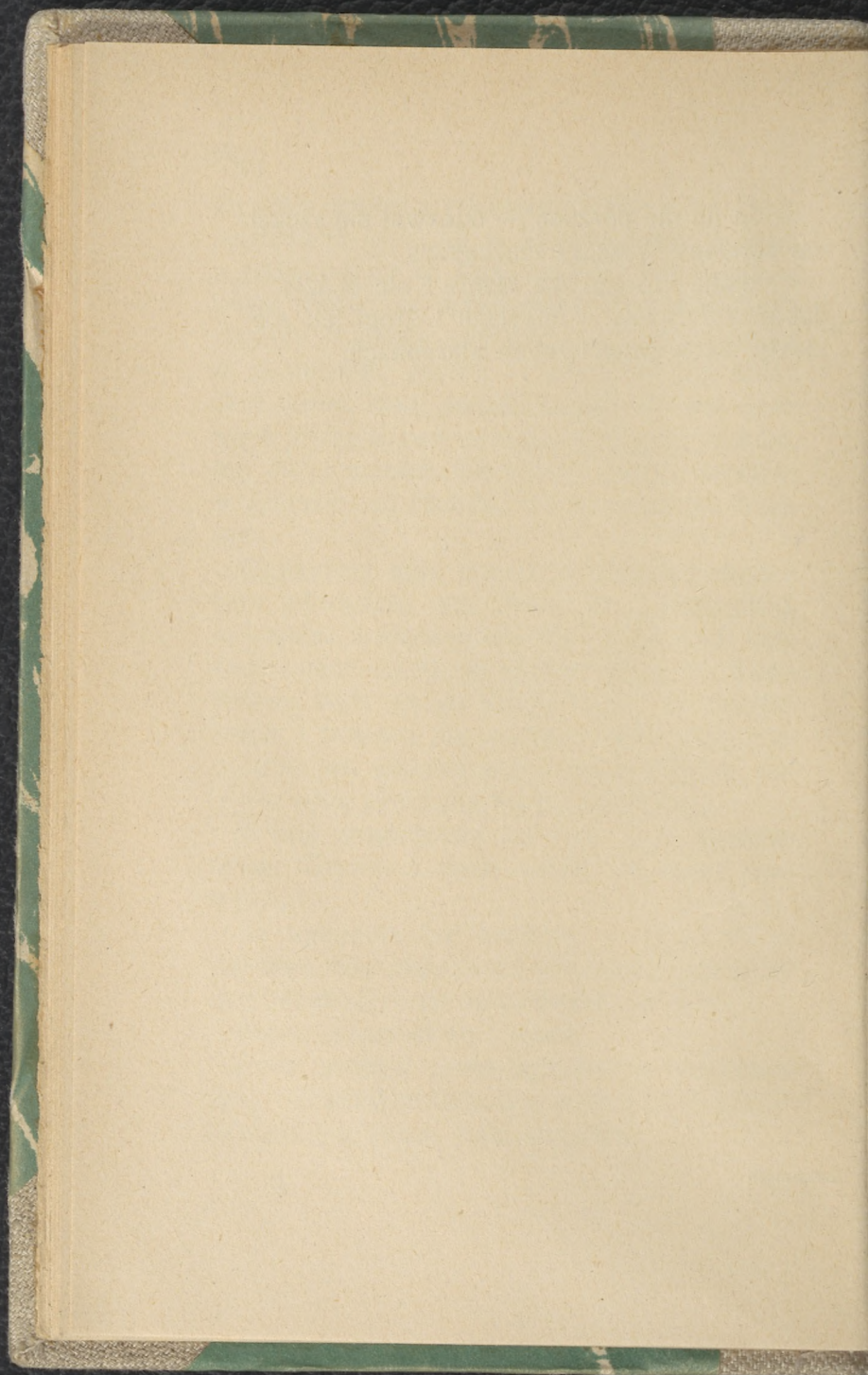
To wszystko jest możliwe — — — ale to straszne mieć przed sobą tylko jeden wyraźny ślad tej drogi i nie móc śledzić jej dalej.

Boura otrząsnął się i wstał.

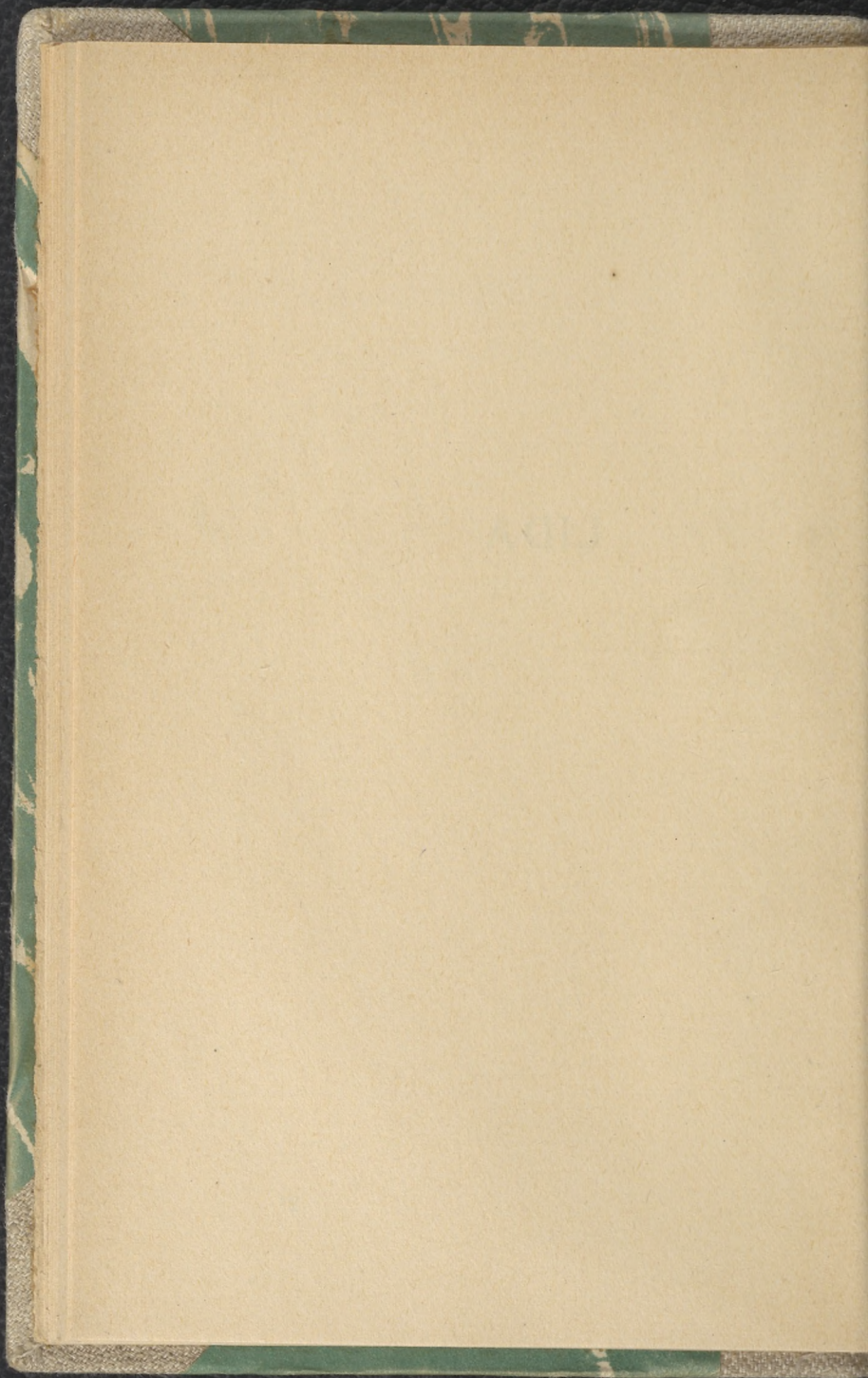
Śnieg prószył coraz gęściej, a podeptane pole — z wielkim śladem w pośrodku innych — zniknęło pod nową, białą warstwą.

— Ja go nie porzucę — odezwał się szczer-
nie zatulony w szaty mężczyzna —

— śladu, którego już niema i nie będzie —
dokończył Boura w myślach i drogi ich roz-
biegły się w przeciwnych kierunkach.



LIDA



Holub spał jeszcze w ten wczesny poranek, gdy przyszedł do niego młody Martinec i powiedział:

— Lidka gdzieś zaginęła.

Był niezmiernie blady i wzruszony. Z trudem wybąknął coś w tym sensie, że on i matka liczą na jego przyjaźń i potrzebują jego rady.

Lida wyszła wczoraj popołudniu, podobno w odwiedziny i dotychczas nie wróciła.

Holub milczał; chętnie powiedziałby jakieś słowo pociechy, ale nie wiedział wogóle co mówić.

Wynurzyła się przed nim młoda dziewczyna taka, jaką widział ostatni raz: siedziała na kanapie, zamknięta w sobie, cicha i piękna, wlepiała oczy w każdego kto mówił, ale bynajmniej nie słuchała uważnie. Nie odchodziła, a przecie wyglądała tak jakby chciała się odsunąć na ubocze i zejść wszystkim z oczu. Wydawała się jakaś dziwna i przygnębiona.

I.

W ostatnich dniach była Lida doprawdy dziwna.

Zdawało się, że głos jej i ruchy otulone są smutkiem, że jest tym smutkiem omotana i nie może się swobodnie poruszać. Ale nie otrząsała się z niego. Mówiła i patrzyła tak, jakby jej wewnątrz było zupełną i bezosobową próżnią. Ale i to przeszło i zostały tylko niewyraźne ślady roztargnienia.

Tego dnia zjadła objad z apetytem, rozmawiała wesoło, wspominając o nowych sukienkach, które miała dostać.

Potem przyszła jej do głowy myśl, aby iść do przyjaciółek.

Wyszła w dobrym humorze. Spokojna. Nic nie zapowiadało tego, co się miało stać.

Dopiero wieczór, gdy nie wróciła do domu zaczęły się godziny oczekiwania i lęku.

Za każdym skrzypnięciem bramy wstrzymywali oddech. Budziła się nowa nadzieja, stawała się pewniejsza, dręczyła i rozdrażniała, przeciągała się w długie, męczące sekundy, wreszcie pękała: nikt nie przychodził.

Z jeszcze większym niepokojem czekali na następny skrzyp bramy.

Za każdym głuchym uderzeniem wstrzymywała się lotna chwila, dłużyła się strasznie, dręczyła wszystkich i znów kurczyła się jak sprężyna.

Wkońcu, o godzinie dziesiątej w domu uci-
chło.

Teraz rozpostarł się wrogo—przepastny, beznadziejny czas. Czekanie stało się bolem, który nie przemija, ale stoi i co gorsze wrasta równocześnie we wszystkich kierunkach.

Tylko uderzenia godzin były jakby rozdrapywaniem jątrzącej się rany.

Niepokój zbliżył ich do okna.

Kilku przechodniów rusza się ustawicznie w dół, na dnie wielkiej ulicy.

Każda kobieta podobna jest trochę do Lidy.

Każdy idący śpieszy się, albo się ociąga, jakby niósł jakąś wiadomość.

Ktoś się na dole zatrzyma, a wtedy na nim zawiśnie bezgraniczne oczekiwanie, oczekiwanie z zapartym oddechem — tych z góry. Ale odchodzi już i czekanie znów spada im na piersi jak olbrzymie brzemie.

Nagle nadjeżdża dorożka. Jej ostry turkot brzmi jak gorąca, chyża zapowiedź. Już chcą biec po schodach w dół, ale dorożka nie zatrzymała się, turkocze już dalej, turkocze tak długo, jakby ulica nie miała końca.

Ilość przechodniów zmniejsza się powoli. Za każdym oddalającym się krokiem wlecze się ich żal. Już tylko gdzieś w oddali dudnią kroki jak ciche, beznadziejne tykoty.

Ulica jest pusta. Na prawo i na lewo otwiera się nieskończenie długa droga opuszczenia.

Czekający zdrętwieli. Wszystkie uczucia zlały się w bezkształną materję strachu.

Żył już w nich od samego początku, najpierw sprężysty, płynny i napięty, powoli zlewniał, stał się ciężarem i materialnym ciśnieniem, niezmiernie przygniatającem brzemieniem w piersiach. Ale był to pozorny bezruch jak gdyby olbrzymiego jaja, w którym się jednak koncentruje i rozwija życie. Rosło to, jak rośnie wrzód. Coraz szerzej rozpręża się tępe, dręczące ciśnienie, ciśnienie bez granic, ale nagle ściąga się i kurczy i pozostaje już tylko jeden punkt przejmującego bólu.

Tak się wszystek strach ściągnął w jedno przecucie, że z Lidą stało się coś okropnego.

Niesamowite przerażenie wypełniło noc czekających, bezkształna trwoga stała się nagle fantomem grozy, przecucie przeobraziło się w widmo na pół realne.

— Zobaczyłem żółte drzwi — zapisał sobie później Martinec — jakby skropione krwią. Wiedziałem, że za nimi leży martwa Lida, gdyż to można było widzieć. Była to okropna, nieczuła, obłudna jak ludzie — fizjonomia drzwi, która mnie napełniła grozą i cierpieniem. Tej nocy dostrzegłem, że drzwi mają również jakiś wyraz. Obrazu tych drzwi nie pozbyłem się nawet po najbardziej rozpaczliwych usiłowaniach. Ale nagle żółte drzwi zga-

sły i zobaczyłem zbiegowisko ludzi, ambulanse i tramwaje, których szeregi ginęły gdzieś bardzo daleko. Zobaczyłem surową, ogromną, niewymierną chwilę ulicznego nieszczęścia. Były jeszcze inne obrazy, wszystkie zarówno zniewalające, realne, jakby z zewnątrz narzucone. Dotąd nie mogę zrozumieć, skąd się wzięło tyle prawdziwej, obcej i zewnętrznej rzeczywistości w obrazach, które stworzył strach.“

Coraz głębiej wrastał strach w rzeczywistość.

Matka w histerycznym pośpiechu wdziewała na siebie suknie, chciała szukać Lidy, pukać do wszystkich znajomych, biec dokądkolwiek-bądź.

Młody Martinec powstrzymał ją. Gdyby się Lidzie przytrafiło jakieś nieszczęście u znajomych, donieśliby już o tem.

Sam pobiegł na policję.

Schody rozstępowały się pod nim jak czarna studnia. Za każdym stopniem opadał coraz niżej w jakąś beznadziejność, za każdym krokiem przygniatała go coraz cięższa i coraz bardziej nieubłagana brutalność faktu.

Zamarły, pusty profil ulicy był przesiąknięty mgłą.

Całe zdarzenie nabierało wyrazu okrutnej rzeczywistości. Rozrastało się, jakby wnikało w nie coraz więcej surowej i ciężkiej materji.

Korytarze dyrekcji policji są smutne nawet w dzień. A teraz ich zimna, opustoszała żalność stała się realnym składnikiem wyimaginowanego obrazu nieszczęścia, a żółta, bezmiernie ponura kancelarja przytłoczyła go jak męcząca rzeczywistość. Nieszczęście odezwało się obcym dźwiękiem w obojętnym głosie urzędnika:

— Nie doniesiono nam o niczem podobnem. Jak się nazywa pańska siostra?

Martinec odszedł ze ściśniętym sercem. Sprawa stawała się coraz bardziej zagmatwana i surowa.

Przez śpiące miasto jedzie szybko dorożka od komisarjatu do wartowni, od szpitala do tala.

Wszędzie czekanie, pustka, męcząca cisza, wkońcu kroki na korytarzu i gruby, zaspany głos.

Nigdzie w tym dniu nie dostawiono martwej albo rannej dziewczyny.

Ale wszystko rzeczywiste i zewnętrzne, nie-miłosierne i obce z czem się zetknął w swej gorączkowej wędrówce, zlało się w niezmierny i skomplikowany obraz nędzy.

Powoli włókł się do domu. Ale już w drzwiach spotkał się z pytającymi oczami matki i zrozumiał, że ich nadzieja prysła. Zrozumiał, że wszystko, co dotąd czynili od chwili zginiecia Lidy dążyło tylko do jednego celu:

do oddalenia od siebie przecucia, że Lida padła ofiarą zbrodni.

Obnażyła się przed nimi nagle ohydna rana, ziejącą zimną, trzeźwą zgrozą. Uprzytomnili sobie przenikliwie swoje najtajniejsze przecucie, że na Lidzie dopuszczono się gwałtu, że ją gdzieś zawleczono i brutalnie shańbiono, że leży teraz bez pomocy okrutnie sponiewierana, albo może nawet martwa.

Był to moment największego przesilenia. Moment, który nie mógł trwać długo, a przecie nie zniknął nigdy.

I nawet już potem, gdy minał strach, chwila ta nie przestawała rzucać swego cienia, niby wieczne memento bólu.

*

W godzinie przesilenia padła pani Martinco-wa na kolana i modliła się z książeczki głośno i skwapliwie:

— Jezu czystości światła wiekuistego, zmiłuj się nad nami.

— Jezu królu chwały, zmiłuj się nad nami!

— Jezu przedziwny, zmiłuj się nad nami!

— Jezu Ojciec przyszłego wieku, zmiłuj się nad nami!

— Jezu wielkiej rady Aniele, zmiłuj się nad nami!

— Jezu cichy i pokornego serca, zmiłuj się nad nami!

— Jezu Bożego pokoju, zmiłuj się nad nami!

— Przez tajemnicę świętego Wcielenia Two-
go, wybaw nas Panie!

— Przez mękę i skonanie Twoje, wybaw
nas Panie!

Monotonnie i mechanicznie jak krople albo sekundy padają słowa modlitwy.

Jest to wołanie, które nie ustaje, ale aż do upojenia wraca, jakby mierzyło głębię żałości.

Jest to wykrzyk bólu, który za każdym po-
wtórzaniem się wpływa w bezbrzeżną i prze-
dziwnie nudną jednostajność zastałego smutku.

Za każdym „Jezu“, za każdym powrotem
staje się żalność cichsza, coraz bardziej stężała.
Wykrzyk za wykrzykiem około tej żałości bu-
duje niezmierne osamotnienie i próżnię. Roz-
miary chwil rosną, tak jak rośnie głębia pod
rytmicznym wierceniem studniarzy.

Cała przytomność rozwiała się a męcząca
bliskość rzeczy ustąpiła i oddaliła się; a jak
w bezgranicznym, próżnym przestworze, tak
w zdrętwiałej świadomości, w której nie ma
żadnej myśli, podzwania ustawicznie:

„Jezu, zmiłuj się nad nami!“

Każde słowo modlitwy tajemne jest i ulatuje
w nieskończoność; nie lamentuje, ani nie skar-
ży się, nie obejmuje i nie wysławia bólu czło-
wieka — ale ulatuje w nieskończoność i za-
biera z sobą ludzkie cierpienie.

Czem stałeś się ty — o bólu! — oprzędzony przestworem nieskończoności?

Czem jesteś jeszcze obecna chwilo ze wszech stron na wieczność się otwierająca?

I ty — ściśnięte serce — co bardziej obszerne jesteś niż zmiłowanie i zbawienie?

— Boże litościwy, którego oczy na mój patrzą strach i moje czytają westchnienia! Boże, który tak często byłeś miłosierny dla mnie! O Ciebie wołam dzisiaj z głębi duszy swej! O usłysz głos mój, a wołanie moje niech doleci do Ciebie, albowiem w rękach Twych jest los mój.

Powoli, prawie niewidocznie próżnia wypełnia się. Tak jakby z modlitw płynęło coś bezkształtnego ale obfitego. W każdym słowie jest niewyraźna głębia. Jest to płynna, niewysłowiona treść, która je rozpina aż poza granice znaczenia do czegoś nieokreślonego i nierzezywistego.

W czasie każdej pauzy między modlitwami zwala się znowu na duszę bliskość spraw a wtedy potrzeba zdwojonego wysiłku i wzmożonej konieczności krzyku, aby ustąpiła. I znów sprawy wszystkie ustępują i stają się martwe; z niewyczerpanej mnogości i pełności słów wylewa się bez końca przedziwna atmosfera, która sprawy wszystkie ogarnia jak głębia.

A sprawy te są dręczące i straszliwe, gdyż

wszystkie przypominają Lidę i jej nieszczęście. Są teraz bez ruchu, zamarłe, zalane niezmierną głębiną, są podobne do ciał, ułożonych w przezroczystej, szklanej kuli, w nieporuszenie cichej atmosferze; więzi je niema głęбина rezygnacji.

Po niezmiernie długiej godzinie modlitwy pani Martinicowa jakby ocknęła się; podniosła się, a wszystko dokoła odmieniło się. Rzeczywistość wtłoczyła się w nowy porządek; wszystkie rzeczy aż do ostatniej najbardziej martwej — przybrały nowy, zastygnięty wyraz zrezygnowanego spokoju, cierpliwego „niech się stanie“.

*

Młody Martinec przechadzał się po swym pokoju aż do świtania.

Czem dłużej analizuje wypadek z Lidą, tem bardziej staje się on tajemniczym.

To, co go teraz dręczy, to już nie są przypuszczenia, to są natrętne pytania.

Ohydna zbrodnia popełniona na Lidzie nie jest już tylko samem urojeniem; jest to problem, który wzrasta z każdym pytaniem, z każdą odpowiedzią. W tym bezwzględnie ciemnym wypadku, nawet najstraszniejsze rzeczy są możliwe.

Boże! co czynić? Donieść o całej sprawie policji? Ale władze przesłuchiwać będą prze-

dewszystkiem znajomych Lidy; wiadomość o jej tragicznem nieszczęściu rozniesie się i rozbabrze, a gdyby Lida wróciła, czułaby się potem jak pod pręgierzem; jak jakieś wieczne znamię przyczepi się do niej coś kryminalnego, coś hańbiącego.

Raczej zataić wszystko; ale wtedy przybiegną przyjaciółki Lidy i dopytywać się będą, co się z nią dzieje.

Jeżeli się powie, że zachorowała, będą chciały ją odwiedzić a choćby to była zakaźna choroba, będą chciały przyjść tak jak zawsze i za nic na świecie nie pozwolą sobie wyrwać prawa czuwania przy łożu najmilszego dziecka.

Nie można udawać również, że wyjechała, gdyż nie napisze do nikogo ani jednej kartki z pozdrowieniami.

W takim ukrywaniu wszyscy mogliby wy czuć coś gorączkowego, zwietrzyć atmosferę kłamstwa.

Może Lida wróci, ale ten uprzejmy świat, w którym żyła będzie zmieniony; kropla po kropli wciekać będą brutalne rzeczy w jej dni; tysiące drobnostek będą się dotykać rany, którą ze sobą przyniesie, gdyż życie każdej dziewczyny to wąż i delikatna tkanina narażona na niezliczone, drobne udreki.

Boże! co czynić? Znaleźć ją żywą albo umarłą; jeżeli żywa ochronić przed hańbą

i cierpieniem; jeżeli martwa, ochronić przed brutalną sensacją dzienników; za każdą cenę ochronić Lidę!

Świta dzień siwy i chłodny. W dniu tym musi się koniecznie odnaleźć Lidę, ale Martinec mając już kapelusz na głowie ociąga się i nie wychodzi.

Gdzie jest Lida? Co się z nią stało, gdzie i jak jej szukać? Miał już jakiś plan, miał szczegółowe poszlaki; ale to wszystko odpada tak jakoś samo ze siebie. Śpiesznie rysują się nowe alternatywy postępowania; tajemnica zniknięcia Lidy rozwija się w nową historję, nabiera nowych, męczących szczegółów. I znów wynurza się inna myśl i nieoczekiwany domysł. Nieznużenie przebiega Martinec całe ich szeregi, w nerwowych skokach rzuca się na każdą nową możliwość, rozwija ją, znowu od niej odbiega.

Boże! co czynić?

Cierpliwy rozum jak biedny pajak tka coraz to nowe alternatywy. Powoli trwożliwie, jakby z małych kamyczków powstaje nowa hipoteza. Łękliwie snuje się nowe, cieniutkie włókienko możliwości.

Coraz częściej zatrzymują się nagle myśli i dopiero po chwili ze strasznym wysiłkiem znów ruszają z miejsca; jedno półgłośne słowo wraca niezliczoną ilość razy — ale już niema

na całym, szerokim świecie drugiego słowa, któreby z niem powiązać można.

Młody Martinec stoi, marszcząc czoło i moli się, aby pochwycić uciekające wyobrażenia. Ale nie pozostało już nic, tylko ogromne zmęczenie. Wszystkie domysły rozprószyły się w nicość.

Wymyślone możliwości opadały jak obumarłe pręciki; wszystko, co wypracował rozum oddzieliło się i odpadło, wszystko co było dotychczas prawdopodobne i jasno narysowane w umyśle osunęło się jak niepotrzebne, zewnętrzne okrycie. Pozostało tylko wewnętrzne rozjątrzenie, bezsilne, nagie jądro ślepej woli. Było to już tylko gorące pragnienie, by ująć się za Lidą zupełnie i bez rozwagi; była to ogólna decyzja; była to wreszcie pewność.

— Pójdę szukać Lidy, — odezwał się do matki.

— Idź, — wyszeptała — a Bóg pokieruje krokami twymi!

II.

Przeniknięty niepewnością w jaki sposób ma zacząć swoje poszukiwania zwrócił się Martinec do Holuba z prośbą o radę. Próbował opowiedzieć wszystko co tylko wiedział, ale nic z tego, nawet w najmniejszej mierze nie rozświetliło tajemnicy zniknięcia Lidy.

Holub mordował się z wyciągnięciem wniosków tak długo, że już nie było najmniejszej wątpliwości, że ta droga nie doprowadzi do niczego. Każdy krok wiódł ślepo do niewiadomej. Jedno było jasne: trzeba było działać, choć nie było żadnej ku temu możliwości.

Holub wahał się; uporczywie zjawiała się przed nim skulona postać Lidy jak zaskrzepły obraz.

— Ja sędzę, że Lida z kimś uciekła; jest to wprawdzie przykre dla pana, ale inaczej nie mogę sobie tego wytłomaczyć. Sam pragnąłbym znaleźć inne pomyślniejsze rozwiązanie. Nie znam Lidy tak dalece, abym mógł powiedzieć co w jej charakterze jest prawdopodobne, albo możliwe. Pan jest jej bratem; pan ją zna lepiej i może z całą stanowczością powiedzieć: „nie uciekła, gdyż nie jest zdolna do tego“.

— Tego powiedzieć nie mogę, — odrzekł Martinec zakłopotany — nie wiem wogóle, co jest możliwe; mogę powiedzieć tylko tyle, że nie było żadnego powodu, aby uciekała.

— Nie szukajmy powodów: te należą tylko do niej. Każda Lida może nas swoim postępowaniem zaskoczyć i zrobić coś takiego, czego by się po niej nikt nie spodziewał. Nie znamy jej pobudek. Nie wnikiemy do jej duszy.

Nie trzeba — proszę pana — nigdy liczyć

powodów; możliwe, że jest ich mnóstwo, bez końca; ale czynów jest daleko mniej i dlatego ich logika jest bardziej prosta. Liczba motywów, których się u Lidy możemy domyślać jest nieskończenie wielka, ale wybór czynów, które popełnić mogła, albo które wogóle stać się mogły jest bardzo ograniczony.

Każda nieograniczoność kończy się w istocie działaniem. Czyny nie są już tak osobiste jak pobudki, które do nich skłaniają. Jest w nich unifikacja, powtarzanie się i prawidłowość, które to właściwości nie są w zupełności zależne od naszych pobudek i które wymykają się wogóle z pod naszych życzeń i umotywoowań. Czyny są czasami fatalistyczne. Naprzykład Raskolnikow miał niezwykle pobudki do swej zbrodni; plan jego był przemyślany szczegółowo i niezwykle oryginalnie, ale samo wykonanie wypadło tuzinkowo, uderzająco podobnie do stu innych prostackich, rabunkowych mordów, popełnionych przed nim i po nim. Ale najdziwniejsze jest to, że stało się to właśnie tylko przypadkiem.

Dajmy na to, każde samobójstwo jest indywidualnie motywowane, ale zazwyczaj samobójstwa zdarzające się w podobnych warunkach są prawie zawsze naśladownictwem; i tak naprzykład służące pozbawiają się życia przy pomocy trucizny a nie sznura na bieli-

zną; nie jest to koniecznością, ale zwyczajowym prawidłem. Podświadomie zupełnie naśladowujemy w swoich czynach kierunek najczęściej się powtarzający — a może nawet sama rzeczywistość idzie w tym kierunku. Im bardziej jest coś zwyczajniejsze, tem łatwiej się staje. Niektóre fakty są bardziej skomplikowane, ale dzieje się to nie z jakiejś nieodzownej przyczynowości, ale z powodu jakiegoś przypadku, ze zwyczaju lub z musu. Krótko mówiąc nie zależy to od nas. Jest to czysta konkomitacja. Możemy więc przypuszczać, że i w wypadku z Lidą odgrywa zwyczajność swoją rolę.

— Wypadek z Lidą nie jest czemś zwyczajnym, — zaprzeczył Martinec.

— Jest może zupełnie niezwykle, — odpowiedział Holub — ale istnieje paradoks dotyczący niezwykle wypadków a mianowicie taki, że się powtarzają. Powtarzają się nieszczęścia, samobójstwa, zbrodnie i rekordy. Gracze w ruletkę liczą się wręcz z paradoksem, z powtarzaniem się rzadkich wypadków. Krótko mówiąc, nawet niezwykle przypadki nie wykluczają fatalnej jednostajności i powtarzania się. I nieszczęście Lidy ma swoją niedawną, uderzającą analogję.

Chce pan odnaleźć Lidę, chce pan rozwiązać tajemnicę, której nici przewodnie panu

uciekają. Wszystkie domysły są możliwe; im mniej wiemy, tem więcej ich być może. Pozostaje tylko jedno jedyne: wyszukać między wszystkimi możliwościami, które na myśl przychodzą najprawdopodobniejszą i najbardziej możliwą, a to będzie właśnie ta, która jest stosunkowo zwyczajna, powszednia, znana i łatwa. Wszystko co zwyczajne jest prawdopodobne — nie dlatego, że jest może lepiej umotywowane, ale dlatego, że dzieje się najczęściej. Sąd prawdopodobieństwa wysnuć się musi ze zwyczajności wypadków, jako mimowolne powtórzenie się czynu; przytem trzeba się liczyć z tem, że przy najbardziej osobistych i nieznanym warunkach, mają miejsce prawidłowe wyniki, jednostajne, a więc dające się przewidzieć; zadaniem więc będzie nie wyznaczenie samego faktu, ale wykazanie fatum, które jest ślepe i prawidłowe.

Nie znamy samego faktu wypadku z Lidą i silimy się, aby wymyślić jego prawdopodobny przebieg; ale proszę zważyć w taki sposób drwimy sobie z fatum. To i to uważamy za prawdopodobne i będziemy polegać na tem, że przeznaczenie pokierowało naprawdę czynami Lidy i powiodło ją nieświadomą w swoim kierunku.

Sądę tak jak i pan, że to jest sprawa, — która dotyczy Lidy jako kobiety. Jest to naj-

bardziej prawdopodobne, gdyż Lida jest piękną. Kwestją jest, czy chodzi tu o gwałt, czy nie. Pan przypuszcza, że tak — — — Ale gwałt nie jest taki łatwy, jak pan sobie wyobraża. Na Lidę nie można było napaść tak po prostu. Proszę wziąć pod uwagę, że gdyby pan tylko chciał wymyśleć wszystko co się mogło stać, nie skończylibyśmy nigdy. Zawlec gdzieś i zgwałcić dorosłą dziewczynę tutaj, w mieście możnaby tylko w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach. Ale te niezwykle okoliczności są wytworami fantazji ale nie prawdopodobieństwa.

Niestety nie mogę przekonać pana żadnymi subtelnymi dowodami. Jeżeli wykluczmy samobójstwo lub nieszczęśliwą katastrofę — będziemy tu mieć tylko do czynienia z gwałtem albo uciezką. Ale gwałt odbywa się najczęściej w odmiennych warunkach — gdzieś na wsi — w innych warstwach.

Krótko mówiąc nie pamiętam wogóle, żeby się coś takiego stało w naszej sferze. Natomiast znam dziesiątki i setki uciezek. Z Lidą zaszedł raczej ten drugi wypadek, gdyż jest stosunkowo banalniejszy.

— Czy Lida jest banalna? — odezwał się Martinec cicho.

— Nie; tem gorzej dla niej, jeżeli się to stało. Zazwyczaj kochankowie przez ucieczkę

pozbywają się jakiejś przeszkody. Ponieważ nikt nie wzbraniał Lidzie jej stosunków, musiało być coś zagadkowego, coś nie dającego się rozwiązać, coś natury moralnej, co gwałtem musiała przekroczyć. Był tu prawdopodobnie ktoś, kogo nikt z nas nie zna. Przeszkoda była oczywiście z jego strony. Może pan mieć tu na myśli coś romantycznego, ale oczywiście jest to raczej motyw cyniczny. Prawdziwa miłość odznacza się zbyt wielką zdolnością cierpienia, aby kusiła się zaraz o takie łatwe rozwiązanie. W większości wypadków jest dziewczyna ofiarą i bez własnej woli wplątuje się w namiętność; pod tym względem sprawy przybierają prawidłowo taki obrót, jakby decydował właśnie ten najgrubszy motyw.

Pan jest młody; gdyby pan znalazł tego człowieka, uważałby pan za swój obowiązek — — — za rzecz honoru — — — Po prostu nie musi pan postępować z nim jak z równym sobie, — dodał Holub z nagłym zdecydowaniem.

Młody Martinec wstał:

— Czy pan skończył?

— Jeszcze nie. Jest w całym zajściu jeden uderzający fakt: Lida odeszła z domu spokojna a przed wyjściem nawet jadła z apetytem. Apetyt to jedyna rzecz, której nie można udać; oczywiście wówczas nie przypuszczała na-

wet, że nie wróci. Najprawdopodobniej miała się tylko spotkać z tym nieznanym; ale co się z nią stało w dalszym ciągu i w jaki stan psychiczny wpadła, tego zrozumieć już nie możemy: uważajmy to za zbłądzenie, ale to jest tylko imię dla pobudki całkowicie nam nieznannej. Musiało się z nią stać coś nagłego; gdyby się była jeszcze wróciła do domu sądzę, że nie potrafiłaby już uciec; to wszystko jest wogóle bardzo zagadkowe.

Panie Martinec — prawdopodobnie ją pan znajdzie, ale proszę nie wypytywać się jej o nic, nie przymuszać do wyznań, nie upokarzać jej.

— Gdziebym ją mógł odszukać? — zapytał Martinec niecierpliwie.

— Jest gdzieś poza Pragę. Znajdować się może w dziesiątkach tysięcy miejsc, a na wybór wpłynąć mogły tysiące okoliczności; ale my o tem wszystkim nie wiemy. Gdyby Lida działała z pełną rozwagą i brała w rachubę okoliczności nam nieznanne, wtedy nie moglibyśmy odgadnąć, gdzie jest, ale ona obierała cel na ślepo, bez zastanowienia się, zdając się na los szczęścia — możemy więc pokusić się o rozwiązanie. To jest paradoks przypadku.

Gdyby ktoś grał w ruletę według jakiegoś nieznanego nam planu, nie moglibyśmy odgadnąć jego partji; ale jeżeli grać będzie bezpla-

nowo, na los szczęścia, możemy z pewnem prawdopodobieństwem powiedzieć, na którą cyfrę postawi mimowoli; na swój wiek, na liczby, które lubi, na jakąś datę i t. d. Podobnie przedstawia się ta sprawa na loterji i przy innych hazardach. I w tej sprawie z Lidą odgadnąć możemy, dokąd uciekła, ale tylko wtedy, jeżeli ona działała ślepo i bezmyślnie, jak w gorączce.

Ludzie nie stawialiby na loterję, gdyby dla nich sama liczba nie miała jakiegoś osobliwego, niesamowitego akcentu. Miejsce, które Lida wybrała w tym hazardzie, musiało mieć dla niej taki właśnie akcent. Każdy ma sympatję do jakichś miejsc, czasem dlatego, że tam spędził młodość, albo dlatego, że tam nie był jeszcze nigdy, albo, że mu się podoba jego nazwa i do miejsca tego większe zawsze przywiązuje nadzieje, aniżeli do reszty świata — ale to nie należy do rzeczy.

Może pan przypomina sobie czy Lida nie mówiła chętnie o jakichś miejscowościach, czy nie marzyła o jakimś mieście, do którego chciałaby kiedyś jechać; albo może jej po prostu jakieś miejsce utkwilo w głowie. Lida lubiła przecież zdradzać się ze swojemi fantazjami.

Niech pan sobie przypomni — — — może

kiedyś przypadkowo rzucone słowa. Czy przypomniał pan sobie coś takiego?

Martinec milczał pokryty potem osłabienia.

— Więc Lida prawdopodobnie z kimś uciekła — kończył Holub monotonnym głosem — najwidoczniej był to człowiek, z którym z jakiegoś powodu nie mogła się widywać. Według wszystkich danych Lida działała w nagłym uniesieniu, błędnie i szybko i możemy mieć nadzieję, że za schronienie obrała sobie miejsce, które ją już przedtem z jakiegoś powodu interesowało; to jest, najprostszy rachunek prawdopodobieństwa. Jest wprawdzie niepewny, gdyż nie liczy się z tysiącami nieznanymi czynnikami, nie mówi, co się stało, tylko co się najprawdopodobniej stać mogło.

Przypuszczam, że nie powiedziałem nic niezwykłego, gdyż nadzieja zawsze wyrasta z polspolitości. Tem wszystkim nie przekonam jednak ani pana, ani siebie. Ale gdybym nawet odgadł sam fakt — to jednak to, co Lida przeżyła wewnątrznie pozostałoby również tajemnicą.

Milczenie Martinca nasunęło Holubowi pewne obawy.

Budowałem wszystko na piasku — myślał sobie — na piasku wielu podobnych wypadków. Mój Boże, czy przypadek z Lidą jest ixtym między wielu podobnymi? Czy nie jest

cudem życia? A jeżeli mam słuszość — jaką to wszystko ma dla niej wartość i czemże wobec tej wartości są jej nieznanne pobudki, cierpienia i decyzje.

Do niej należą tylko pobudki i pokuta; sam „wypadek“ nie toczy się po jej myśli — — — ale swym torem — — tak jakby jej motywy były tutaj tylko czemś dodatkowym.

Holub przeraził się. Wszystko, co powiedziałem, było obrzydliwie nieczułe i bez serca; na ostatni plan zepchnąłem to, że Lida jest człowiekiem i kobietą, abym tylko przeprowadził swoją niepewną kalkulację. Poniżyłem ją, aby obliczyć jej postępek.

Wielka litość i lęk ogarnęły Holuba. Jak się to dzieje — myślał — że właśnie „zwyczajność“ mych domysłów tak mnie dręczy? Boże! całe nasze życie składa się z takiej zwyczajności, ale my nie zdajemy sobie z tego sprawy i tylko dlatego możemy w tych warunkach żyć i działać. Ale gdy nagle coś najzwyczajniejszego nas zaskoczy i przestraszy i gdy to sobie uświadomimy, wtedy wyda się nam monstrualnem, wtedy spotkamy się z czemś nieosobistem we własnych naszych czynach, wtedy zobaczymy, że nasza wola jest tylko zapowiedzią i przeczuciem czynów, które od nas nie zawisły.

W każdym naszym czynie jest coś przypad-

kowego, ale przypadek jest otwartą drogą, przez którą w nasze życie wciska się fatum. Fatum nie jest żelazną koniecznością, jest tylko żelaznym przypadkiem.

I to najbardziej pospolite i najzwyczajniejsze jest tylko strasznym, niezłomnym przypadkiem.

Martinec wzruszył ramionami.

— Nie wiem, co robić! Nie mogę niczego przedsięwziąć. Nie mogę otrząsnąć się z wrażenia.

— Ani ja nie mogę otrząsnąć się z wrażenia — odezwał się Holub cicho.

— Będę poszukiwać Lidy — mówił Martinec — ale inaczej — — — Zdaje mi się, że tu konieczny jest jakiś bardziej wewnętrzny wątek. Nie wiem, może ma pan wkońcu słusność, ale to nie dotyczy Lidy. Może jednak pojedę tam. Ale tymczasem pójdę na ślepo gdziekolwiek; może znajdę na bruku odcisk i poznam ślad Lidy między tysiącami innych. Zdam się na własny mój los. Może się stanie coś niezwykłego, nieprawdopodobnego, co mi pomoże. Może pan ma słusność, ale pan nie wie, co to jest poszukiwanie, kierowane miłością.

Martinec ociągał się, czekał, co Holub jeszcze powie, pragnał, by go ten wkońcu przekonał — ale Holub milczał.

— Niech więc pan powie — wykrzyknął Martinec — czy pan jest tego pewny — —

— Mniej pewny jestem nawet niż pan — odpowiedział Holub.

Martinec odszedł, dziękował i przyrzekł, że przyjdzie popołudniu. Ale nie przyszedł. Dopiero wieczór otrzymał Holub list od niego.

„Domysły pana potwierdzają się — pisał Martinec — ale istotnie tylko dzięki przypadkowi. Biegałem po mieście bez celu; doprawdy patrzyłem w ziemię i zaglądałem do wszystkich kątów. Wiem, że to było warjactwo, ale nie wiedziałem, co robić. Wkońcu spotkałem pewnego znajomego i ten mi tak sam od siebie (niech pan zwróci uwagę, że i to jest osobliwe) opowiedział, że wczoraj popołudniu spotkał Lidę i odprowadził ją aż do bramy domu, gdzie mieści się szwalnia, gdyż tam miała mieć podobno egzamin. Ale ja wiem, że Lida do szwalni nie poszła, gdyż była tam już rano. Widocznie chciała się tylko pozbyć towarzysza, aby się mogła spotkać z innym. Doprawdy coś skrywała przed wszystkimi.

Muszę panu donieść o czemś niezwykle dziwnem: nagle spostrzegłem, że stoję już długo na ulicy obok dworca; nie wiedziałem wogóle, czego tam chcę. Dopiero wtedy zacząłem odczytywać wywieszony rozkład kolejowy. Miejscowość, która mi przyszła na myśl

jeszcze u pana, była zatarta paznokciem, a w zupełnie podobny sposób była zamazana także nazwa innej miejscowości, która mi przedtem nie przyszła na myśl, ale o której Lida z pewnością nieraz mówiła. Wyglądało to tak, jakby to Lida szukała właśnie pociągu na tym rozkładzie. Nie jest to pewność, ale to wszystko tak się niezwykle zgadza, że pojedę tam.

Jeszcze jedno: jeżeli ją znajdę, czy to będzie wynikiem pańskiej teorii prawdopodobieństwa, czy też mojego niezwykłego przypadku? Matka powiedziałaby, że to zrządzenie Boskie. Nie wiem. W tej chwili odjeżdżam.“

Cały następny dzień przepędził Holub w osobliwym napięciu.

Pod wieczór dostał telegram i otworzył go prawie w gorączce. Było tam tylko:

„Byłem napróżno w obu miejscowościach. Martinec.“

Wtedy Holub poczuł niezmierną ulgę. Śmiał się i biegał, jakby przypadła mu nieoczekiwana wygrana. Więc tak nie jest — wołał do siebie — tak nie jest! Lida nie uczyniła tak! Ogarnęły go nieskończona czułość i współczucie dla Lidy; na wargi cisnęły się mu tysiące pół świadomych słów, które powiedziałby jej, albo o niej.

Tego wieczora Holub odczuwał niezbędną

potrzebę zobaczenia ludzi. Całego tłumu ludzi. Na ulicach. W kawiarniach. Rozpierała go jakaś konieczność, aby ten dzień przeciągnął się jak najdłużej — przez noc — aż do jutra — aby go nie wypuścić za nic w świecie.

Teraz wydawało się mu to wysoce poetyczne, że Lida uciekła. Był w jakiejś ekstazie, radował się bez miary i nawet nie uświadomił sobie, że jest sam i bardzo cichy w tej nocy. Czuł, że chwila jest zbyt ważna, aby ją wypuścić; niósł w sobie coś rozległego i bał się to w myślach rozdrobić.

Jestem wyswobodzony — myślał i czuł — ale Boże daj, aby odkupienie moje przebaczeniem się stało! Niech nie przebudzę się. Niech trwam w tem! Może Lida śpi — myślał sobie słodko — zagubiona w świecie, jak wiewiórka w lesie. — O jej krokach wiem tyle, co o jej snach. Ale to dobrze, że śni, że życia jej nikt zbadać i dojrzeć nie może — a jeżeli błądzi, niech choć błądzi tak, jak chce i na nieznanym miejscu.

Niech będzie gdziekolwiek! to tylko dobrze, że nie jest na miejscu, które wskazało jej przeznaczenie; daleka jest i powabna i stoi na progu niezliczonych kroków: taką ją teraz odzyskam.

Boże! myliłem się; nieszczęście, zbrodnia, albo fatum — każdy, kto chce trafić, mierzy

w czarny punkt, w najczarniejsze miejsce na czarnem; ale to najczarniejsze miejsce okłamało mnie, to najczarniejsze i głęboko czarne, to najgłębsze nie stało się.

Cała ta noc była oddechem, ponieważ z serca spadło wielkie brzemię; ale już drugiego dnia nowe ciśnienie przytłaczać poczęło Holuba. Czy się już nie uwolnię od tego? Czy nie potrafię przestać myśleć o nieszczęściu Lidy? Dlaczego tak bardzo troszczę się o przeznaczenie? Odkąd ogarnęło mnie to, jak manja?

Znowu wynurzyła się przed nim młoda dziewczyna taka — jaką widział po raz ostatni. Siedziała na kanapie, skulona, bez ruchu, cicha i napół przytomna i nagle otrząsała się mocno. Wyglądało to, jakby była skulona w jakiejś potwornej dłoni, która się powoli zamyka.

Ten natrętny obraz ścisnął mu serce.

Wkońcu przyszedł nowy list od Martina:

„Drogi Panie!

Takbym pragnął pomówić z panem, ale nie mogę, więc muszę przynajmniej napisać. Lida jest na górze w pokoju i nie śpi. Płacze. Odcodzi od zmysłów. Jest jeszcze ciągle w tem drugim miejscu, dokąd pojechałem z Pragi. Nie zastałem ich tu, lecz nie mogłem zaraz odjechać. Ale potem, gdy czekałem na połącze-

nie, przyjechali ci, których szukałem. Przepędzili dwie noce w Karolowych Warach, zanim przyjechali tu, do tego niemieckiego odludzia. To jest jedyna okoliczność, której pan nie przewidział. Dotyczący człowiek już znikł, mówiłem z nim niewiele, ale ze zgrozą wspominam o tej rozmowie.

Lida milczy, albo rozpacza płacząc, a mnie żal jej gorąco.

W tym psychicznym stanie nie mogę jej odwieźć z powrotem.

Z trudem przymusiłem ją do tego, aby napisała ze mną widokówki do znajomych w Pradze, ze „wspólnej wycieczki“, którą odbyli brat i siostra.

Jest w niej jakieś proste pragnienie, aby zepsuć się aż do zniszczenia, upodlić się, wywołać skandal — nie mogę tego pojąć, ale liczę na to, że za kilka dni ocknie się.

Tutaj chciała naturalnie przyjechać ona; pobyt w K. V. spowodował on, dopiero w czasie jazdy. Była to bezwzględna nieostrożność.

Nie mogę panu opisać, jakie sceny przeżyłem; zdawało mi się, że jestem na grogu piekła, albo szaleństwa.

Lidzie powiedziałem, że znalazłem ją dzięki niezwykłemu przypadkowi, o którym już panu doniosłem. Zdaję sobie sprawę, że to kłamstwo,

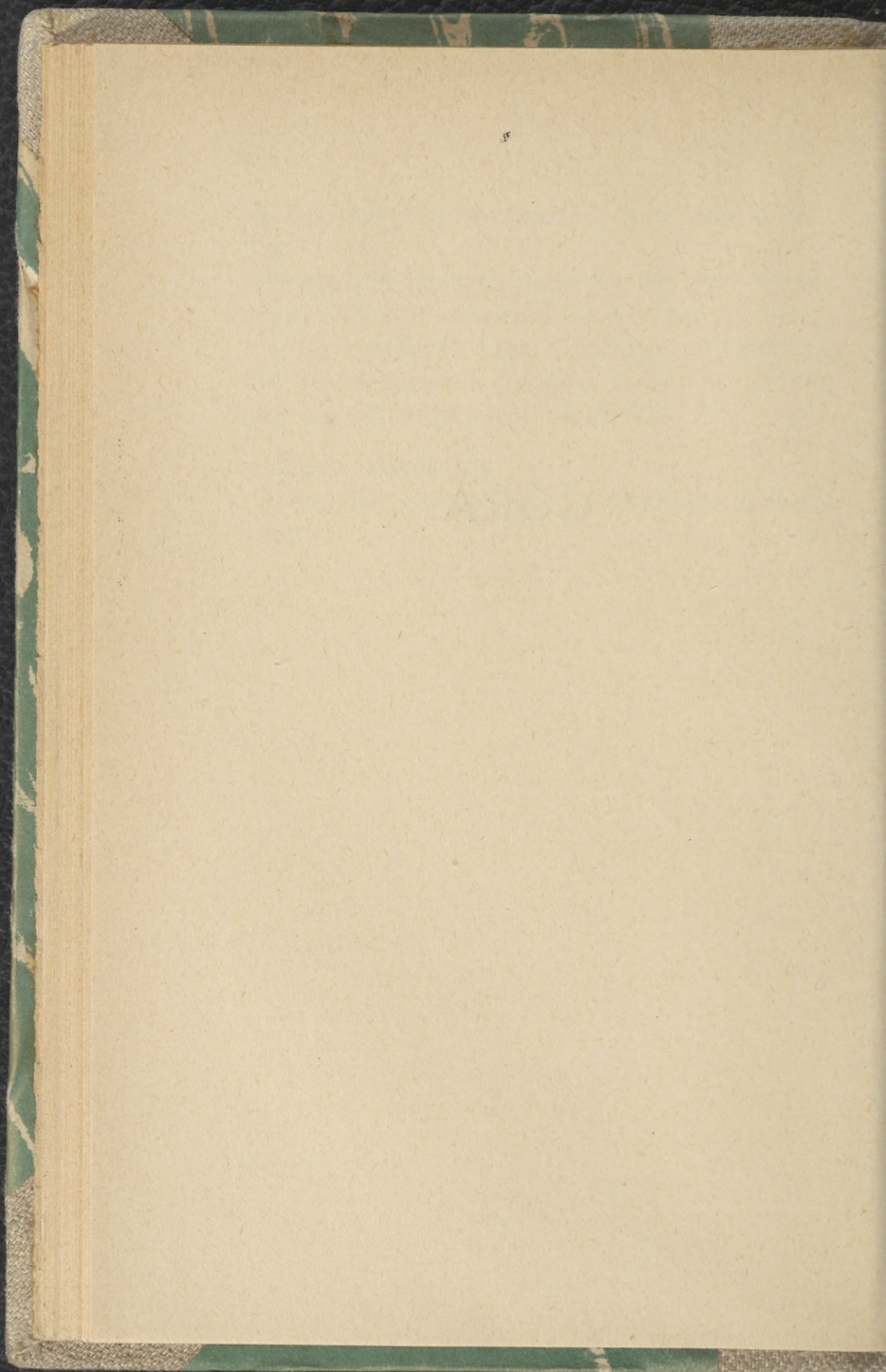
ale nie mogę jej powiedzieć, że to pan ją znalazł.

Natomiast liczę na pana, że nas pan po naszym powrocie odwiedzi i będzie pan pierwszy z tych, u których Lida zauważyć powinna, że nikt się niczego nie domyśla. Zależy mi na tem, aby się jak najprędzej uspokoiła.“

Holub upuścił list.

Tak, dla spokoju Lidy. Zwyczajna historia Lidy!

GÓRA



Dziecko, które bawiło się na dnie starego kamieniołomu w kałużach pozostałych po wczorajszej ulewie i stawiało tamy w rowkach, którymi odpływała woda — natrafiło pod skalną ścianą na trupa mężczyzny z roztrzaskaną głową.

Chociaż nie znało jeszcze śmierci, poczuło trwogę i pobiegło ukryć się na łonie matki. Teraz trzyma w objęciach kotkę i nie wie, dlaczego tatuś porzucił pracę i wybiegł gdzieś. Kotka jest miłsza aniżeli kałuża.

Kto stałby na górze nad kamieniołomem widziałby całą wieś jak na dłoni; widziałby dziecko, które krzycząc i szlochając ucieka do domu, widziałby jak wybiega drobna, męska postać, sunie szybko przez wieś, z nerwowym pośpiechem mrówki. Widziałby jak nagle zaroj się od mnóstwa figurek, które wymachują rękami i biegną w jednym kierunku, przerywanym łańcuchem — w dół — do kamieniołomu.

I stojący na górze zaśmiałby się, widząc tę żwawą bieganinę w takim perspektywicznym skróceniu.

Ale gdyby stał w dole, w gromadzie, poczułby zimny dreszcz grozy i pobożności, a podnosząc oczy od trupa mężczyzny, mierzyłby wzrokiem straszną wysokość skały aż w górę do wierzchołka, gdzie biegnie drożyna za niską poręczą i ciągnie się rozwlekle, pochmurne niebo. Wtedy stałby razem z innymi dziwnie skrępowany i ociągałby się z odejściem — —

W tej chwili przechodził Sławik obok kamieniołomu; czuł się taki osierocony między sklepieniem nieba a ziemią, między stokami gór i domkami, gdzie przepędzić musiał deszczowy dzień.

— Panie! — wołali do niego ludzie — tu jest zabity człowiek.

Poszedł więc popatrzeć się.

Zamyślony wracał Sławik do domu. W domu stanął przy oknie i spoglądał na kamieniołom, który ział jak otwarta rana na stoku góry. Wydawał się mu groźny i prawie zagadkowy.

*

Nic już nie zakryje przede mną obrazu tego: wielka twarz w krwawem błocie, szalony rozmach członków, jakby znowu wyskoczyć chciały, teraz — jeszcze teraz — wyskoczyć i zetrzeć z czoła błoto!

O, jaki widok!

Dwie ręce skarżą się, wystające z ohydnej, rozbitej masy — pełne błota — o Boże! — a przecie tak ludzkie te ręce!

Nic już obrazu tego — — —

Widziałem najdroższe twarze w trumnie, śpiące z oczyma zamkniętymi, ręce na krzyż, a na twarzy wyraz, jakby mnie chciały pożegnać. Uroczyście drzemały wśród świec i kwiatów. Wszyscy oni wyglądali jak święci. Ach, jakież bardziej ludzkie cechy może mieć śmierć, aniżeli to uwielbienie człowieka!

Ale niema nic straszniejszego od śmierci, która nie uświęca ani zmarłych, ani żywych. Śmierć z grymasem ostatniego ruchu, chwili, czy przypadku. Śmierć, która nie zetrze ostatnich śladów życia.

Nic niema okrutniejszego, aniżeli żywe gesty zmarłych. Nic nie jest bardziej podobne do profanacji.

*

Dopiero po długich godzinach stanął przed kamieniołomem automobil, z którego wyskoczyli trzej panowie.

Sławik pobiegł za nimi.

Dwaj z nich nachyleni byli właśnie nad trumną a trzeci wspinał się na stok obok kamieniołomu.

— Upadł wprost na twarz, — odezwał się jeden z przybyłych i wyprostował się. —

Wszystkie fraktury są na przedniej stronie. Musiał momentalnie skończyć. Głowa na miazgę — hm — co? Tego już nikt nie rozpozna.

— Nie rozpozna — odpowiedział jakimś ostrym głosem drugi, który przykucnąwszy na piętach, przewracał trupa — Djabeł by go poznał.

— Czego pan szuka?

— Niczego, patrzę się tylko —

— Czy znalazł pan coś?

Pochylony pan podniósł się.

— Nic. Zgasł mi. Dziękuję, — zwrócił się do Sławika, który mu podał ogień — jestem komisarz Lebeda. Tak, — zamyślił się — co doktorze, jak długo tu już leży?

— Dzień, dwa dni —

— Dwa dni! gdzie już teraz będzie!

— Kto?

— Morderca przecie, — odezwał się komisarz ze zdziwieniem. — Ten, który stracił tego tu oto — — —

— To może nie, — bronił się doktor — morderstwo! Dlaczego — — dlaczego — —

— Tak tylko. Dziwię się, że zmarłemu nie spadł kapelusz z głowy; dziwię się, że mu się ani nie pogniótł, ani nie powalał; to dziwne, prawda?

— Oczywiście, — potwierdził doktor, nie bardzo jednak przekonany.

Komisarz poruszył wargami, jakby chciał wybuchnąć i patrzył uporczywie na doktora.

— Z ubrania nieboszczyka oderżnięto wszystkie monogramy.

— Proszę go kazać przykryć, — zamruczał doktor.

Nagle spojrział z obrzydzeniem na swoje ręce.

— Muszę się umyć.

— Proszę poczekać, — mówił komisarz — przypuścmy, że napadnięty broni się — wie pan, szamotanie się nad przepaścią — — — na próżno; tylko kapelusz został tam, na górze. Morderca podnosi go i widzi na podszewce monogram, albo firmę — zresztą niech pan spojrzy, — przerwał komisarz — i podniósłszy kapelusz nieboszczyka, pokazał na jego podszewkę: kawałek skórzanego paska wewnątrz kapelusza był wycięty ostrym nożem.

— Przyjdzie mu również na myśl, że nieboszczyk ma podobne, osobiste dokumenty na bieliźnie, na ubraniu i w kieszeniach i dla tego zejdzie po stoku w dół z kapeluszem w ręce. To jest interesująco głupie; mógł go po prostu rzucić w dół.

Nagle zawołał mężczyzna, który obchodził stok.

— Pilbauer coś znalazł, — odezwał się komisarz, — Morderca więc dopiero w dole ob-

rzyna, odrywa i zabiera ze sobą wszystko: monogramy, uszy od bucików, firmę krawca z podszewki, papiery. Wszystko, każdy znak, mogący zdradzić osobę albo miejscowość. O niczem nie zapomniano. Potem położył kapelusz i odszedł. Tego oto zostawił. Bezimiennego nieboszczyka. Wykreśloną postać. Zagadkę. Świadka zupełnie niemego. Co z nim pocznę? Panie Pilbauer, co pan znalazł?

— Ślady, — odezwał się trzeci mężczyzna, schodząc ze stoku. — Ktoś zbiegał w wielkim pędzie w dół; ześlizgnął się po rozmokłej ziemi.

— Wczoraj popołudniu, sądzi pan?

— Tak. Miał turystyczne buciki o trzy numery większe od moich.

— Wielki człowiek. Turysta. Rzeczywiście, — dziwił się komisarz w zamyśleniu, — niezwykle wielki człowiek.

— Nic a nic mi się to nie podoba, — mruzczał doktor — nie lubię morderstw. Niech go pan każe przecie przykryć.

Ślawik przystąpił do komisarza i odezwał się pochmurnie:

— To jest prosta niedorzeczność.

— Co za niedorzeczność?

— Te monogramy. Dlaczego morderca miałby je usuwać? Gdyby je pozostawił każdy uwierzyłby, że tu wydarzyło się poprostu nie-

szczęście. Nie morderstwo. Ktoś tylko spadł. Niczego nie możnaby było dowieść mordercy. Dlaczegożby więc miał to robić?

— Nie wiem.

— Po drugie: to także jest głupie, że niósł kapelusz w ręce. Widocznie nie myślał wtedy rozważnie. A tu, w dole aż nazbyt był rozważny. O niczem nie zapomniał. Tęga głowa mimo wszystko — — Czy to nie jest sprzeczne?

— Nie wiem.

— Po trzecie: to miejsce widoczne jest z gościńca i ze wsi. Morderca był w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a przecież pracował rozważnie, wprost metodycznie, powoli. Niczego nie zaniedbał. Jest to strasznie paradoksalne.

— Wstrętna sprawa, — złościł się doktor.

— Wstrętna i ciemna. Trzeba przypuścić, że do takiego postępowania skłaniały go zagadkowe i niezwykle pobudki. Albo była to nieprzeciętna i zagadkowa indywidualność, która tak postępowała. Ta sprawa jest ciekawsza niż się wydawać może. Prawdopodobnie panowie chcą ją rozwiązać; chciałem więc tylko panom zwrócić uwagę —

— Dziękuję panu, — odezwał się komisarz ostrożnie — bardzo mnie pan zajął, ale proszę wybaczyć, pan mnie nie rozumie. Ja nie mam nic do rozwiązywania.

Sławik chciał coś powiedzieć.

— Niczego nie rozwiązuję. Jestem tylko Organem Wykonawczym. O ile pana to bawi, mogę pana zaweźwać do siebie.

*

Nie rozwiązuję niczego! — świdrowało Sławikowi w głowie — cóż więc właściwie robi?

Wkońcu zapytał się o to po chwili.

— Niczego nie rozwiązuję, — odpowiedział komisarz — ponieważ jest to proste — — — Otóż mój panie, nie działałam przecie jako indywidualna jednostka i niczego rozwiązywać nie mogę. Działam w imieniu władzy, która nie rozwiązuje, tylko rozstrzyga. Każda władza we wszystkich sprawach tylko rozstrzyga; w tem jej siła i znaczenie. Jedynym oczywistym wyrokiem jest rozkaz. To jest logika władzy. Nie panie, tu nie chodzi o rozwiązanie.

Ze znudzoną miną rozpoczął komisarz śledztwo. Powoli przybywało coraz więcej ludzi, którzy widzieli wczoraj tu albo tam „nieznanego człowieka“.

Raz był to wysoki, chudy wąsał, albo tęgi przybysz, rudawy i głęboko zamyślony, to znowuż rosły, wielki turysta, którego twarzy nikt nie widział. Ten ostatni jak wydawało się niektórym — oczywiście uciekał i pozostawiał po sobie ślad kręty i straszny.

W przeddzień znalezienia trupa, właśnie gdy się rozlał taki gwałtowny deszcz jechał pewien staruszek woźnica na dworzec kolejowy i wyprzedził wielkiego, obcego pana w krótkich spodniach.

— Niech se siadnom pod budom, — zawołał na niego.

— Nie chcę, — odpowiedział pan.

Dziadek pojechał dalej, ale żał mu było przemokniętego piechura i zawołał na niego po raz drugi.

— Nie chcę, — wykrzyknął pan z wściekłością i pobiegł kłusem w stronę dworca.

Uderzająco „dziwaczne“ w jego postaci było to „że był tak wielki, aż mi go było strasznie luto“. (Przesłuchanie starego woźnicy).

Wkrótce potem przyszedł na dworzec kolejowy ten sam niezwykle wielki człowiek w sportowym ubraniu i czekał na wieczorny pociąg, przechadzając się w deszczu po peronie.

Zawiadowca stacji prosił go do poczekalni, ale przybysz podniósł tylko kołnierz i milczał.

Po chwili zawiadomił go naczelnik, że pociąg wogóle dzisiaj nie pojedzie, gdyż na czterdziestym piątym kilometrze wskutek ulewy odkruszyła się skała i zasypała tor.

Wtedy wielki pasażer strasznie zaklął i zapytał kiedy pojedzie następny pociąg.

Za dwadzieścia cztery godziny — tak przypuszczał zawiadowca. W odpowiedzi zobaczył tak wściekły i bolesny wzrok przybysza, że nieomal przeraził się.

— Musi się pan przespać w miasteczku, — radził mu gorąco.

— Niech się pan nie troszczy o mnie, — odpowiedział podróżny cierpko i odszedł.

Mimo, że twarz miał zakrytą, przecie wywierał dziwne i „męczące“ wrażenie — jak człowiek znajdujący się w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa. (Zeznania zawiadowcy stacji).

Ten pan obcy zjawił się wieczór w zajęździe w miasteczku, kazał sobie zapalić w pokoju i przynieść coś do jedzenia.

Za chwilę gospodarz zapukał.

— Czego tam? — wykrzyknął gość z przerażeniem.

— Pan jest turystą? — odważył się zapytać gospodarz. — Mógłbym polecić panu dobrego dorożkarza, nazywają go „Z pomocą Bożą“, — może pan zechciałby — — —

— Namyśle się, — odpowiedział gość i zatrzasnął drzwi.

Za chwilę zawołał ze schodów:

Proszę mi zamówić tego dorożkarza na piątą rano, na cały dzień.

Dzisiaj wcześniej rano odjechał; był to pan

ubrany jak turysta, ogromny, groźny, z zasłoniętą twarzą.

„Wszyscy baliśmy się go. Byliśmy tu na dole jak zarżnięci“. (Zeznania gospodarza zajązdu).

„Stał przy oknie jak posąg, z głową aż do sufitu. Nie mówił nic, tylko mruczał. Nie wiem, dlaczego się tak bałem. (Zeznania kelnera).

*

— Co teraz? — zapytał Sławik komisarza. Komisarz wzruszył ramionami; kazał zawołać żonę dorożkarza „Z pomocą Bożą“ a sam zanurzył wzrok w mapę okolicy.

Sławik był coraz bardziej wzruszony. Mój Boże! męczył się w tęsknym naprężeniu, jaki to jest ślad! Jaka zgroza! Co to się stało niezwykłego! Nic więcej, tylko morderstwo? To jest ciemna historia. Nedorzeczna. Aż do zadziwienia niedorzeczna.

Tymczasem komisarz przesłuchiwał żonę dorożkarza; nie wiedziała nic i może dlatego — powodowana ludowym instynktem — próbowała przeczyć wszystkiemu.

Pilbauer czytał spokojnie stary cennik, który znalazł na oknie.

Jest to ciemna i straszliwa sprawa, smucił się Sławik. Stało się coś nie do pojęcia. Krok

za krokiem można iść śladami grozy. Ale my — tylko czekamy. Bez końca czekamy.

Bez końca przeciągały chmury tego popołudnia nad tępem, małym miastem. Padał uporczywy chroniczny deszcz.

Przez zdrętwiały rynek biegnie komisarz do telegraficznego urzędu.

W rynnach bębni woda, a Sławikowi wydaje się jakby to jakiś aparat Morsego wypukiwał nieskończone, dziwne listy gończe i raporty. Nie można się w tem wyznać. Wypadek wikła się coraz bardziej.

Posępna niecierpliwość Sławika wzmocniła się. Już jest późno.

Wkońcu przybiegł komisarz z poczty.

Właśnie dostał telegram ze sąsiedniego miasteczka, że tam, w gospodzie siedzi dorożkarz „Z pomocą Bożą“ pijany jak bela; opowiada ludziom, że rano odwoził olbrzymiego pasażera, który zakrywał sobie twarz kołnierzem i nie przemówił ani słowa. W połowie drogi nie mógł już dorożkarz oprzeć się wzmagającemu się przerażeniu, pozbył się podróznego i odjechał sam. Gdzie to było, nie wie.

Ale tu jest przynajmniej kierunek. Jakby ślizgając się po krętej wstędze drogi, sunął automobil z komisarzem do sąsiedniego miasta.

Sławik nie znał skali tej szybkości. Ale ślepy, fizyczny strach, jakiś popęd do płaczu albo

do wymiotów, uczucie, że powietrze jest nieograniczenie zimnym, materjalnym kneblem, wepchniętym w usta i sięgającym aż do piersi, między boleśnie palpitujące skrzydła płuc, to wszystko zmuszało go do myślenia, że automobil leci z najwyższą, możliwą szybkością. Unoszony, porwany, przyciśnięty kurczowo do ścianki karoserji, czuł w sobie — sam nawet nie wiedząc dlaczego — rodzące się dwa wielkie prymitywne uczucia: pychy i zgrozy.

I nagle stop! znak chusteczką: „stańcie!“

— Poznałem maszynę panów, — mówił śpiesznie jakiś wysłaniec — biegnę właśnie po żandarmerję; u nas w Świętej Agnieszce coś się stało.

Rano gnała podobno tędy dorożka ze spłoszonymi końmi; bez pasażera; za nią przyszedł piechotą jakiś kolos i „padł na krzesło jak bałwan“, potem kazał opalić pokój i zamknął się w nim. Popołudniu zapukano do niego, czy sobie czegoś przypadkiem nie życzy.

Krzyczał, że rzuci każdego ze schodów, kto się odważy przyjść do niego na górę. Nikt nie śmie teraz tam wejść. Ukazał się na schodach z głową obwiązaną ręcznikiem i groził pięściami. Przyszli już i gajowi, ale nie wiedzą co począć; zije od niego niezmierna groza.

Automobil popędził ku Świętej Agnieszce. Jest to niewielka miejscowość kąpielowa

u podnóża najwyższej góry w tej okolicy, słynna z cudownych, cały rok trwających deszczów.

Ale gdy tam dojechali dowiedzieli się, że nieznany olbrzym przed jakąś godziną zeszedł po schodach z góry, zażądał rachunku i odszedł ścieżką, która prowadzi na wierzchołek góry do pustelni. Odszedł w tym czasie, gdy dziewięciu mężczyzn naradzało się nad tem w jaki sposób zabrać się do nieznajomego. Widziała go tylko pokojówka gdy odchodził i uciekła.

Dziewięciu mężczyzn otoczyło komisarza; byli to gajowi, letnicy, domownicy i między nimi jeden mały człowieczyna w okularach, który się przyczepił do Sławika. Był to skrzypek kompozytor Jeriszek, który tu przepędzał lato, umierając z nudów w odziedziczonym domeczku, w którym się urodził.

— Dlaczegoście go puścili? — krzyczał komisarz.

— Nie mieliśmy czasu!

— Nie mogliśmy się jakoś porozumieć!

— Baliśmy się go, — wydychnął Jewiszek poufale.

Komisarz nachylił się do Sławika:

— Nie byli — krótko mówiąc — zorganizowani.

Góra, u której podnóża stali teraz, była skalnym blokiem zanurzonym w lasach, urwistym i uprzystępnionym tylko przez dwie drogi: przez drogę dla wozów i ścieżkę dla pieszych. Na górze kilka pól a dalej samotna chata. Goła, skalna ściana stromo spada w dół.

Teraz cała góra wydawała się tylko zbitą, mglistą masą.

Komisarz wyszedł przed dom i spoglądał na ogromne cielsko góry, jakby ją wyzywał do boju.

*

Teraz miał się stać Sławik świadkiem historii, która go zaskoczyła nie tylko pojedynczymi wypadkami, ale i osobliwym swym charakterem.

Poczuł, że znalazł się wpośrodku zbiorowego działania i sam stał się jego uczestnikiem; był przy tem, gdy wszczęła się i rozhuśtała organizacja, urządzona prawie na sposób wojenny, a przecie odnosił prawdziwe, niewątpliwe wrażenie niedorzecznego chaosu.

Dopiero później przyznał, że tu nie mogło być prawdopodobnie inaczej, ale w czasie samotnego rozwijania się sprawy, gdy sam był członkiem prowadzonego oddziału, cierpiał niewysłowienie z powodu tego marnowania czasu, czekania i ociągania się bez końca, jak

potem znów cierpiał z powodu brusowatego przejścia do czynu, zbyt wielkiej szybkości działania i bezładnego ujęcia całej akcji.

Nieomal z podziwem myślał o chwilach, w których działał sam; tyle w nich znajdował zupełnie osobistego i łączącego się tempa, że teraz z trudem poznawał samego siebie w nierytmicznym, porywającym, zbiorowym działaniu, którego był uczestnikiem. Było mu ciężko i ciemno.

W jednej z najgorszych chwil całego pościgu, potykając się w nocy na szczycie góry, poczuł tęsknotę sytuacji; myślał wtedy o żołnierzach, o nieprzeliczonych zastępach wojska, o małym oddziale, czekającym na rozkaz, o małym patrolu, który ściga zbrodniarza po górach, o zbrodniarzu istocie samotnej i dziwnej, która z samotności swej czerpie nie wiem jaką przewagę, myślał też o sobie samym.

Wtedy usiadł na kamieniu i pisał swem drobnym, ciasnym, szybkim pismem na karteczce w notesie:

„Istota organizacji: zrobić z ciebie bryłę. Jesteś ciałem wykonawczym, kierowanym cudzą wolą; jesteś cząsteczką a zatem rzeczą stanowczo zawisłą. Uznawszy wodza, przeniosłeś motywy i cel, wolę i rozstrzygnięcie na niego, a tobie nie pozostaje nic innego, jak

tylko bierna dusza, która cię męczy jak cierpienie“.

*

— Dobrze, — odezwał się wkońcu komisarz — osaczymy górę. Jest nas dwunastu a poślę jeszcze po żandarmów, będzie nas dwudziestu. Czterej z was obsadzą drogę, pan ich poprowadzi. Czterej pilnować będą ścieżki, pan się tem zajmie. Morderca nie odważy się w nocy iść inaczej jak tylko drogą. Ja sam udam się ścieżką w górę. Ktoś pójdzie ze mną.

— Ja! — zgłosił się Slawik.

— Dobrze. Dedektyw Pilbauer wyruszy równocześnie drogą. Ktoś odważny pójdzie z nim.

— Ja! — zgłosił się Jewiszek, poprawiając sobie zdecydowanie okulary.

— Dobrze. Zejdziemy się w pustelni. Gdy przyjdą żandarmi, niech dwaj z nich zostaną na dole, na drodze, jako patrol. A reszta ma się udać na szczyt góry. No więc, idziemy panowie!

W taki sposób osaczono górę.

*

Zapadał już zmierzch, gdy komisarz Lebeda i Slawik wydostali się na szczyt góry. Choć mżył posępny i przykry deszcz komisarz gwiźdał sobie cienko jak uspokojone ptaszę.

— Co pan mówi na to? — zapytał nagle.

— Dziwię się, — odpowiedział Sławik — myślałem — — — wyobrażałem sobie całą sprawę inaczej. Zajmowało mnie rozwiązanie; czułem tajemnicę w tem wszystkim — — a to jest tylko polowaniem. Wyprawą na niedźwiedzia. Pościgiem za zbrodniarzem.

— Pan spodziewał się czegoś innego?

— Rozwiązania. Całe to wydarzenie jest nader ciemne. Stało się coś niezwykłego. Już ten bezimienny nieboszczyk — — — czy pan nie wyczuł tego zaraz — zaraz przy nim?

— Wyczułem, — rzekł komisarz. — Nie wiem właściwie dlaczego, ale — — To jest zagadkowe. Niechętnie myślę o tem.

— Męcę się od rana, — inówił Sławik dalej. — Każda tajemnica jest podobna do szkolnego zadania i dlatego musimy się nią zająć. Mnie nie obchodzi, że to jest zbrodnia, ale obchodzi mnie, że to jest niewyjaśnione. Tylko dlatego muszę to śledzić.

— Dopóki go nie złapiemy, — wtrącił komisarz.

— Tak — protestował Sławik — zamiast rozwiązać tajemnicę, chcemy ją tylko wyszpiewować. Prostu wysłuchać! To właśnie się mi nie podoba. Jest to ogromnie nieinteligentne. Może go złapiemy, ale będzie to już surowy, interesujący fakt. Tajemnica jest sprawą

duszy, każda zagadka jest jakby owiana duchowym oddechem. Tylko gdy człowiek spotka się ze zagadką, uświadamia sobie zaraz własnego ducha i odczuwa wstrząs i bojaźń, Timor Dei — — — Bojaźń ducha. Materjalizm niema wogóle żadnych tajemnic. Żadnych bojaźni. Nawet odwagi do bojaźni. Krótko mówiąc, spodziewałem się bardziej wewnętrzne-go rozwiązania.

— Czy ma pan może przy sobie rewolwer?
— zapytał komisarz.

— Nie mam, — odpowiedział Sławik cierpko.

— Szkoda. Ja również nie.

— Widzi pan, — ciągnął Sławik dalej — to wszystko jest tylko romantyczne. Noc! Góry a jeszcze do tego wszystkiego rewolwer! Wkońcu gubimy drogę. Jakie to wszystko zewnętrzne.

— Nie, mój panie, niech pan weźmie pod uwagę, — sprzeciwiał się komisarz z zimną krwią — my dedektywi istotnie nie jesteśmy filozofami. Dla nas jest to czysto techniczna sprawa praktyki. Niech mi pan wierzy, że każda praktyka przedstawia się zdaleka romantycznie. I rewolwer jest tylko narzędziem zupełnie tak jak obcęgi, albo pług. A pozatem nie zgubiliśmy drogi.

Milcząc szli nierówną drożyną, dziwacznie blado rysującą się w mrokach lasu; wydawała

się jakaś nierzeczywista, wyprzedzała ich kroki wijąc się tak jak przecucia.

— Spodziewał się pan bardziej wewnętrz-
nego rozwiązania? — odezwał się nagle ko-
misarz. — Ale w rzemiośle nie ma wewnętrz-
nego rozwiązania. Możeby można użyźnić pole
samą tylko modlitwą. Ale to byłoby technicz-
nie liche. Może wewnętrzne drogi są najkrót-
sze i najprostsze ze wszystkich, ale są technicz-
nie niedokładne. Być może, że dałoby się od-
gadnąć zbrodnię moralnem przecuciem, ale
intuicja nie jest rzeczą fachową. Wszyscy de-
dedektywi w romansach pracują pod względem
technicznym bardzo kiepsko. Zbyt osobiście.
Zbyt wynalazczo. Ich metody są metodami
zbrodniarzy, a nie dedektywów. Prawdziwa
droga jest inna.

— Jaka?

— Socjalna rutyna. Organizacja. Otóż istnieje
technika opanowywania ludzi, technika
w całym tego słowa znaczeniu, gdyż postępuje
z człowiekiem jak z narzędziem. Jest w tem
postęp; co było specjalną umiejętnością, staje
się techniką. Wszystko czego się dotkniemy,
zamienia się w narzędzie. I człowiek. I pan
sam. Tylko ten w górze wymyka się nam.

— Bóg?

— Nie, człowiek. Zbrodniarz, który ucieka.
A ja nie jestem niczem więcej, jak tylko ręką

władzy. Niczego nie rozwiązuję, zaciskam tylko, a im silniej cisnę, tem łatwiej poznaję w sobie władzę, która przezemnie przechodzi. Tylko ręką, niech będzie; ale przynajmniej czuję tę straszną i nieopieszalą siłę, która przezemnie bije. Która dzisiaj znowu uderzy. Siłę prawa.

Komisarz umilkł; była już noc i z trudem pięli się w górę, potykając się na korzeniach i kamieniach. Wkońcu zgubili rzeczywiście ścieżkę i leźli na ślepo przez krzaki, porastające stok, opierając się rękami o ziemię. Wreszcie natrafili na jakiś daszek, pod którym składano pokarm dla zwierzyny: Nie było to zbyt wygodne miejsce. Ale można tu było przynajmniej zapalić ogień pośród wielkiego deszczowego szumu, napływającego skądś, z gór.

W nieskończonych przestworach nocy lał ciemny deszcz. Tylko gdzieś trzasnęła gałąź, tylko gdzieś oderwał się gałąz i walił się, skacząc po pochyłości z gigantycznym tupotem. Wszystko inne pochłaniał szum deszczu.

Sławik nadsłuchiwał tęsknie, jakby się zgubił w niezmierzonej i nieprzeniknionej ciemności całego świata.

Komisarz leżał przy boku Sławika bez ruchu. Nagle przebiegł przez niego słaby, jakby elektryczny dreszcz. Znow wrócił silniejszy

i trwał coraz dłużej, aż po chwili przemienił się w porywający, kurczowy wstrząs.

— Co się panu stało? — wykrzyknął Sławik.

— Nic, — bełkotał komisarz — to nic nie jest. — — Tylko strach. — — Chwileczkę! Niech pan poczeka chwileczkę!

— Dlaczego się pan boi?

— Nie wiem — — — To tylko, co o nim mówili — — — Nie chciałem o tem myśleć — — — Pan tego nie odczuwa?

— Nie. Tylko bojaźń ducha.

— To nie to! Coś gorszego, strach — — — Nie zniosę tego!

— Może raczej pan pójdzie, — nalegał Sławik, któremu zaczynało być nieprzyjemnie.

— Zaraz — — — Niech pan idzie naprzód. Cicho. Niech pan idzie!

Szli na czworakach między skałami. Może już niepodobna wyjść wyżej?

— Niech pan idzie! — cedził komisarz przez zęby.

Kalecząc sobie ręce i kolana, drapał się Sławik w górę; dopiero gdy odnalazł znowu ścieżkę, objął go dreszcz zgrozy: przecież wystarczało, aby się mu pośliznęła noga.

Komisarz wyprzedził go w milczeniu i ruszył śpiesznie wierzchołkiem góry.

W pustelni świeciło się.

Komisarz zapukał cicho; w tej chwili przez odchyłone drzwi wyrzało jedno oko.

— Tutaj policja — zaszeptał komisarz, a drzwi otwarły się szybko, jak pod oddechem ulgi.

— Dzięki Bogu! — odezwał się tajemniczym szeptem gospodarz, odkładając strzelbę — ach, dzięki Bogu!

— Kiedy przyszedł? — zapytał komisarz skwapliwie.

— Przed godziną. Prosił o nocleg. Jest na poddaszu.

— Przyjdę zaraz — odezwał się nagle z poddasza silny, zachrypły głos — tylko się ubiorę.

Jednym skokiem znalazł się komisarz na schodach, jakby pchnięty ślepą siłą:

— W imieniu prawa!

— Zaraz — mówił głos z większego już odalenia — jestem tak — — — trochę — — — zaziębiony.

— Pilnujcie go na dworze — krzyczał komisarz, schylając się w dół — łapcie go na dworze! Biegnijcie prędko!

Sławik i gospodarz ze strzelbą wypadli na dwór.

Na górze — tuż u szczytu domu okno otwarte. Nic. Cicho.

Komisarz wyszedł na dwór z zapaloną latarnią; wtedy Sławik odczytał na szczycie

domu stary napis, z trudem pojmując jego znaczenie:

„Niech szczęście ześle Bóg do tego domu,
„Wybudowałem go, sam nie wiedząc komu“.

*

Tymczasem Pilbauer i Jewiszek wychodzili na górę drogą dla wozów. Jewiszek nie mógł dojrzeć wokół niczego ani na krok i bał się, że zabłądzi. Dedektyw Pilbauer szedł przed nim w milczeniu i spokojnie.

— Czy pan zna drogę? — zapytał Jewiszek.

— Nigdy nie szedłem tędy — odpowiedział Pilbauer.

— Czem się pan więc kieruje, aby trafić?

— Rozkazem.

Było znowu cicho. Jewiszek chciał znów coś bąknąć, ale przestał: imponowało mu, że idzie z dedektywem i spoważniał bardzo.

— Czy ma pan przyprawiane wąsy? — zapytał się w chwili, gdy się tego najmniej spodziewał.

— Nie, a dlaczego? — zdziwił się Pilbauer.

— Czy pan nie jest za kogoś przebrany?

— Nie, to jestem ja sam — odrzekł dedektyw skromnie.

Jewiszek poczuł nagle sympatię do tego smutnego i cichego mężczyzny.

— Czy to ciężko być dedektywem? — zapytał go.

— Nie. Zależy od charakteru. A pan jest muzykiem? To jest daleko lżejszy zawód.

— O, niech pan nie wierzy! — zawołał Jewiszek. — Naprzykład teraz właśnie — — — komponowałem coś większego, kwartet. Słowem nie mogłem skończyć. Nie potrafię już sobie poradzić. Uciekło to ze mnie.

— Trzeba, aby pan to znów odszukał.

— Oh, artysta zawsze szuka. Przez całe życie. Ale teraz już mnie to wyczerpało. Dlatego poszedłem z panem, aby trochę zapomnieć, aby trochę sobie ulżyć.

— Myślałem, że pan poszedł z ciekawości, tak, jak ten drugi pan.

— O nie, poszedłem właśnie bez specjalnego zainteresowania się. Cieszyłem się, że coś zobaczę, coś niezwykłego i wzruszającego. Czasami potrzeba nam silnego wstrząsu. Ach, proszę mnie ze sobą zabierać częściej!!

— Bardzo chętnie — odezwał się dedektyw poważnie — o ile panu każą iść. Ale bez rozkazu niech pan nie idzie. Niedobrze jest ścigać człowieka.

W Jewiszku poruszyło się sumienie.

— Przecież to morderca — bronił się.

Dedektyw kiwał głową.

— Tak, niedobrze jest nie ścigać człowieka.

— Cóż więc robić?

— Nic. Wszystko jest równie niedobre. Żle jest bić i nie bić, sądzić i przebaczać. Wszystko ma swój cień i swoją winę.

Jewiczek rozmyślał przez chwilę.

— Co pan w istocie czyni?

— Czynię to, co muszę. Najrozumniejszą rzeczą jest słuchać. Poddać się rozkazom.

— A ten kto wydaje rozkazy?

— Popełnia błędy, mój panie. Niedobrze jest rozkazywać. Jest to najgorsza rzecz ze wszystkich błędzeń.

— A przecież musi się słuchać?

— Tak. Nie byłby to wtedy rozkaz, gdyby się go nie usłuchało.

— Pan nie mógłby być artystą — zdumiał się Jewiszek.

— Nie — odparł dedektyw. — Sztuka jest zbyt samodzielna.

— O, i sztuka ma prawa, które się musi wypełniać.

— Rozkazy?

— Nie, to nie są rozkazy.

— A widzi pan! — zamruczał Pilbauer.

Jewiszek był zmieszany. Przez myśl jego przesunęły się wszystkie niepewności i męczące wątpliwości, z którymi musiał walczyć w swej sztuce; o ile byłoby mu lepiej, gdyby mu jakiś wyższy głos nakazał co i jak — — —

Z oddali płynął ku niemu melodyjny motyw wyższego głosu.

Cicho szedł Jewiszek za wysokim, posępny męczyzną, który z bezwzględną pewnością odszukiwał w ciemności drogę, której nie znał; tymczasem on, Jewiszek, który był tutaj, jak u siebie w domu, stokroć razy mylił się i potykał, spodziewając się zakrętu drogi tam, gdzie go wcale nie było, albo prostego kierunku w tem miejscu, gdzie za pierwszym krokiem zleciałby ze skały.

Skąd ci mają tę swoją pewność — zastanawiał się Jewiszek — Sławik, żądny poznania, komisarz, który może rozkazywać — (jakaż więc dla człowieka pewnością jest władza) — i Pilbauer pełny poddania się; skąd ci mają swoją pewność, gdy — ja nie mam spokoju.

Piękno nie daje mi spać, nie daje mi spokoju; nigdy nikomu nie daje pewności.

Raczej być dedektywem! — przemknęło tęsknie przez głowę Jewiszka. — A jeżeli już trzeba szukać, to przynajmniej niczego nadludzkiego, przed czem musiałby człowiek uciekać! Przecież i ja gonię za czemś! — przyszło mu na myśl — tu i tam znajdę ślad, albo usłyszę echo, ach wiecznie oddalający się oddźwięk czegoś doskonałego! Anioła, który śpiewa!

— Co pan śpiewa? — zapytał Pilbauer nagle.

Jewiszek przeraził się; przeszedł po nim gorący dreszcz.

— Ja, śpiewałem?

— Śpiewał pan. Brzęczał. Coś bardzo pięknego.

Jewiszka zalała nowa, radosna fala:

— Doprawdy! Dziękuję panu! Nie miałem o tem wyobrażenia! Jak to właściwie było?

— Było to — — było to — — Nie wiem już. Nieustannie się to zmieniało, coraz inaczej i inaczej — — Już nie przypominam sobie. Piękne to było.

Tymczasem dochodzili do szczytu góry.

Jewiszek nie rozmyślał już, ani nie śpiewał.

Pilbauer prowadził go naprzód w milczeniu i bezpiecznie.

— Ktoś idzie, proszę stanąć — zaszeptał nagle.

Jewiszek wyteżył słuch, ale słyszał tylko, jak grały organy gór.

— Cicho — powtórzył dedektyw.

W deszczu — poruszała się przed nimi, pędziła, skakała olbrzymia bryła ludzkiego ciała. Wreszcie znikła w ciemnościach.

Jewiszek zaskoczony okropnie, nie pisnąwszy ani słowa, puścił się za nim w pogoń, powodowany jakimś łowieckim pra-instynktem.

Pilbauer pognał za nimi, ale mgła pochłoneła ich; machnął ręką i skierował się w stronę pustelni.

*

Tymczasem deszcz przestał już siępić, a mgła opadła na wierzchołki gór. Niebo wyjaśniało się, a księżyc przebił gęste mgły mleczną światłością; cała okolica owinęła się miękką i słodką ciszą.

Jewiszek biegł za uciekającą masą, z największą na jaką go stać było szybkością. Było to dzikie, uporczywe, milczące kluczenie po szczycie góry. Jewiszкови zabrakło oddechu.

— Nie mogę — wysapał i stanął.

— Ani ja nie mogę — odezwał się w mgle donośny głos.

Jewiszek usiadł na kamieniu i oddychał szybko.

— Gonicie chorego — mówił chrapliwy i silny głos. — Wygnaliście go z łóżka i odebraliście mu schronienie, czy wam to nie wystarczy? Mało mi jeszcze wyrządziliście złego?

— Pan jest chory? — zawołał Jewiszek.

— Czego jeszcze chcecie? — żalił się głos. — To jest nieludzkie! Wstrętne! Zostawcie mnie wkońcu w spokoju!

— Pan nie może się stąd oddalić! — odezwał się Jewiszek zaniepokojony. — Złapaliby pana. Osaczono górę.

— Tylu was jest? — mówił głos z ogromną goryczą. — To wstyd! Co ja teraz pocznę? Boże! o Boże! co pocznę?

Jewiszek popadł w bolesną rozpacz.

— Jezu Chryste! — biadał głos — co pocznę teraz. Osaczyli górę — — — Chryste Jezu!

Jasna biel wypełniła serce Jewiszka.

— Panie — zaczął niepewnym głosem.

— Co teraz pocznę? — drżał głos we mgle. — Jestem zgubiony! zgubiony! zgubiony! O Boże! jakżeż to możliwe!

— Dopomogę panu! — zawołał Jewiszek porwoczno.

— Pan mnie chce zdradzić! — rozpaczal głos. — Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja — — wola Twoja — — — Daj mi uciec! Boże, daj mi uciec!

Wtedy poczuł Jewiszek ból, zapał, zgrozę, miłość i rany, radość, płacz i namiętne męstwo; powstał chwiejąc się i rzekł:

— Niech pan przyjdzie tu, pilnują tylko dróg. Pójdę z panem. Niech się pan nie boi!

— Niech pan tu nie przychodzi! — wykrzyknął głos.

— Pójdę z panem. Niech się pan nie obawia. Gdzie pan jest?

— Jezu Chryste! — jęczał głos ze zgrozą. — Nie chcę, nie chcę niczego od pana!

Wtedy zobaczył Jewiszek przed sobą bezkształtny cień. Gorączkowy oddech owiał jego twarz.

— Niech mnie pan zostawi! — zaharczał głos i czyjaś ręka dotknęła jego piersi.

Nagle cień w rozkołysanych skokach zniknął w mgle.

*

Komisarz gryzł sobie palce na progu pustelni.

Przybliżył się do niego Sławik.

— Proszę pana — zaczął — rozwiązałem tę sprawę. Słyszał pan zeznania świadków, wszyscy mówili o nim jakoś dziwnie. Jakby się stawał coraz większy. Jakby rósł w nieskończoność. Osobliwa sugiestja.

Komisarz podniósł znużone oczy.

— Może wpływa na to swem zachowaniem się — mówił Sławik dalej — przeraża ludzi. Jest to szaleniec, megaloman. Tylko tem wytłumaczyć to można.

Komisarz potrząsnął głową i spuścił oczy.

*

Pod pustelnia rozwija się łańcuch mężczyzn i posuwa się po rozległej, górskiej hali. Dzieściu, dwudziestu ludzi. Ciągną powoli i bez słowa, jakby byli mechanicznie czemś poruszani. Tylko chwilami zaszczęka po cichu broń.

Komisarzowi obwisła szczęka.

— Jestem znużony, bardzo znużony. Nie mogę iść dalej.

Oparł się o drzewo i przymknął oczy. Taki się czuł mały ze zmęczenia.

— Nie mogę iść dalej.

„Cóż, zmęczony już jesteś, hultaju? — za-
pytuje nagle głos ojca — choć, wezmę cię na
barana.“

Ach, niczego innego nie pragnął synaczek. Plecy ma tata, jak olbrzym; siedzi się na nich pięknie i wysoko, jak na koniu. Droga mija szybko. Tatuś pachnie tytoniem i siłą. Jak olbrzym. Nikt nie jest silniejszy.

Wtedy zachorowawszy na czułość przytuła chłopczyzna policzek do jego spoconej, turzej szyji.

Komisarz ocknął się. Jestem zmęczony. Gdybym się mógł skupić! Ile jest naprzykład: siedm razy trzynaście? Liczył marszcząc czoło i poruszając wargami. Nie mógł doliczyć. Powtarzał bez końca obie cyfry. Są jakoś osobliwie nieprzyjemne, niepodzielne, odporne. Najgorsze ze wszystkich cyfr. Bez nadziei — rzekął się komisarz rozwiązania.

Niespodzianie usłyszał wypowiedziane jasno i dobitnie: ile jest siedm razy trzynaście? Serce zdrętwiało w nim z przestrawu: To pan

nauczyciel. Teraz wywoła mnie — teraz — —
teraz — — Chryste Panie, gdzie się schować?

Co pocznę? Daj mi uciec, Boże! Daj mi uciec!

Wtem rozbrzmiał wystrzał.

*

Tymczasem błąkał się Jewiszek po górze, nie wiedząc, gdzie się ma obrócić. Chwilami nadśluchował, ale nigdy świat nie był bardziej milczący, nigdy nie był bardziej cichy. Trochę to boli i trochę upaja. I Jewiszek szedł dalej, nie myśląc, nie wiedząc nawet gdzie jest.

Wtem rozbrzmiał wystrzał. Jak alarm leciało od góry do góry echo coraz bardziej oddalone, coraz cichsze, coraz straszniejsze.

Znowu nastała cisza, jeszcze okrutniejsza niż przedtem; wtedy dopiero pojął Jewiszek, że jest tu sam i sam, mały, nic nie znaczący, że błąka się bez celu w górach, że idzie znowu do domu, że z serca jego przez szczelinę wytryska ustawicznie troska i nurtuje powoli ściśnięty, bezmierny żal.

*

Pilbauer przedzierał się przez gąszcz. Woda ściekała mu za kark, chlupotała w bucikach, w sposób podstępny, nieprzyjacielski i zwinny wlewała się wszędzie; wtedy Pilbauer nie

zwracając już na siebie najmniejszej uwagi, puścił się przez gąszcz jak baran.

Wtem rozbrzmiał wystrzał. Trzasnął w odległości kilku kroków, prawie naprzeciw niego.

— Uważajcie przecież — wykrzyknął dedektyw i musiał się oprzeć, aby nie upaść, tak się zachwiały pod nim kolana. Mogło to być już dzisiaj, zrozumiał nagle, o mało co, a mogło się stać. Już dzisiaj! Już dzisiaj! Mogło to już być! Wkońcu mogło to już być!

★

Sławik zobaczył cień, posuwający się w ruchach automatycznych i nagłych, jak marionetka. Z trudem odgadł, że to jest komisarz. Poszedł w jego stronę.

— Proszę słuchać — odezwał się skwapliwie — właśnie zastanawiałem się nad tą sprawą. Nad tymi monogramami. Sprawa jest jasna. Zamordowany jest cudzoziemcem.

Sławikowi zdawało się, że komisarz wyszeptał coś.

— Tak — ciągnął dalej — to jest niewątpliwie cudzoziemiec. Człowiek, o którego się nikt pytać nie będzie. Inaczej cała ta sprawa nie miałaby sensu. Nigdy nie stwierdzi się jego tożsamości, nigdy się nie spostrzeże jego braku. A gdy morderca ucieknie, nic go już

nie zdradzi. Nie jest szalony. Wiedział dobrze, co czyni. Zamordował życie, postać, nazwisko człowieka; może mu przedewszystkiem zależało na tem, aby zabił nazwisko; oh, może najstraszniejsze w tej sprawie było właśnie nazwisko. Nazwisko, któreby, jak palec, wskazało na mordercę. I gdybym nigdy nawet nie dowiedział się tego nazwiska, to i tak wkońcu wszystko byłoby dla mnie jasne.

— Tak, tak — wydobył ze siebie zmieszany komisarz — tak. Proszę zachować odstęp. Do szeregu! Marsz!

*

Jewiszek jest już w domu; cicho, ciepło brzęczy lampa, oświetlając zaczęty kwartet, w którym ostatni akord bardzo wysoki i drgający woła o dokończenie.

Opieszale i z lękiem wczytuje się Jewiszek w swój rękopis. Jest tu wszystko, jak było: triumfalna radość fraz, śpiewna, wolna kantilena. Nic się nie zmieniło. Nic nie zmieni piękna, nic go nie tknie; nic się nie zachwiało, nie zasepiło, nie zaciemniło w czarownej i powiewnej tkaninie tonów; nic, nic, a nic się nie zdarzyło. Pozostały nawet dawne wątpliwości: tu i ówdzie odzywa się obawa, niezgrabna i błąkająca się tęsknota, usiłowanie oddania wiru tancerki skryte w zakrzepłym uśmiechu.

Jewiszek przypomniał sobie motyw wyższego głosu, który przewinał się przez jego serce — tam — na górze: gromową kadencję głosu, który rozkazuje na wieki.

Jewiszek potrząsnął głową; To nie to. Wyższy głos nie rozkazuje. Wyższy głos przemawia przez twój ból.

*

Smutniejsze aniżeli noc jest świtanie dnia. W dali ciemno; powoli, jakby po ostatecznym kryzysie poruszyło się powietrze, zjaśniały zarysy rzeczy i stawały coraz bardziej czyste i zimne. Mury zaświeciły martwo własną białością, bryły poblady, a każda rzecz wyrzała jakąś niejasna i zakrzepla; czem więcej widzisz, tem bardziej wydaje ci się wszystko nie-rzeczywiste. Na wschodzie świta; w tem dalekiem i nieufnem świtanium budzi się świat; widzisz wszystko z przedziwną jasnością, a przecie nie jest to światło.

Ludzie budzą się w dusznej gorącości łóżek i spoglądają na dzień gorszy i okrutniejszy, niż był dzień wczorajszy.

*

Gdy już rozedniało — ktoś zapukał do drzwi domu Jewiszka.

Mały skrzypek wyrwał się z półsnu i ze

strachem pobiegł otworzyć. Przed progiem stali Sławik, komisarz i Pilbauer.

— Gdzie się pan podział w nocy? — zawołał Sławik — tak się niepokoiłiśmy o pana.

— Uciekł? — zaszeptał Jewiszek.

— Uciekł — odpowiedział Sławik wymijająco. — Spadł ze skały i — — —

— Nie żyje?

Sławik potrząsnął głową.

— Nie żyje. Leży tam twarzą do ziemi — — przykryty choiną. Koniec historii.

Jewiszek w milczeniu poszedł rozpalić ogień, aby zgotować gościom kawę.

— Koniec historii — powtarzał, patrząc w płomień — nie żyje. Przykryty choiną.

Płomienie paliły go w oczy. Zdjął okulary. Wytał łzy.

Koniec historii.

Sławik usiłował udowodnić komisarzowi jasność tego wypadku.

Jewiszek nie rozumiał Sławika wogóle i nie pojmował, dlaczego mówi tak żywo.

Trzęsącą się ręką zawadził o struny swych skrzypiec. Struna zadźwięczała, a Jewiszek oderwał rękę, jakby się sparzył.

Sławik przerwał swe wywody, komisarz zachwiał się, a Pilbauer podniósł swoje ciężkie powieki.

— Proszę wybaczyć — zaszeptał Jewiszek.

— Zabrzmiało to jak jęk — odezwał się Sławik niespokojnie i z roztargnieniem. — Wogóle smutna historia. Gdybym był przypuszczał — Nikt w pokoju nie poruszył się.

Sławik zagryzał wargi, nie mogąc się pozbyć nieprzyjemnego uczucia.

— Było w nim coś wielkiego — zaczął znowu — każdy to wyczuwał; jakby był jakimś nadczłowiekiem. Chciałem go poznać. I dlatego, tylko dlatego ścigałem go. Ach, raczej wolelibyśmy to coś tajemniczego — aniżeli — aniżeli — —

Sławik zachmurzył się:

— Nie żyje, zaszczwano go.

— Zakończył — to przynajmniej — odezwał się nagle Pilbauer.

W pokoju zapanowała przygnębiająca cisza.

Jewiszek patrzył błękitnemi, krótkowzrocznemi oczyma na swoich gości; widział Pilbauera, jak ten spuściwszy oczy duma, stojąc bez ruchu; widział Sławika i czuł, jak go żre zgryzota wyrzutów i samoudręki; widział komisarza zgnębionego i znużonego, który swym smutkiem i słabością przypominał chore dziecko.

Przecież wszyscy — czuł to — mogliście się byli z nim porozumieć! Był taki nieszczęśliwy i chciał tylko uciec. Jak dobrze bylibyście go zrozumieli!

— Mówiłem z nim — odezwał się powoli —
nie był bynajmniej zagadkowy.

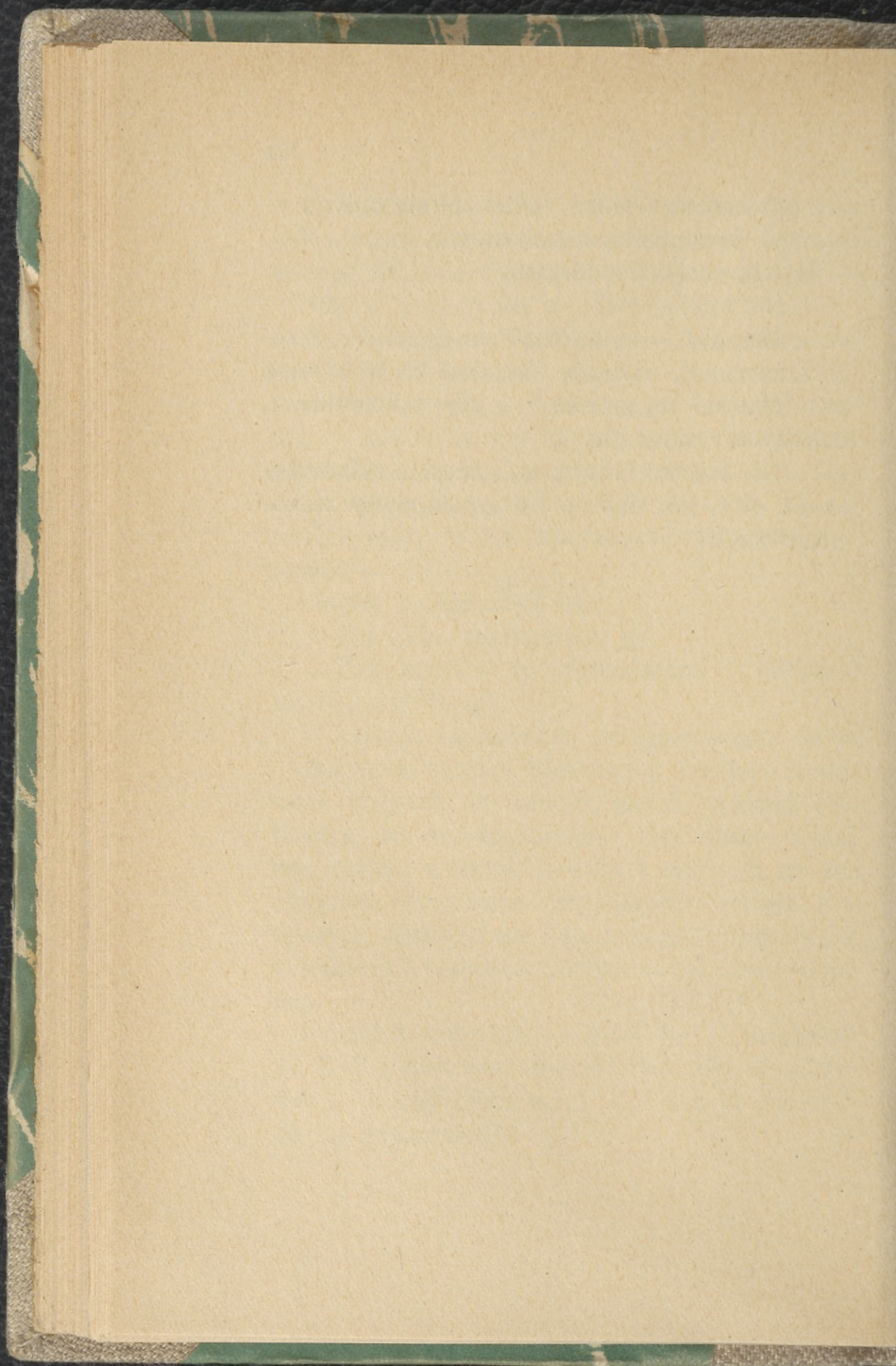
Slawik spojrzał zdumiony:

— Nie był — — ?

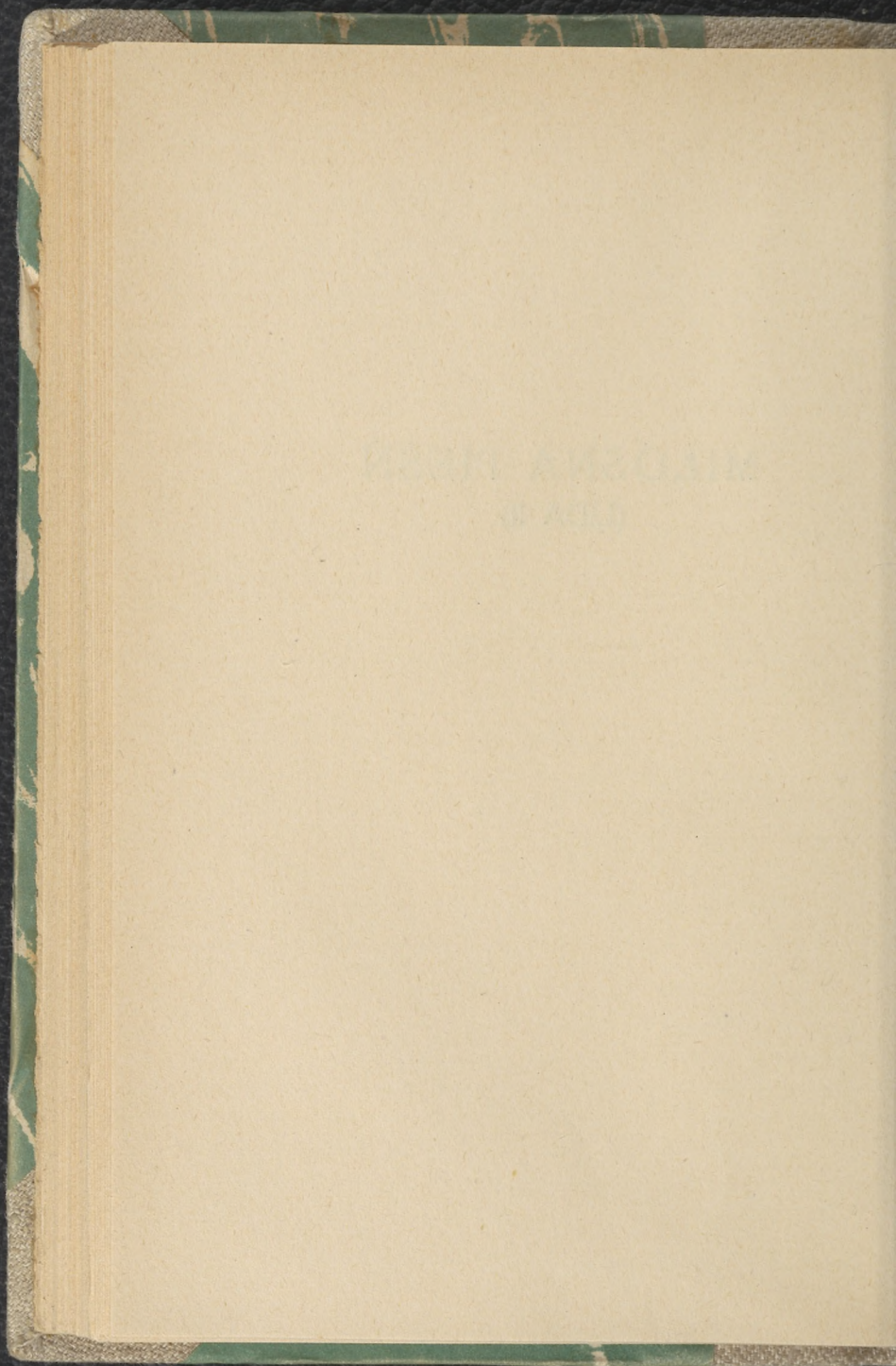
— Nie był — powtórzył Jewiszek — prze-
cież narzekał, okrutnie narzekał na wszystko.

— Nie bał się go pan? — zapytał komisarz,
ocknąwszy się nagle.

— Nie bałem. Gdyby go panowie tylko sły-
szeli! Ach, jak dobrze by go panowie zrozu-
mieć mogli!



MIŁOSNA PIEŚŃ
(LIDA II)



Po zagadkowej ucieczce Lidy, gdy młoda dziewczyna powróciła znowu na łono rodziny, nastąpiło u Martińców nowe życie, czy też właściwie nie nowe; każde inne raczej, niż nowe; wszystko nowe ma bowiem w sobie coś wyzwalającego i nawet choćby było najgorsze, byłoby sprężyną, która posuwa życie z większą siłą.

Nie było to więc nowe życie; jakoś bez słów, w milczącym i bacznie usiłowaniu zgodzili się żyć tak, jakby się nigdy nic nie wydarzyło.

Od tej chwili, w której powracająca do domu Lida odpowiedziała na pierwsze pytania matki rozdzierającym serce płaczem i po całej nocy scen i wyrzutów nie dała sobie wyrwać jednego słowa wyznań — nie padła już najmniejsza aluzja do tego, co się stało.

Łukiem oględności omijali wszystko, coby przypomnieć mogło to przykre zdarzenie; ale właśnie w tem kołowaniu doskonale wyczuwali, że fakt ten jest obecny, chociaż się o nim nie mówi.

Od pierwszego „dzień dobry“, aż do ostatniego ucałowania ręki matki przed spaniem,

pływały dni zasłonięte, jednostajne i takie ciche, że pod powierzchnią tej ciszy czuli smutek głębiny milczenia.

Wszystko było inne, zupełnie inne; gdy mówili do Lidy „dzień dobry“, brzmiało to prawie tak nieśmiało, jak krok wstecz; gdy wieczorem Lida schylała się do matczynej ręki, odbywało się to zawsze z oznakami takiej pokory, nędzy i poczucia winy, że matka niezdecydowanie uchylała ręki ruchem, który był równie bolesnym tak dla niej, jak i dla córki.

Wszystko zatraciło dawną oczywistość; a przecie bali się zadrasnąć czemkolwiek swoich gorących pragnień: niech wszystko będzie znowu tak, jak przedtem bywało.

Wydawało się im, że każda zewnętrzna zmiana przypomniałaby straszną i surową datę ucieczki Lidy. Starali się więc żyć jak dawniej; każde z nich połykało w osobności tę rozpaczliwą przemianę wszystkiego.

Lida na każdym kroku poniżała siebie. Bez słowa zerwała wszystkie swoje poprzednie stosunki, nie opuszczała domu i nie schodziła z oczu matki. Listy swoje oddawała matce, a gdy je otrzymywała z powrotem nieotwarte, odkładała je — nie czytając.

A jednak doszły dwa, które ją wzruszyły.

Zdawało się, że milcząc, dziękuje matce i bratu za ich dyskrecję, za każde słowo, które

do niej powiedzieli, za jakąś drobną pracę, którą jej powierzyli; przyjmowała to wszystko z pokorą i poniżeniem, ba! bezbrinnie, jakby to były ustawiczne łaski, których nie jest godna i które ją dręczą.

Wkońcu matka i brat nie potrafili już robić niczego bez ukrytej myśli, że może to Lidę choć trochę zajmie i rozerwie.

Mówili do niej spojrzeniem utajonej miłości i trwogi, ustawicznie na niej opartem; a gdy widzieli tylko zgnębianą i upokorzoną wdzięczność na jej ślicznej, bladej twarzy, wtedy podwójnie dotknięci, obmyślali nowe sposoby ostrożności i prześcigali się w okazywaniu Lidzie względów, które niestety sprawiały jej cierpienie.

W takim właśnie stanie psychicznym zastał ją Holub, gdy przypomniawszy sobie prośbę młodego Martinca wpadł do nich na wizytę.

Martinec i jego matka przywitali go z wyraźną ulgą; był jedynym, który wiedział o wszystkim, może więc nastąpić między nimi ciche i tajne porozumienie, może Holub wejść w całe to pajęczce przedziwo przezornych względów wobec Lidy, w którym sami żyli.

Zastał więc tych troje ludzi, którzy w zbytnej miłości, aż upekarzali się wobec siebie i stał się świadkiem, jak matka i brat prawie

że na kolanach składają ofiarę ze wszystkiego pięknej dziewczynie, która cierpi i leży przed nimi w prochu nieukojonego poniżenia.

Wtedy pomyślał sobie o tym łajdaku i odwrócił się szybko w stronę Lidy. W rozmowie i zachowaniu starała się zachować względny spokój; był wkońcu dla niej człowiekiem, który nic o niczem nie wie.

Dobrze, że nikogo nie przyjmują, nikogo! — pomyślał Holub, zobaczywszy uradowane twarze młodego Martinca i matki — i ślepy zobaczyłby, co się tu dzieje.

Odszedł spieszenie i z zadowoleniem; cała sprawa Lidy wydała się mu dziwnie obca.

Ale za dwa dni dostał od Martinca nowe i nalegające wezwanie. Uważali już widocznie za jego powinność, aby i nadal uczestniczył we wszystkim, co dotyczy Lidy. Wzruszył ramionami i poddał się.

Szybko spostrzegł, że rana jest głębsza, aniżeli się mu to pierwotnie zdawało. Proces zbliżenia się do tej małej rodziny nie przychodził mu tak łatwo. Sam nie był zdolny do pokory i dusił się w tej atmosferze, w której oddychało się tylko troskliwością o Lidę. Wydawał się między nimi jakiś hałaśliwy i pospolity; tyle ofiary z siebie, tyle niemyślenia o sobie leżało we wszystkim, co tu mówiono, tak każda drobnostka była tu przesycona uwagą,

miłością i względami na Lidę, że jego słowa wydawały się mu tak rażące, jak ślady zimnego błota w sypialni chorego, jak głośna rozmowa w pokoju, w którym się szepta, jak coś grubiańskiego i niepoświęconego. W takich chwilach męczył się w swym kącie, wstydząc się za atmosferę zewnętrznego świata, którą ze sobą wnosił.

Lida siedziała skulona na kanapie, bez ruchu, nic nie mówiąc, biernie wrażliwa na wszystko, co się zdarzyć mogło; już nie tała zbyt swęj zgrzyoty, drżącej na spieczonych wargach i w kryjących się przed spojrzieniami oczach — zadowolona, że może przynajmniej milczeć. Holub pojmował powoli: nie jest to tylko ból, jest to indolencja.

Lida poniża się; jest to dla niej nie wiem jaką rozkoszą, nie wiem jakim zadośćuczynieniem, gdy się tak w swem poniżeniu pograża jak najgłębiej, gdy się tak wkopuje strasznie w swoją hańbę i nie okazuje ani odrobiny woli, aby się z niej wyrwać i wszystko pozostawić wkońcu za sobą.

Nie pokusi się nawet o to, aby sobie sama przebaczyła; a może to jest trwanie w grzechu.

Lida jest bierna, bierna bez względu na wszystko; już się niczego nie skryje, już się niczego nie zasłoni cudnym ruchem wewnątrz-

nym, cudnem zamknięciem oczu nad sobą samą; zbyt nago, prawie brutalnie, prawie bezwstydnie widzi swoją hańbę i swój upadek, nie ma już nawet śmiałości, aby to zakryć usprawiedliwieniem.

A może znajduje rozkosz i zadośćuczynienie w tem, aby widzieć swój grzech najbardziej męczącym, jak tylko można.

Gdyby jakiś demon powiedział, co Lida myśli, doznanie to byłoby tak dzikie, tak nielitościwe i tak niewybaczające, że może ty sam wzdrygnąłbyś się. A gdyby nawet było jakieś słowo, które wszystko oczyszcza, Lida połknęłaby je i jeszcze chętniej wzięła na siebie wszystkie upokorzenia, na które może nawet nie zasługuje. A jeśli milczy, to czyni to dlatego, że milczenie jest w takich sprawach czemś niskiem.

Ale gdy znowu Holub zobaczył Lidę śliczną i cichą i tak piękną, że — zdawaćby się mogło — wszystkie rozkosze świata pożądliwie na nią czekają, wtedy nie mógł już zrozumieć, jakie pragnienie czy też namiętność, jaka pobudka woli gna ją w ohydny i poniżający ból takiej samoudręki.

Lida jest opętana — myślał sobie Holub — opętał ją demon bierności. Nie oddaje się bólowi z własnej woli, to ból i hańba trzymają

ją tem, co mają w sobie ujarzmiającego i podbijającego.

Do każdej radości potrzebna jest wielka doza własnej, wewnętrznej żywości; z twych własnych podniet rodzi się twoja radość, cierpienie jednak nie żąda niczego więcej, tylko tego, abyś się mu poddał.

Może to Lidzie daje złudne zadowolenie; czuje, że ją coś ponosi, oprzędza, coś nią owłada; wystarczy tylko poddać się, nic więcej, nic więcej, tylko to.

Zaprawdę, w największej głębi każdej kłęski jest coś groźnego i słodkiego: ogłuszenie, które cię pozbawi woli.

Wtedy nasunęło się Holubowi na myśl niespodziewane i krzykne przypuszczenie. Może nawet grzech Lidy wypływał z tych samych uczuć, którymi się ona dzisiaj ukaja.

Natrętnie wracało wyobrażenie mężczyzny, który uwiódł Lidę. Przedstawiał sobie typ poniekąd awanturńczy, bezczelny i bezwstydnny, przedsiębiorczy bez męstwa, agresywny i cyniczny, grubiański i banalny w uwodzeniu; wyobrażał sobie kogokolwiek z tych setek i setek mężczyzn zepsutych, niekrepujących się, zarozumiałych, przyzwyczajonych do postępowania raczej bez ceremonji, aniżeli po wariacku i osiagających wszystko przy pomocy jednego środka: wykorzystania sposobności.

Wyobrażał sobie, jak Lida, zetknąwszy się z tym człowiekiem, była raczej ogłuszona, aniżeli oczarowana jego zimną i zdecydowaną wolą, która wolna od skrupułów postępowała z nią, jak z jakąkolwiek dziewczyną; wyobrażał sobie, jak zdolna oprzeć się każdemu delikatniejszemu usiłowaniu, oszołomiona ślepo uległa skoncentrowanemu naciskowi, bez radości zgadzając się na wolę prymitywniejszą i bardziej jasną, niż jej wola.

Tak przykro i ciężko zarysowywała się przed nim przygoda Lidy; widział Lidę posłuszną demonowi, słabo się broniącą zgnębioną, podległą, wgniecioną w bierność; widział ją, jak bez celu włóczy się po ulicach, prześladowana przez jakiegoś mężczyznę, którego słowa popychają ją jak gwałtowne ręce; wkońcu widział ją, jak upada biernie, bezbronnie, bez rozkoszy i żądzy, nieomal dlatego tylko, aby się wreszcie wszystko odbyło.

W chwili, gdy tak myślał, podniósł na skuloną Lidę spojrzenie pełne grozy i zarzutów. Wyczuwał w niej coś ciemnego, coś bezwzględnie cielesnego: leniwą i bezsilną materję, przez którą nie przewiało do wnętrza żadne tchnienie boże; spoglądał zasmucony na jej piękność, która mimo wszystko nadawała jej czarowne i niepokalane uduchowanie.

Tak płynęły tygodnie i Holub nie mógł do-

strzec żadnej innej zmiany, prócz pewnego stopienia i nieomal znudzenia w stosunkach tej małej rodziny.

Nie mogli się już wyzbyć tego, gdyż i ból wkońcu mechanizuje się i zamienia się w nudę.

Widywali go zwykle późno popołudniu, gdy już zapadł zmierzch. Przychodził, wydychując chłód ulicy, żywy i zakłopotany, a także trochę zadowolony, gdyż niema nic bardziej bezpretensjonalnego jak chwile, spędzane w rodzinie.

Czasami nie zapalali nawet światła. W opieszłości i ciepłe takich wieczorów Holub czuł silny i bliski oddech kobiety.

W jeden taki wieczór zeszła rozmowa na wspomnienia z dzieciństwa; Holub opowiadał o swych latach chłopięcych, o młynie, w którym się narodził, o jazie, pod którym się topił. Wtem stało się coś, czego się nikt nie spodziewał. W ciemności odezwał się cichy i smutny, przytłumiony i śliczny alt Lidy. Zaczęła rozwodzić się o najdawniejszych wspomnieniach swego dzieciństwa, o pierwszej spowiedzi, o wsi, o sukienkach, o tem jak raz zabłądziła w lesie, o setkach bardzo dalekich i bardzo drobnych przygód; pamiętała tyle tych rzeczy, jakby już po stokroć razy chciała o tem mówić i z żalu nie znalazła dotąd sposobnej chwili, w której by to wypowiedzieć mogła.

Oczarowani słuchali jej głosu; drobnych, niebolesnych spraw, o których mówiła; w ten wieczór o mało co pani nie zapomniała zaświecić, a gdy wkońcu zapaliła lampę — Lida nie zmieniła już swojej swobodnej pozycji i dalej siedziała z nogami założonemi pod siebie; nic już nie mogło złamać uroku serdeczności.

Ale potem znowu nadeszły przytłaczające wieczory, w których Lida ożywiała się tylko chwilami; Holub zwrócił uwagę na to, że działo się to wtedy, gdy rozmowa zesłała na dzieciństwo, na sny i przecucia, na zabobony, na stosunek ludzi do zwierząt, na sprawy zupełnie mimowolne i zupełnie wewnętrzne; wtedy Lida zapominała o wszystkim, przytomniała i weseliła się, a Holub z podziwem myślał o tem jak tajemne, subtelne i pożądane są te na pozór nikłe pobudki, które wzniesają w niej życie.

Holub, podobnie jak wielu zawiedzionych ludzi, odnosił się do życia podejrzliwie; nie bardzo dowierzał ludziom i ich pobudkom, nie przekonywały go patetyczne stronice życia, gdyż wietrzył w nich zawsze podstęp i historję wielkich gestów. Całą swoją miłość rozlał na małoważne sprawy ludzkie. Zawsze gotowy sprzeczać się z czemś pretensjonalnem i nieszczerem, tracił odwagę przed wszystkim, w czem wyczuwał ślepy, chwiejny i nieroz-

ważny żywot wnętrza, który jest zwykle w połowie słabością a w połowie manją; prawując się z każdą prawdą skłaniał się ku wszystkiemu, co zadźwięczało bezpośrednim głosem duszy. Tak i teraz z osobliwym urokiem słuchał Lidy; choć może nawet z początku mówiła raczej dla siebie. Było to przecież zwierzenie i Holub był pierwszy, który domyślił się znaku wyzwolenia: potrzeby mówienia o sobie.

*

Była to jednak duchowa przemiana: wątpla jak rekonwalescencja, niezdecydowana i tajona, ale chciwa, pełna smutku i tęsknoty. Czasami badawcze spojrzenie chorej, któraby znowu podobać się chciała; to znowu spojrzenie z pod przymrużonych powiek, spojrzenie kotki, która chce być pogłaskana, albo spojrzenie chorego dziecięcia, proszące o coś nieznanego; oczy wparte w niego, albo uciekające słodkie, ospałe, rozpalone; ręce, które bawią się na kolanach, jakby drobiły coś nieuchwytnego; to znowu ręce, które odpoczywają; wszystko to: niepokój, zmysłowość, brak odwagi wzbudzało u Holuba drażniącą sympatję. W Lidzie budziła się jakaś odrobina życia; było to jakby jakieś cząstkowe bezduszne życie różnych osób. Przeżywała wiele i bez związku. Ogarnęła ją jakaś dziwna żądza, aby

przed kimś odkryć swoją duszę. Użyła do tego celu Holuba, aby niejako sylabizował jej wewnętrzne życie. Ustawicznie domagała się, aby jej przepowiadał z gwiazd; szukała prawdopodobnie swej własnej duszy i chciała się o niej czegoś przenikliwego i osobliwego dowiedzieć; każdy sąd Holuba wydawał się Lidzie odczuciem jej duszy.

Pograżała się w czytanie romansów i odnajdywała wszędzie siebie; toczyła z nim spory o każdą bohaterkę, każdą starała się usprawiedliwić i wogóle domagała się jakichś niezmiernie wielkich praw życiowych. Holub obawiał się, że niespodziewanie wypowiedzi się przed nim ze swojej winy, ale Lida nie napomknęła o tem nigdy, tak jakby tego nie było. Główną i osobliwą wagę przykładła do tego, aby nabrał o niej jakiegoś niezwykłego i romantycznego wyobrażenia.

Holub nie mógł sobie wytłumaczyć dlaczego Lida niektóre kwestje swego życia wyjawia mu aż tak nad podziw ściśle i poufale w chwilach samotności, zbliska wpiwszy w niego czarowne, błyszczące oczy, oparta o niego ramieniem, pochylona w jego stronę tak, że mógł pić jej oddech. Oczarowany i słaby, chociaż czuł niemoralność takiej rekonwalescencji — jednak nie potrafił się bronić przed rozkoszą, jaką znajdowali w tych drażniących zetknięciach.

Ale gdy znów zastawał Lidę taką bliską i wzruszoną, z jednym tylko zapytaniem w spojrzeniu: „co się ma ze mną stać?” — wtedy zapominał o niemoralności i o wszystkim innym i poddawał się chwili szczęśliwej, albo męczącej, wewnętrznie syty, czy to, gdy zabierał z sobą dotknięcie jej włosów, czy wilgotny zapach jej oddechu, który owiewał mu twarz.

Niktby się nie zdziwił, widząc ich tak zaprzyjaźnionych; ale dlaczego zmieniali swoją postawę, gdy wchodziła matka?

Holub podchwycił w oczach starej pani podejrzliwy niepokój, spojrzenie mądre i troskliwe: „jak może pan, który o tem wie?” Natychmiast zawstydzil się i opamiętał: Jestem niemoralny, nadużyłem ich zaufania, nadużyłem i tego, że Lida, podcięty kwiat znowu szuka oparcia na kimkolwiek, szuka bezcelowo, mimowoli, na ślepo.

Z przykrem brzemieniem wstydu włókł się Holub do domu, zdecydowany na to, że już nigdy do Martinców nie wróci. Przez trzy tygodnie nie poszedł na wizytę; wkońcu przybiegł do niego młody Martinec i z całą swoją naiwną gorliwością zaciągnął go do domu, radośnie jak pożądaną zdobycz.

Matka przywitała go pojednawczem spojrzeniem — —

Lida była smutna i milcząca. Nie, nie była smutna, lecz powabna jak nigdy i patrzyła na niego skrycie — a jednak — ach! była prze-smutna i opieszła, była nie wiadomo jaka, ale nigdy nie wydawała się mu piękniejsza i bardziej zagadkowa.

I Holub był smutny bezmiernie i nie wiedział o czym mówić, a wszystko co mówili inni wydawało się mu obce i obojętne; unikał prawie zupełnie rozmowy z Lidą i odszedł nie podawszy jej ręki.

Po raz drugi zaciągnął go młody Martinec mówiąc, że im brakuje go w domu bardzo.

Wtedy spędził z Lidą kilka chwil sam na sam, nie przysiadł się jednak blisko, choć odczuł to boleśnie jak wyrzeczenie się.

Lida wydawała się mu cicha i zrównoważona, a w zachowaniu jej nie dostrzegł nic drażniącego jak nieraz w poprzednich dniach; była bezwiednie harmonijna, naturalna i czysta, że aż cierpiał z podziwu.

I znów zaczął przychodzić bardziej regularnie; nic, zupełnie nic się nie działo, a przecie matka pełna była troski i zaledwie odważyła się podnieść oczy. Lida oddychała życiem głębi, silnie i szczerze; w zamyśleniu, w chwilach samotności uczuwała nagle, że chciałaby coś rzec; a Holub sam — — —

Gdy raz odchodził, odprowadziła go Lida do przedpokoju i na progu powiedziała mu śpiesznie i pocichu:

— Proszę przyjść jutro.

*

Tej nocy przyszedł Holub do domu skrycie szczęśliwy i wkrótce usnął; ale za chwilę przebudził się i zaczął rozmyślać.

Cała historia Lidy przemknęła mu przez głowę tak jak się od pierwszej chwili rozwijała. Znowu analizował swoją kalkulację poszukiwania, która wydała się mu teraz głupia, ale mimo to niewywrotna; znowu narzucał się mu fakt upadku Lidy w całym swem biernym ubóstwie i sromocie; znowu rozpamiętywał jej poniżenie i duchową przemianę.

Ogarniał go coraz większy niesmak, ale nie z powodu Lidy; niesmak ten spowodowany był samym faktem i rzeczywistością. Niema kogo sądzić. Niema co odpuścić. Ale właśnie, gdy się nie sądzi, nie potępia, czy też nie odpuszcza — wszystko wydaje się daleko gorsze i przykrzejsze.

Niepokój wygnał go z łóżka. Dlaczego, dlaczego w istocie nie sądziłem jej? Dlaczego nie było we mnie ani gniewu, ani litości?

Było mu tak, jakby się teraz upomniał o coś

bezzwrotnego. Ale pocóż właściwie sądzić — zrodziła się w nim przekorna myśl.

Oczyściłbyś ją bowiem sądem, — zadźwiewało w nim niespodziewanie; potępienie i odpuśczenie się okupem za czyn. Jeżeli niema grzechu w jej upadku — niema w nim i treści; jest bezcelowy, nie dający się już naprawić, gorszy niż wina. Nic, nic, nic, nie zdoła już zmyć faktu.

Było mu coraz ciężej. Przechadzał się po pokoju i przymuszał się, aby powrócić w stan tego skrytego szczęścia, w którym usnął; myślał o Lidzie, o jej wlepionem w niego spojrzeniu, o jej ślicznych rękach.

Wtedy rozdzwonił się w nim ściszony, przytłumiony głos Lidy:

— Pan jeden może mi dopomóc. Ach, co zrobiłam! Uciekłam z domu i żyłam trzy dni z ohydnyim człowiekiem. Niech mi pan dopomóż.

A potem zapłacze przesłodko:

— Nie mogę już tak kłamliwie żyć!

Holub stanął niby porażony, odwracając się w stronę kanapy, jakby ona tam siedziała.

— Nie, Lido, — myślał porywczo i żarliwie — nie, nie, pani nie jest winna, poco wogóle siebie winić? Proszę nie mówić już o tem, sprawa ta nie obciąża pani. Musiało się to oczywiście stać — ale niech się pani nie pyta dla-

czego, to zbyteczne wiedzieć. Niech się pani już nie martwi, nie męczy, to do niczego nie prowadzi, nic tam pani nie działa. Pani jest piękna panno Lido i bardziej godna miłości, aniżeli ktokolwiek.

Ale Lida pada na kolana — czyż oszalała? — i łka:

„Niech mnie pan sądzi, czy podła jestem?“

Wtedy on sam rzuca się na kolana:

„Jakżeż ja panią sądzić mogę, panno Lido? Proszę przecież rozważyć, że kocham panią! Czy to nie więcej, niż gdybym panią sądził? Choćbym sądził dobrotliwie jak Bóg, czy też pobłażliwie jak djabeł? Nigdy nie sądziłem pani.“

Znowu zaczął Holub przechadzać się po pokoju.

Jakież to myśli przychodzą mi do głowy, — złościł się. — Nigdy się to nie stanie, nigdy się Lida nie zdobędzie na to, nie jest taka... zbyt moralna. Niech raczej milczy i zapomni, przynajmniej niech ona zapomni.

Holub położył się bardziej jeszcze niespokojny niż przedtem i tęsknił w bezsenności.

Gdy następnego dnia stał już przed domem, do którego wchodził tylokrotnie zabrakło mu na chwilę odwagi.

Lida zapraszała mnie tak znacząco; co się stanie? Jak się mam zachować?

Nie mogąc się zdecydować palił papierosa i przechadzał się po chodniku.

Wtem wyszła z domu pani Martinowa, prowadzona przez syna. Z bijącym sercem skrył się Holub w sąsiednim domu.

Lida jest więc sama. Jedynie na to nie był przygotowany.

Holub skradał się po schodach, czując zimny dreszcz i bicie serca. Wyczuł jakąś niezwykłą ciszę w domu. Stał trzymając rękę na guziku dzwonka i mimo, że nie zadzwonił zdawało się mu, że słyszy przeciągły i rzeźki dźwięk. Czy przyjdzie otworzyć służąca czy też sama Lida. Drętwiejąc w oczekiwaniu przyłożył ucho do drzwi: nic, cicho, zupełnie cicho, ani brzękania w kuchni, ani odgłosu kroków po posadzce; nikogo tam niema. Lida jest sama. Być tak zupełnie sam na sam z Lidą. Jak strasznie cicho! Ogarnięty śmiertelną paniką oparł się Holub o poręcz.

Może Lida nie spodziewała się, że zostanie sama w domu, — rozbłysła mu nagle myśl — nie zapraszałaby mnie, gdyby była wiedziała o tem! Ale jeżeli wiedziała o tem, to czegoż chce? Co się stanie? Co uczynić? Co powiem jej, gdy mi otworzy? Ach, nic się przecież nie stanie, muszę się opanować. Niech się wkońcu dzieje co chce! Gdyby tylko nie wzgląd na starą matkę.

Poco te skrupuły? — odezwał się w nim brutalny głos — tak! gdybym był pierwszy...

Holub przeraził się. Ale co będzie jeżeli ktoś zobaczy, że stąd wychodzę? Co się stanie z Lidą? Wtedy zamajaczyły w jego wyobraźni migotliwe oczy i silne, spokojne ramiona, ramiona, w których bliskości ogarniało go bezmierne omdlenie. Ach, móc tak pocałować drzwi i potem uciec, jak zakochany chłopiec!

Cóż tam tak cicho? Nadsłuchiwał lękliwie. Co się stanie? Gorączka paliła mu usta. Starał się o tem wszystkim nie myśleć; tylko serce biło mu ze strachu i zmieszania.

Zbyt cicho. Może i Lidy niema w domu? — poczuł równocześnie ulgę i żal. Ogarnęło go ślepe i jedyne pragnienie: muszę się przekonać, czy jest w domu.

Już miał zadzwonić, gdy wtem na piętrze, wyżej, trzasnęły drzwi; ktoś schodził po schodach.

Jeżeli mnie tu zobaczy, — przeraził się Holub i zaczął uciekać jak złodziej.

Gdy znalazł się na dworze, było mu tak, jakby nagle wszystko runęło.

Szedł do domu z uczuciem bezbrzeżnego smutku, zdawało się mu, że coś stracił.

Tak jest lepiej, — tłumaczył sobie — jakżeż bym mógł tak postępować ja — który wiem

o wszystkim! jakbym mógł.. wykorzystywać sposobność! Musiałbym być albo zbyt kochany, albo niemoralny.

Tak jest lepiej, — przymuszał się, aby uspokoić sumienie.

Ale zaledwie wrócił do domu, ogarnęła go rozpaczliwa żalność. Może Lida dotąd czeka zawiadziona i poniżona — może niczego nie miała na myśli? Cóż stałoby się, gdybym się wrócił? Czy wogóle byłoby w tem coś złego? Była taka nieszczęśliwa! Czy byłoby w tem coś złego, gdyby wszystko spełniło się... w myśl jej życzeń... Taka jest piękna! Któżby ją śmiał sądzić?

Ze ściśniętem gardłem stał Holub przy oknie. Jeszcze jest czas. Mogę się wrócić.

Ale upływają minuty za minutą, ucieka szczęście, ginie największe szczęście życia. Teraz, teraz już może zapóźno. Koniec nadziei.

Wtem zabrzmiał krótki, urywany dźwięk dzwonka.

Holub przeraził się. Pobiegł otworzyć.

Była to Lida.

— To pani, panno Lido, — mówił zmieszany — nie wiedziałem — — — Chciałem właśnie iść do pani.

— Tak, — mówiła Lida również zmieszana — musiałam z panem pomówić. Czekałam

na pana, a gdy pan nie nadchodził — — — Ale nie mogę przecież stać tu na korytarzu.

Holub cofnął się z progu i Lida weszła. Chłodno i powabnie zapachniała świeżem powietrzem i perfumą.

Teraz stoi tu, na środku pokoju i nie wie, co począć, ma woalkę na twarzy (nigdy nie widział jej z woalką) i wielkie krople deszczu na futerku; napróżno usiłuje zerwać z rąk ciasne rękawiczki.

Jak tu wszystko w pokoju wygląda? — myślał Holub z trwogą — Boże! coby tu zakryć, coby tu w mgnieniu oka uporządkować? Wszystkie te dobrze znane rzeczy, książki, pióra, papiery, popiół... Bezradnie wodził oczami po pokoju. Gdzie schowam to wszystko?

— Pani zmokła? — odezwał się boleśnie.

Lida położyła rękawiczki i podniosła na niego ciemne, gorejące oczy. Twarz jej osłonięta woalką była blada i zmęczona.

— Musiałam z panem pomówić. Nie mogę, niech pan słucha, nie mogę już tak żyć.

Boże na niebie! — przeląkł się Holub, więc przecie.

— Co się z panią dzieje? Panno Lido, jak pani wygląda?

Lida usiadła ospale na kanapie.

— Nie mogę, — powtarzała — niech się pan nie gniewa, że przyszedłam, — zapłakała nagle —

Jest mi tak ciężko. Co sobie pan o mnie pomyśli? Dlaczego pana nie znałam dawniej?

— Proszę tak nie mówić panno Lido!

— Chciałam panu wytłómaczyć wszystko; ale jak mogę, Boże! jak mogę! Przecież sama nie wiem i nie wiem. Tyle rozmyślałam nad tem, jakby to panu powiedzieć! Pan powinien o mnie wiedzieć wszystko, pan, pan powinien, — mówiła jak w obłędzie — nie, niech mi pan nie odbiera tej odwagi; na kolanach powinnam to powiedzieć! Już nie chcę być taka podła, aby milczeć przed panem!

— Niech się pani uspokoi, — bronił się z rozpaczą Holub.

Lida pohamowała się jakoś, wlepiwszy wzrok w podłogę. Nagle podniosła na niego oczy, patrząc prosto i szczerze.

— Było to, zanim pan do nas przychodzić zaczął, — mówiła wolno. — Uciekłam z pewnym człowiekiem. Dopiero po trzech dniach przyjechał po mnie brat.

Holub osłupiał. Słuchanie tych zdań było przecież dla niego wielkiem cierpieniem.

— Dlaczego — Boże — dlaczego, — wyszeptał bez akcentu zapytania.

Z oczu Lidy poczęły płynąć łzy.

— Nie wiem. Mogę powiedzieć panu jego nazwisko. Nie wiem, jak się to stało; nie była to miłość, nie, miłość nie. Ale wtedy był

taki czas, że to ogarnęło mnie jak choroba; wogóle nęciło mnie to, aby gdzieś odejść i zrobić nie wiem co; nie chciałam tego, ale tylko tak o tem myślałam. Spotkał mnie wtedy na ulicy, zaczął za mną gonić i zapraszać do siebie. Nie wiem, dlaczego się na to odważył; ale dla mnie było to straszne, nie miałam pojęcia o czemś podobnem. Tak bez ogródek i tak po prostu chciał mnie. Potem czyhał na mnie wszędzie, dzień po dniu, wciąż i wciąż, ścisnął mi ramiona i patrzył w oczy; gdzie się tylko ruszyłam szedł za mną; odgrażał się. Raz pogrywał się na mnie i nie przyszedł już więcej; a ja wtedy napisałam do niego. Nie wiem już, nie wiem, nie wiem dlaczego to zrobiłam.

Holub zacisnął zęby. Nurtowały w nim gorzyc i zmartwienie.

— Wtedy zażądał, abym przychodziła do niego, — mówiła Lida dalej cicho i smutno. — Ale przychodzić przecież nie można było, nie można, niech pan zrozumie. Jeśli już, to tylko na wieki wieków — — aby się zamknęło nad głową jak woda. Abym już nikogo nie widziała — mamusi — nikogo. „Ucieknij ze mną“ — mówiłam mu — „a potem mnie zabij“. Przyszedł więc raz i powiedział: „Pojedziemy. Powiedz, dokąd chcesz?“ Poszłam z nim do jego mieszkania, z którego zabrał walizkę i rewolwer i pojechaliśmy. Już... pierwszej nocy, gdy

spał — przebudziłam go i powiedziałam mu: „Teraz mnie zastrzel“. Ale on wyśmiał mnie i znowu, znowu — — — Prosiłam go potem powtórnie: „Zastrzel mnie, proszę ciebie“. Wtedy wziął naboje i wyrzucił je przez okno do ogrodu. „Śpij“, — odezwał się tylko, a ja myślałam, że to już jest na zawsze koniec. Ale za dwa dni odszukał nas brat i odwiózł mnie do domu — — — Czyż człowiek może się potem tak zupełnie zmienić?

— Jak zmienić?

— Jak zmienić! Boże! żeby to było nowe życie! Czy może się człowiek zmienić o własnej mocy?

— N — n — niech się pani nie martwi panno Lido! — odezwał się Holub porywczo.

— Cóż mam więc robić? — zapłakała Lida głośniej — przecie już nie mogę tak żyć! Gdy pan do nas przychodził, to było tak — tak — — straszne dla mnie. Możeby wszystko znowu skończyło się tak, jak z nim — — mogło się to stać; albo inaczej, w inny sposób. Potrafię być lepsza — Lida gryzła w rozpacz palce do krwi — niech mi pan wierzy, niech mi pan wierzy, że tak. Gdybym pana nie była poznała, może nie potrafiłabym tego; ale teraz — — teraz — —

— Panno Lido, — przerwał jej Holub chrypliwym głosem.

— Nie, nie, niech mnie pan pozostawi w spokoju, — płakała Lida — wiem, że mnie pan teraz porzuci, z pewnością to wiem, z pewnością. — — A i tę ofiarę ponieść muszę za moją winę; nawet gdybym już pana nigdy nie miała zobaczyć. Wiem, wiedziałam, że wszystko z tego powodu przybierze okropny obrót; strasznie bałam się tej chwili i dopiero w drodze do pana przyszła siła. Dopiero na moście.

Nagle padła Lida na kolana i powiedziała głosem pełnym grozy:

— Niech mnie pan sądzi, — czy jest podła!

— Panno Lido, — powtarzał Holub na pół przytomny.

Lida wyciągnęła ręce wprzód:

— Nie, nie —

— Wiem przecie już dawno o wszystkim!

— wykrzyknął Holub.

Lida zerwała się, jakby uderzona w twarz:

— Pan wiedział — —

— Wiedziałem wszystko od samego początku. Gdy rodzina pani przypuszczała, że pani nie żyje, ja wiedziałem, że pani uciekła. Że pani uciekła z podłym człowiekiem i wszystko to — — Ale to ja właściwie odszukałem panią.

— Jak — jak — —, szeptała przerażona.

— Niech się pani nie pyta. Nie było trudno odgadnąć. Wiedziałam o tem, a przecie nie przeszkadzało mi to, abym chodził do pani — —

za panią — — panno Lido. Czy to panią może uspokoić, — dodał załamując ręce — ach, czyżbym mógł panią porzucić!

Twarz Lidy za woalką wydawała się blada jak chustka.

— Nie powinien pan był przychodzić, — przerwała mu porywczo i boleśnie.

— Nie, panno Lido. To lepiej, że wiedziałem o wszystkim. Nauczyłem się czuć z panią.

— Nie lepiej, nie, nie, nie, — odpowiedziała Lida trwożliwie. — Gdybym była o tem wiedziała. Gdybym to tylko przypuszczała — —

— To, coby było?

— Nic, nic z tego co jest. Nie mogłabym przecie chcieć. — O Boże! co pan sobie o mnie po tym dniu myślał!

Po tym dniu! — przeraził się Holub sam, — dobry Boże! jak to teraz musiało spaść na nią!

— Po tym dniu, panno Lido, — odezwał się powoli — myślałem o pani z miłością.

— Nie! — wykrzyknęła Lida — to niemożliwe! to niemożliwe! Jakby pan mógł!

Holub ujął ją za ręce.

— Panno Lido! przyszła pani dlatego, że pani o tem wiedziała!

Lida nie broniła się.

— To niemożliwe, — szeptała z rozpaczą.

Ręce jej wyslizgnęły się i opadły jak martwe.

Ach Lido — myślał Holub z bezmierną lito-

ścią — dlaczegoż więc pani przyszła? Na co się pani porwała? Jaką sobie pani pokutę wyobrażała? Ta chwila miała panią zbawić? Ta ofiara odkupić? Dlaczego pani pędziła tak na ostrze noża? I proszę patrzeć, jak nas zakłuło! Jaki pani wielki i dziwny czyn popełnić chciała? Jakiegoż to oczekiwała pani ode mnie wielkiego i wspaniałego postępu? Upokorzona stoi pani przed mizernym człowiekiem. Każdy czyn jest marny — i niema ani wygranej, ani wygrywającego.

Lida cofała się z rozpaczliwym ociąganiem się; dopiero teraz zdziwionemi oczyma rozglądała się po pokoju, gdzie miało mieć miejsce jakieś wybawcze, wyzwalające ją zdarzenie; widziała tylko te wszystkie nieznanne, obce, rzeczy — —

— Panno Lido, — zaczął Holub zduszonym głosem — pani wie prawdopodobnie, że matka pani — że już nie mogę bywać u pani swobodnie.

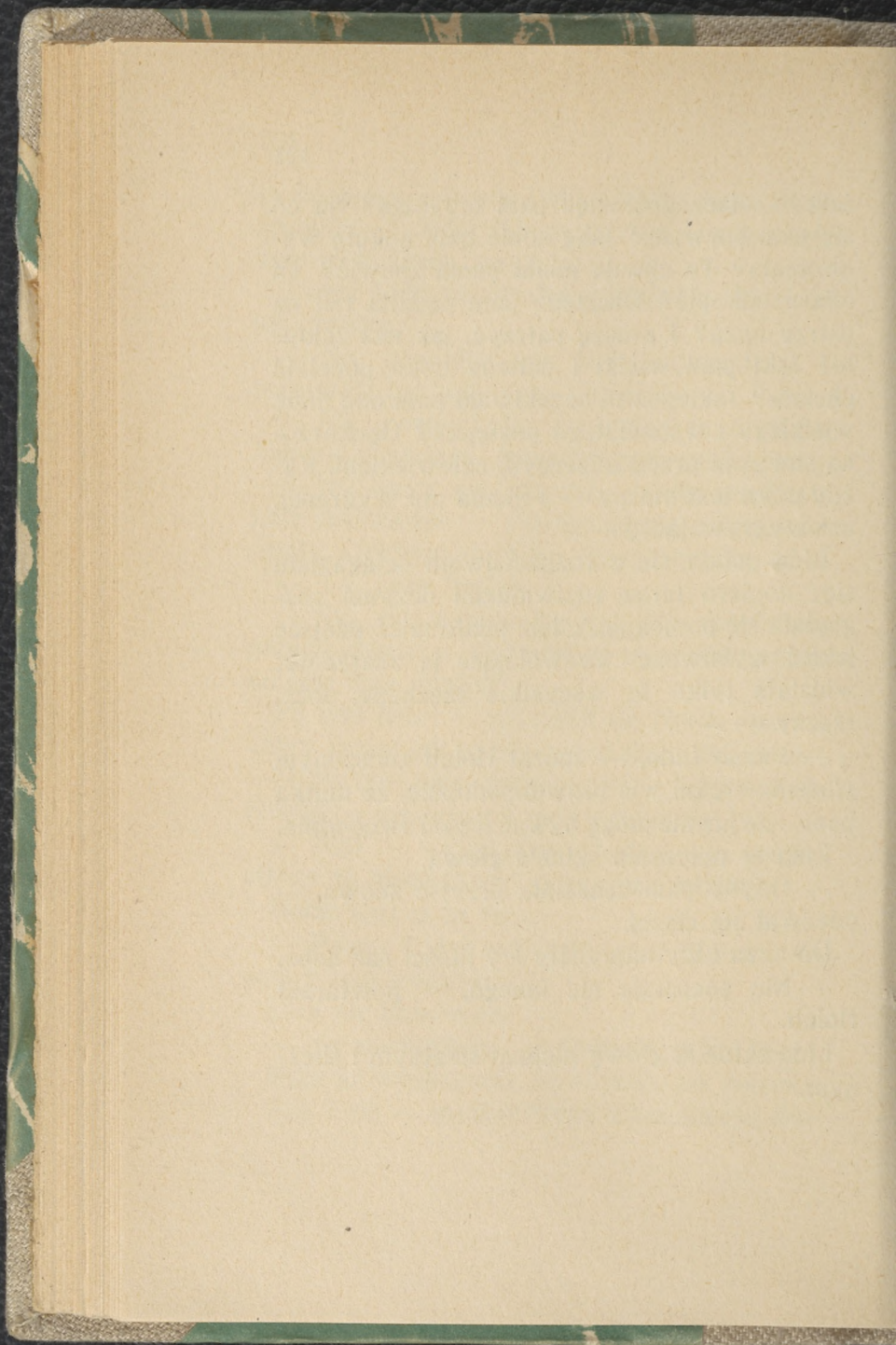
Lida w milczeniu skinęła głową.

— Gdyby pani zechciała przyjść znowu, — odezwał się ciszej.

Do oczu Lidy napłynęły łzy litości nad sobą.

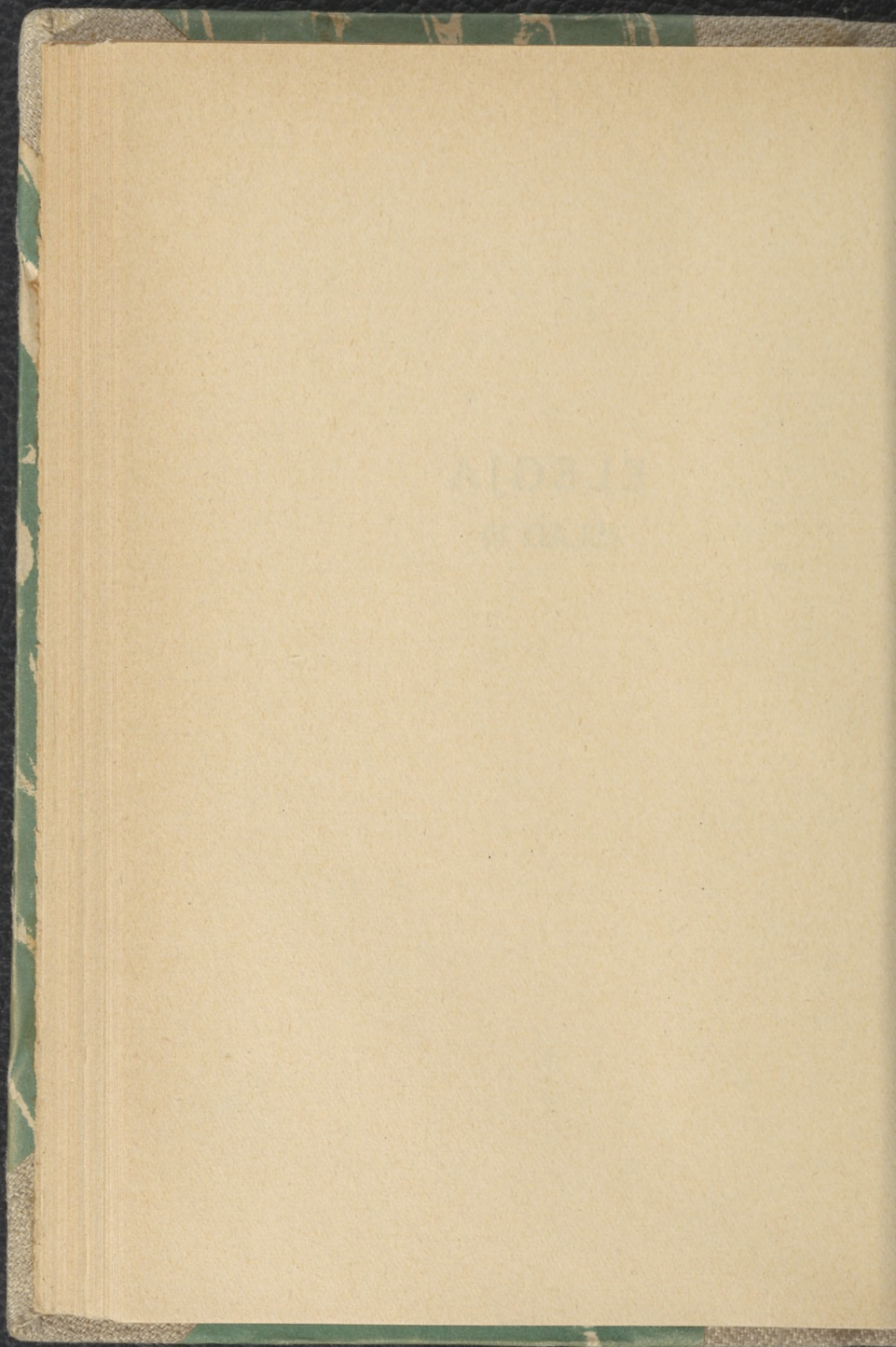
— Nie pozostaje nic innego, — powtarzał Holub.

Lida skłoniła głowę ruchem smutnym i ślicznym.



ELEGJA

(ŠLAD II)



Trochę zmęczony wykladał Boura w ten wieczór w Towarzystwie Arystotelesowskim. Chociaż miał niewielu słuchaczy, czuł się wyczerpany i roztargniony; zauważył, że nie przekonał bynajmniej audytorjum nastrojonego opozycyjnie i że będzie musiał wdać się w dyskusję.

Przez chwilę przysłuchiwał się swojemu własnemu głosowi; wydawał się mu jakby jakiś zgęszczony i zamazany, ciężki w kadencji i nienaturalny w akcentowaniu. Napróžno jednak usiłował go poprawić albo opanować. Słuchał więc swego głosu biernie i z przykrością.

Prócz tego niepokoił go słuchacze. Zdawało się mu jakby był oddzielony od nich ścianą, jakby był od nich niezmiernie daleko; zły był na siebie, że im zwierza swoje myśli.

Wszystkie te twarze wydawały się mu szablonowe i nudziły go. Wszystko było jakby jakieś nieżywe, do tego stopnia, że stracił pewność rzeczywistości i tonął w jakiejś próżni, której nie mógł przewyciężyć i wypełnić swojemi słowami. Przymuszał się gwałtem, aby obserwować poszczególne twarze; rozpozna-

wał między niemi znajomych, ale coś go odstręczało od nich, a niezliczone szczegóły, na które zwrócił uwagę dopiero dzisiaj po raz pierwszy — zaskoczyły go.

Co to ma znaczyć? — mówił do siebie niepewnie, gdy streszczał swoje wywody — dlaczego wszystko to, co wygłaszam, jest mi takie obojętne.

Był przecie bezpiecznie świadomy planu swego wykładu i mówił bez wahania i niepewności; wygłaszał ideę, którą już długo w sobie nosił, a która rozbłysła w nim w chwili jakiegoś zachwytu i była już teraz dla niego głębokiem przeświadczeniem.

Ale dzisiaj, gdy wśród niezwykłej ciszy, zalegającej audytorjum wygłaszał ją — było mu dziwnie i obco.

Przecież to wszystko prawda, — czuł chwilami — taka szczerą i jasną prawdą, że w tem już nawet niema nic mojego. Mówię tylko o faktach, które nie mają ze mną nic wspólnego.

Przypomniiał sobie, jakie bliskie, jakie osobiste były te myśli, które się mu objawiły w chwili natchnienia. Wtedy cierpiał, gdy chwiały się ich podstawy, a radował się z każdego nowego konkretnego dowodu, jakby swoim osobistem powodzeniem; wtedy to było jego wewnętrznem życiem.

Ale dzisiaj to wszystko jest tylko prawdą, czemś zewnętrznym i nieosobistym, czemś, co z nim niema żadnego związku, czemś tak nieżywym, że mimowoli śpieszył się, aby się tego pozbyć.

Im bardziej jednak się śpieszył, tem goręcej dręczyły go jego własne słowa; były tak abstrakcyjne i obce, zupełnie inne, niż to wszystko, co kiedyś myślał; każdy zwrot, każde słowo znane od dawna, rozbrzmiewały dla niego teraz głuchym, prawie bolesnym odgłosem powtarzania się.

I zaczął myśleć już tylko o zakończeniu; każdym słowem zmierzał do niego, z przykrą szczerością myślał, aby już być coraz bliżej końca!

Audytorjum czekało na dalsze jego słowa.

Już je mam, — uświadomił sobie Boura — teraz im wszystko wykażę, teraz przyjdą silne dowody. Tylko Boże! żadnej apatii, żadnej słabości!

I nagle Boura przeskoczył cały szereg dowodów i zakończył wykład, jakby ucinając go.

Arystotelkowie nie byli zadowoleni; kilku mówców powstało z zapytaniami i zarzutami.

Boura pojmował je tylko w połowie; teraz gdy słyszał swoje myśli, streszczone ustami innych, wydawały się mu jeszcze bardziej obce i oczywiste.

Dlaczego mam ich bronić? — myślał z tępym smutkiem — przecież to jest już ze mną związane, — to jest czysta prawda, nic więcej tylko prawda; przecież to mnie zupełnie nie dotyczy.

Mówił ciężko — gwałtownie usiłując skupić się, czuł, że przekonuje, że znowu wygrywa „swoją sprawę“.

Ale przecież nie jest to moja sprawa — potarzał sobie zdziwiony.

Wystąpił nowy oponent z włosami zaczesanymi na jeża, który wydawał się Bourze osobliwie ciekawy.

— Proszę, aby nam pan zechciał powiedzieć, jak pan definiuje prawdę — zaczął wojowniczo.

— Nie wykladałem niczego z noetyki — wymawiał się Boura.

— Ależ proszę! — uśmiechał się mówca sarkastycznie — zajmowałoby mnie to bardzo.

— Przerywa pan dyskusję — szemrali Arystotelkowie.

— Proszę wybaczyć — uśmiechał się zwycięsko człowiek z czupryną na jeża — pytanie moje należy do rzeczy.

— Nie należy! — huczało Towarzystwo.

— Należy — wygłosił nagle Boura.

— Proszę więc, aby pan łaskawie odpowiedział — powtórzył oponent.

Boura wstał.

— Proszę o zakończenie dyskusji.

Arystotelkowie zdumieli się.

— Byłoby lepiej pominąć to pytanie — mówił prezes. — Opieram się na zwyczajach, przyjętych w Towarzystwie, ale bynajmniej nie przymuszamy pana.

— Nie mam niczego do powiedzenia, nie wiem nic takiego, co by uzupełnić mogło mój wykład — odezwał się Boura z uporem.

Arystotelkowie uśmiechali się; na tem zakończył się wykład, a prezesowi nie pozostało nic innego, jak zamknąć zebranie: „z żalem, że byliśmy pozbawieni korzyści tak zajmującej dyskusji“.

Wkońcu Boura z suchą gorączką w gardle i pustą głową wy dostał się na dwór.

Był miły, zimny wieczór, zupełnie taki jakby miał padać śnieg. Dzwonki tramwajów brzmiały łagodnie, jakby owinięte bawełną.

Boura usłyszał, że ktoś biegnie za nim, skrył się więc za drzewem.

Obok niego stanął zadyszany człowiek.

— Jestem Holeczek — wyrzekł pośpiesznie — poznałem pana, gdy pan wykladał. Czy pan mnie sobie przypomina?

-- Nie — odrzekł Boura niepewnie.

— Niech pan sobie przypomni: przeszłego roku, nad tym śladem w śniegu —

— Aha! — uradował się Boura — to pan był! Doprawdy, bardzo się cieszę. Często myślałem o panu. A więc co, czy pan znalazł jeszcze dalsze ślady?

— Ach nie. Szukałem ich wprawdzie. Ale dlaczego nie odpowiedział pan w Towarzystwie na ostatnie pytanie?

— Nie wiem, nie chciało się mi.

— Otóż mogę teraz panu powiedzieć wszystko — gdy mnie pan przekonał — zupełnie szczerze. To, co pan mówił było takie jasne! Gdy ta jeźzysta maskara postawiła panu takie niedorzeczne pytanie, chciałem wstać i powiedzieć: „Co? Przez całą godzinę słuchał pan prawdy, a teraz pan zapytuje, co to jest prawda? Słyszał pan wywody, którym nie można się sprzeciwić. Nie było w nich ani żadnego załamania, ani błędu. Nie powiedziano tu niczego, coby nie było racjonalne od stóp aż do głowy“. Dlaczego mu pan nie odpowiedział?

— Pocóż odpowiadać? — mówił Boura jakimś zniekanym głosem. — Nie wiem, co to jest prawda. Wiem, że wszystko, co mówiłem, było jasne, logiczne, ściśle i jak pan tam zresztą uważa. Ale nie było to ani jasne, ani logiczne, ani ściśle, gdy mi po raz pierwszy wpadło do głowy. Wtedy były to pomysły tak dziwaczne, że musiałem się czasami śmiać. Sam wobec siebie robiłem wrażenie głupca. Byłem nie-

zmiernie szczęśliwy. A przecie nie było w tem ani odrobiny sensu. Nie wiem, skąd się to brało, takie bezcelowe, takie zupełnie bezcelowe.

— Ślady, które znikąd i nigdzie nie prowadzą — przypomniał sobie Holeczek nagle.

— Tak. A teraz stworzyłem z tego system, albo może i prawdę; wszystko jest w tem logiczne i jasne. Ale wówczas — nie wiem, jak się wyrazić — było to jakieś dziwne, piękniejsze, cudowniejsze. Nic z tego wtedy nie wypływało, na nic się to wtedy nie przydawało. Wiedziałem, że można mieć niezliczone mnóstwo coraz innych i przeciwnych myśli, równie pięknych i nadprzyrodzonych. Byłem świadomy swobody bez granic. Coś doskonałego nigdy się nie wywróci. Aż dopiero, gdy zacząłem z tego tworzyć prawdę, miałem uczucie, że wszystko przemieniło się nagle w materję. Wiele musiałem obalić, aby zostało jedno tylko: prawda. Musiałem udowadniać i przekonywać, musiałem być logicznym, musiałem rozumować rzeczowo. Ale dzisiaj, w czasie wykładu zrozumiałem nagle: wtedy, o tak, wtedy byłem bliżej czegoś innego, czegoś bardziej doskonałego. A gdy się mnie zapytał ten zacietrzewiony filozof: „co to jest prawda?“ — miałem już na języku odpowiedź: „prawda nie ma żadnego znaczenia“.

— Lepiej tego nie mówić — zauważył Holeczek rozważnie.

— Jest coś większego niż prawda, coś, co nie wiąże, ale wyswobadza. Były dnie, w których żyłem, jakby w zachwyceniu; taki wolny byłem właśnie wtedy. Nic się mi nie wydawało bardziej naturalne, aniżeli cuda. Myślałem: są to tylko wydarzenia swobodniejsze, aniżeli inne i nadewszystko doskonałe; są to tylko szczęśliwe wypadki między tysiącami nieudanych. Jak bliski był mi wtedy ten ślad! Ale równocześnie ze stanowiska prawdy nienawidziłem go. Ach, powie mi pan, że widzieliśmy go rzeczywiście?

— Widzieliśmy.

— Jestem taki zadowolony, że spotkałem się z panem, — cieszył się Boura. — Właściwie czekałem na pana. Chodźmy gdzieś, gdzie pan ma ochotę; wyszłem na tej katedrze, jak łajno na gościńcu. Niech pan sobie wyobrazi, chwilami widziałem siebie, jakby siedzącego w dole między słuchaczami.

Wstąpili do pobliskiej winiarni.

Boura był wzruszony, mówił wiele i wyśmiewał się z Arystotelków, gdy tymczasem Holeczek w milczeniu obejmował rękami szklenicę.

Więc tak, — myślał patrząc na Bourę — człowiecze niespokojny, czego właściwie szu-

kasz? Widziałeś w czemś cud i nie zbawił ciebie. Poznałeś prawdę i nie poddałeś się jej. Miałeś wielkie natchnienie, ale nie rozpałiło twego życia na wieki. O, gdybym miał twoje skrzydła!

Uskrzydłony duchu, czy może lotki twoje służą do tego tylko, abyś wszystko porzucał? Abyś nie miał nigdzie ani gniazda, ani spokojnego snu? abyś dolatywał aż gdzieś do próżni albo bawił się przestworem, albo chłodził sobie piersi nicością? Gdybym ja poznał cud, byłbym uratowany; gdybym znalazł prawdę, czyż nie trzymałbym się jej silnie? a gdyby do mego wnętrza wleciała iskierka boża, czyż nie byłbym jak kaplica z wieczną lampką?

Gdyby do ciebie przemówił sam Krzak Go-rejący — nie zbawiłby Ciebie. Ale masz oczy płomienne i poznałbyś Boga w krzaku i pokrzywach, a ja wówczas byłbym ślepy i materjalny i nie umiałbym dojrzeć cudu.

Ach, tobie brakuje niewoli egipskiej, aby cię wiara odkupić mogła; ale któżby cię spętać zdołał lotny i bezbożny duchu?

— Przypomina sobie pan, — nachylił się ku niemu Boura — zeszłego roku nad tym śładem; powiedział pan, że może tędy szedł jakiś Bóg i że możnaby go śledzić.

— Ach, nie, — zachmurzył się Holeczek —

Boga nie można poszukiwać na drodze, po której zwykli chodzić dedektywi.

— Więc jak?

— Zupełnie nie. Można tylko czekać, aż siekiera Boża przetnie twoje korzenie: wtedy zrozumiesz, że stoisz tylko cudem, wtedy na wieki utkwisz w zdumieniu i równowadze.

— Panu już przecięła?

— Nie.

Siedzący przy stoliku w kącie jakiś mężczyzna podniósł się i skierował ku nim.

Wysoki i tęgi, o wielkiej twarzy, rudy, prosty i zamyślony; stanął z głową zwróconą w bok i wpatrywał się w Bourę jakby z oddalenia.

— Co jest? — zdziwił się Boura.

Człowiek nie odpowiedział, tylko oczy jego jakby się przybliżyły, coraz uważniej, coraz ściślej, coraz bardziej badawczo.

— Czy to pan Boura? — odezwał się nagle.

Boura powstał.

— Tak jest; a pan?

— Czy miał pan brata?

— Mam brata — — — gdzieś na obczyźnie. Ale do czego pan zmierza?

Człowiek przysiadł się do ich stołu.

— To się tak przedstawia — — —, zaczął niewyraźnie.

Nagle podniósł oczy i odezwał się:

— To właśnie ja jestem pańskim bratem.

Boura ucieszył się tak bardzo, że aż się tem zmieszał:

— Ty! Toś rzeczywiście ty?

— Ja, — uśmiechnął się człowiek. — Jak się panu powodzi?

— Panu — — — mnie — — — Dlaczego tak mówisz?

— Nie jestem przyzwyczajony, — odpowiedział przybyły i pokusił się o uśmiech; ale na twarzy jego odbiła się tylko zastygła uwaga.

— Cała mamusia, — odezwał się, opisując w powietrzu palcem głowę Boury.

— Nie byłbym cię poznał, — mówił Boura z zapałem — Boże! po tylu latach! Pokaż się przecie! A ty podobny jesteś do ojca, tak, do ojca!

— Możliwe.

— Jaki przypadek, — cieszył się Boura. — Tylko przypadkiem tu zaszliśmy, ja i — mój przyjaciel pan Holeczek.

— Bardzo mi przyjemnie, — odezwał się przybyły dostojnie i podał Holeczkowi swoją wielką, gorącą rękę.

— A ty co? — zapytał Boura niepewnie.

— Nic, jeżdżę w sprawach handlowych. Mam coś na południu — przedsiębiorstwo przemysłowe. Ale zboczyłem z drogi do domu.

— Nie byłem w domu — — — od śmierci rodziców, — przyznał się Boura.

— Nasz dom zburzono. Coś tam stoi, szkoła, coś tak obrzydliwego z cegieł. Wszedłem do środka, ale zaczepili mnie i zapytali czego chcę. Byli tacy głupi, o niczem nie wiedzieli. Ale naprzeciw jest taki domeczek jak wtedy, taki niski, — mówił pokazując ręką.

— Nie wiem, nie pamiętam, — jękał się Boura.

Rudy człowiek nachylił się ku niemu i jakby sobie coś usilnie przypominając patrzył w niego skupionym wzrokiem.

— Był tam — był tam — Hanousek, — wykrzyknął nagle radośnie — Hanousek, żebrak tam mieszkał.

— I jego córki! — wyjaśniał Boura.

— Tak. Miały czerwone oczy, takie bolesne krążki wokół. A ja chodziłem do nich bezpiecznie.

— O tem to nie wiem nawet, — zdziwił się Boura.

— Chodziłem. Piekły dla mnie bułki na blaszę — — Co tylko stary wyżebrał, różne resztki i skórki, groch, inne straszne rzeczy — wszystko zjadałem. Potem kładłem się do łóżka żebraka, w którym pały się na mnie jego wszy.

— Dlatego wołaliśmy na ciebie tak napróżno — uśmiechał się Boura.

— Nie. Gdyście mnie wołali, byłem w górze, na stoku, w wysokiej trawie — o takiej wysokiej. Nikt nie znał tego miejsca. Tam miałem swoją jamę jak zając, z której patrzyłem na dom. Widziałem doskonale jak mamusia wybiegała, wołała na mnie, szukała mnie, płakała ze strachu i miłości; było to dla mnie męczące i słodkie, słodkie aż do śmierci, ale nie odezwałbym się był za nic na świecie. Bałem się, że mnie zobaczy, a mimo to kiwałem do niej ręką. Tylko troszeczkę chciałem się jej pokazać, tylko tak maluczko, aby mnie nie poznała.

— Ona często ciebie szukała, — przypomniał Boura.

— Często. Chciałem ją tylko doświadczyć, czy będzie mnie szukała; siedziałem tam bez oddechu i czekałem aż przyjdzie. Wołała, szukała, ale już nie płakała. A raz nie wyszła nawet na pole. Wtedy czekałem do wieczora i aż się bałem, taki byłem samotny. Ale nie przyszła. A ja nie poszedłem już więcej na stok i zacząłem się włóczyć daleko i coraz dalej.

— Gdzie ty właściwie teraz mieszkasz?

— W Afryce. Myślałem, że mnie nie kochają i dlatego tak się włóczyłem. Chciałem spróbować, czy mi się coś wydarzy. Lubiłem takie

uczucia. Ho, w domu nikt ze mną nie mówił, chodziłem więc pogawędzić z dróżnikiem na kupie żwiru. Stary Hanousek nigdy nic nie mówił, czasami tylko trochę wymyślał; ale jego córki mówiły wiele i to tak cicho.

— Co robiłeś potem? — zapytał Boura prawie nieśmiało.

— No cóż — — — rudy człowiek zamyślił się.

Boura czekał niecierpliwie. Może brat coś powie o sobie.

Między nas, — myślał — zwał się taki okres czasu i taka odległość, że nie łatwo mu przyjdzie zasypać tę przerwę kilkoma słowami. Otóż bracie, będziemy lata tak siedzieć i mówić o drobnostkach, o rzeczach codziennych i mało znaczących, o wszystkim co wiemy; niezmiernie wiele najpospolitszych potrzeba rzeczy, aby się ludzie zbliżyli i zrozumieli.

Ale wielki brat tylko palił, spluwał i patrzył w ziemię. Bourę zaś ogarnęło dziecinne uczucie: to jest on, starszy brat, który może robić co chce i który ma swoje tajemnice. Chciałbym wiedzieć wszystko, co brat robi, ale on wszystkiego nie opowie. Chciałbym mu powiedzieć wszystko co robię, ale on mnie nie zapyta. Ach, nigdy go nie będę rozumiał!

Jak często, jak często widziałem go wracającego skądś z twarzą rozognioną, tajemniczą i sytą jak kotka, która łapczywie i z rozkoszą pożarła wróbleta na strychu i wraca powalana sadzami, ze zbrodniczo świecącemi oczyma! Jak często szedłem na miejsca, które opuściłeś, aby tam wypatrzeć, czyś czego nie odkrył, albo co skrywasz i przetrząsnąwszy wszystko, oszukany i biedny znajdowałem tylko pajęczy rąbek rzeczy! A dzisiaj masz tę samą twarz, którą znam; wracasz skądś tajemniczo jak wtedy, gdy byłeś podobny do kotki, która przypomina coś sobie i zarazem przeżywa rozkosz przeszłej wyprawy.

— No cóż, — odezwał się nagle wielki brat z jakąś ulgą. — Pójdę. Bardzo, bardzo się cieszę, że widziałem pana.

Boura powstał zmieszany.

— I ja bardzo cię cieszę. Ale zostań przecie! Tyle lat nie widzieliśmy się!

Wielki brat ubierał się już.

— Prawda, wiele lat. Bardzo wiele lat. Życie jest zbyt długie.

Obaj bracia stali niezdecydowani nie wiedząc, jak się rozejść; wielki brat pochylił głowę, jakby czegoś szukał, jakiegoś lepszego, czystszeo słowa; przymuszał się do uśmiechu i poruszał wargami.

— Nie chcesz pieniędzy? — wykrztusił wkońcu — mam ich dosyć.

— Nie, nie, — bronił się Boura, nagle bezzmiernie szczęśliwy i zachwycony, — nie, proszę cię, nie trzeba; ale dziękuję ci, jesteś zadowolony. Jedź z Bogiem, jedź z Bogiem;

— Dlaczego nie? — mruczał starszy brat i ociągał się. — Sam nie potrzebuję. Jak pan chce. Więc z Bogiem.

Odchodził wielki i prosty, tylko głowę miał pochyloną nieco w bok.

Holeczek odprowadził go oczyma aż do drzwi i widział, jak ten wychodząc skinął jeszcze ręką.

Boura patrzył w ziemię.

— Zostawił tutaj laskę, — zawołał Holeczek i pobiegł z laską za odchodzącym; był zresztą zadowolony, że może zostawić na chwilę Bourę w samotności.

Nad sobą, na schodach usłyszał kroki.

— Hej panie!

W dwu susach był na górze. Staął w drzwiach. Ale ulica — jak daleko sięgnął okiem — była pusta. Padał wielki śnieg, który zaraz topniał. Odwrócił się zdumiony i spojrzął w sień. Nic, tylko schody w dół, do winiarni. Z pod muru wystąpiły dwie postacie. Policjanci.

— Nie wybiegł stąd nikt na dwór? — zapytał Holeczek śpiesznie.

— Co ukradł?

— Nic. Gdzie poszedł?

— Wogóle nikt nie wyszedł, — odezwał się policjant — odkąd tu jesteśmy nikt z winiarni nie wyszedł.

— Jesteśmy tu od dziesięciu minut, — dodał drugi.

— Może jest jeszcze na dole.

— Niema, — zaprzeczył Holeczek zdumiony. — Szedł kilka kroków przede mną. Zapomniał na dole laskę.

— Laskę, — powtarzał strażnik w zamyśleniu. — Nie, nikt na dwór nie wychodził.

— Ale przecież nie mógł zniknąć, — wykrzyknął Holeczek z nagłą złością.

— Nie mógł, — potwierdził policjant łagodząco.

— Niech pan idzie na dół, — radził drugi — pada śnieg.

Uważają mnie za pijanego, — zrozumiał Holeczek — a przecie wypilem zaledwie szklanczkę wina. Co to jest znowu?

— Szedł kilka kroków przede mną, — objaśniał powtórnie rozgoryczony, — nie mógł się przecie tak zgubić, a gdyby wyszedł na pole, panowie byliby go widzieli, nieprawdaż?

Policjant wyciągnął swoją książeczkę:

— Jak się nazywał ten pan?

— Głupstwo, — odezwał się Holeczek — co panowie zamierzają?

— Kto wie, co się z nim stało. Może wypadek, albo — — —

Niepohamowany gniew szarpnął wargami Holeczka.

— Gdyby to było tylko to, — wykrzyknął i trzasnąwszy drzwiami pobiegł na dół.

Boura siedział nad swem winem, z żalości pił i prawie nie zauważył, że Holeczek wyszedł.

— Brat pana zniknął, — oznajmił mu Holeczek, trzęsąc się z zimna i wzruszenia.

Boura potrząsnął głową:

— To do niego podobne.

— Za pozwoleniem, — przerwał mu Holeczek niecierpliwie — szedł po schodach w górę i nagle zniknął; na dwór wogóle nie wyszedł, jakby się pod ziemię zapadł.

— Właśnie tak, tak, — potakiwał Boura — jakby się zapadł. — Zawsze to robił. Odbiegł i nigdy nikt nie wiedział gdzie; a potem wracał z twarzą dziwną, skupiony, zagłębiany sam w sobie, jakby widział więcej, niż zrozumieć można.

— Do diabła, niech mnie pan zrozumie: nie odbiegł, tylko zniknął. Przecież to jest absurdalne. Zniknął w sieni; dwaj policjanci stali

przy bramie i nie widzieli, by wogóle wychodził.

— Dziwak, rzeczywiście dziwak. Już w dzieciństwie był taki — — — tak, niepoczytalny odludek, strasznie roztrzepany, surowy i zamysłony. Nie zna go pan prawie.

— Ale pan coś wogóle nie może tego pojąć,— wysiłał się Holeczek. — Zniknął jak duch, przeszedł jakby przez ścianę.

— Łap go! Był zawsze taki niepowściągliwy we wszystkim, taki lotny. Nigdy nie troszczył się o to, co mu wolno jakby nie miał sumienia ani granic w swoich uczynkach. Tak często, tak często wprowadzał nas w zdumienie!

— Ale czyż można tak zniknąć?

— Nie wiem. Mój brat nie chodził do szkół, nie ma pojęcia o wiedzy, nie wie wogóle co jest możliwe, a co niemożliwe. Doprawdy, w niezwykle sposób pogardził całą nauką.

Holeczek uderzył w stół.

— Ale przecież to nie ma żadnego znaczenia.

— Więc cóż? — odezwał się Boura, podnosząc oczy.

— Nikt nie może zniknąć! Rozumie pan, tutaj są — — —

— Fizyczne granice, ja wiem, to samo mówił pan nad tym śladem. Fizyczne granice! jakby panu na nich tak zależało! Otóż widzia-

łem niejedno i czytałem o rzeczach większych aniżeli to; ale z tego wszystkiego niczego lepiej nie zrozumiałem, jak wskrzeszenie córki Jaira. Widziałem martwą dziewczynę. Ach, w tym ohydny mechanizmie jedyne byłoby naturalną prawdą: cud.

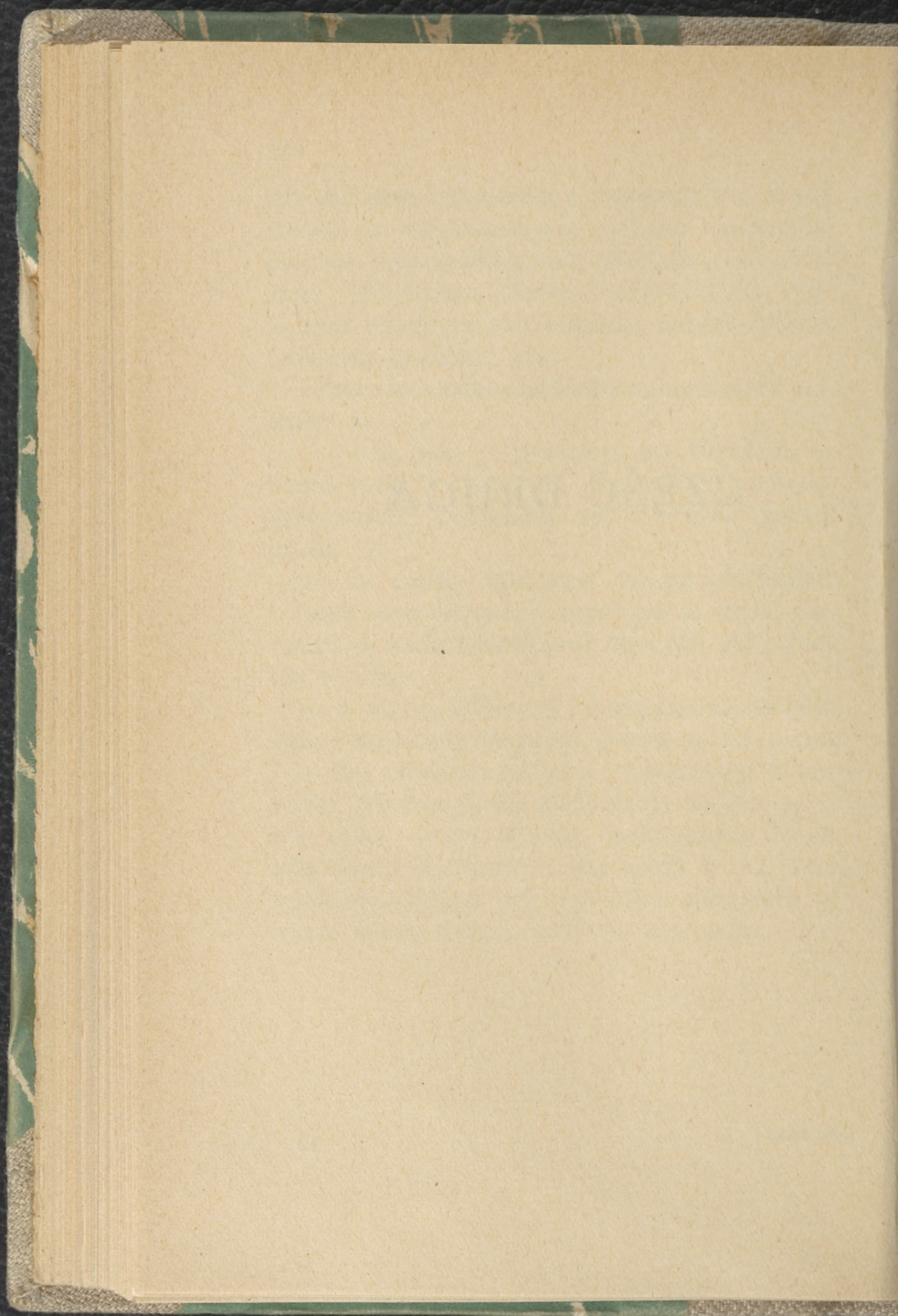
Jedna rzecz odpowiadałaby człowiekowi najlepiej — — —

— Cuda, tak, — przerwał mu Holeczek — kogoś ocalić, uzdrowić chorych, a przede-wszystkiem wskrzesić tych, którzy umarli młodo —

Ale do czego prowadzi to, co widziałem i komu to dopomoże? Jeżeli są to cuda, dlaczego są takie bezcelowe? Nic, ach nic z tego nie wynika.

— A gdyby nawet to do niczego nie prowadziło i na nic się nie zdało! przecież jest to cud. I w nas również są takie wydarzenia i wypadki, które może nie mają innego celu — — — jak tylko swoją własną doskonałość. Nagłe przebłyski wolności — cóż kiedy to są tylko mgnienia. Gdyby się wszystko odbywało na miarę duszy naszej, działałyby się cuda.

CZĘŚĆ DRUGA



ZASTÓJ CZASU

BRAND 10724

Dlaczego ten, o którym myślę, a który nachyla się nad biurkiem jest taki nieruchomy? dlaczego nadśluchuje i czeka, że stanie się coś zewnątrz niego, coś co mogłoby być dla niego wskazówką w smutku i zamknąć ten nieskończony szereg niepewności, które go dręczą?

Wszystkie rzeczy wokół niego, są czemś, do czego się już przyzwyczaił, czemś co jest osłonięte melancholją.

Tylko przeciwległa ściana ulicy ma — w bezkształtnej ciszy — wyraz niezwykle głupi i tak nieprzyjemny, że cierpiąc z radością podchwytuje turkot dorożki na bruku, jako punkt wyjścia z tej sekundy w przyszłość.

Klap, klap. Stukot kopyta, turkot kół, długi, rytmiczny łańcuch łoskotu na skręcie i szybkie grzechotanie po kamieniach: to jest coś, co się rozwija jak kłębek i dąży w oddalenie.

A teraz — w odległości — coraz bardziej się ucisza ten tykot długi jak cienka, naciągnięta nić, tak cienka, że może już jej nawet niema, że może już nie jest niczem więcej jak tylko oddaleniem niesłychanie długim i cichem.

Cisza z wnętrza i cisza z zewnątrz zlewają się jak dwie płaszczyzny niepostrzeżone i niczem się od siebie nie różniące.

Wszystko jest zupełnie podobne do równiny nieporuszonej i rozciągniętej.

Człowiek przy biurku taji oddech, a serce jego rozciąga się jak równina.

Cisza jest napięta jak płótno a wszystkie rzeczy są kęsami tej ciszy, wprasowanymi w gładką równinę bez ruchu.

Biurko i ściany i wszystkie rzeczy dookoła przypominają rysunek na wygładzonej powierzchni, jasny, bez skrótów i cieni.

Są częściami napiętej powierzchni płaszczyzny, na której niema ani fałdu, ani szorstkości. Są umieszczone w tej niematerjalnej równinie, jak źdźbła zamrożone w lodzie.

Ani nawet człowiek przy biurku nie jest poza tą płaszczyzną. Tkwi właśnie w niej bez ruchu — w tej niezmierzonej płaszczyźnie rzeczy i nie może się z niej wyrwać.

Człowiek czuje, że gdyby się poruszył — ta całość wywichnęłaby się i wypaczyła a napięta powierzchnia skotłowałaby się strasznie.

I nastąpiłaby chwila bez zdziwienia, bez głębi, bez czasu.

Lęk, że to jest może śmierć, odejście, zagłada.

Nie czuć — to znaczy pozytywnie czuć niebyt i jego silne cierpienie; nie czuć to: zapasy bez ruchu, które stacza myśl z nieświadomością; to cieśń w granicach próżni. A wokół ró-

wnina o smutnej martwej przestrzeni. A to, co przystało jest c z a s e m. Gdyby nim można było poruszyć, rozsypałby się na tysiące sekund, które opadłyby martwe, jak proch.

Lecz człowiek przy biurku boi się poruszyć.

W ciszy tej podobny jest do zamkniętego owada w przeźroczystym bursztynie. Tak: skrępowany zupełnie.

I nagle kroki na chodniku głośne, piękne i regularne.

Świat nieruchomej płaszczyzny rozpadł się w bezgłośniejszej eksplozji.

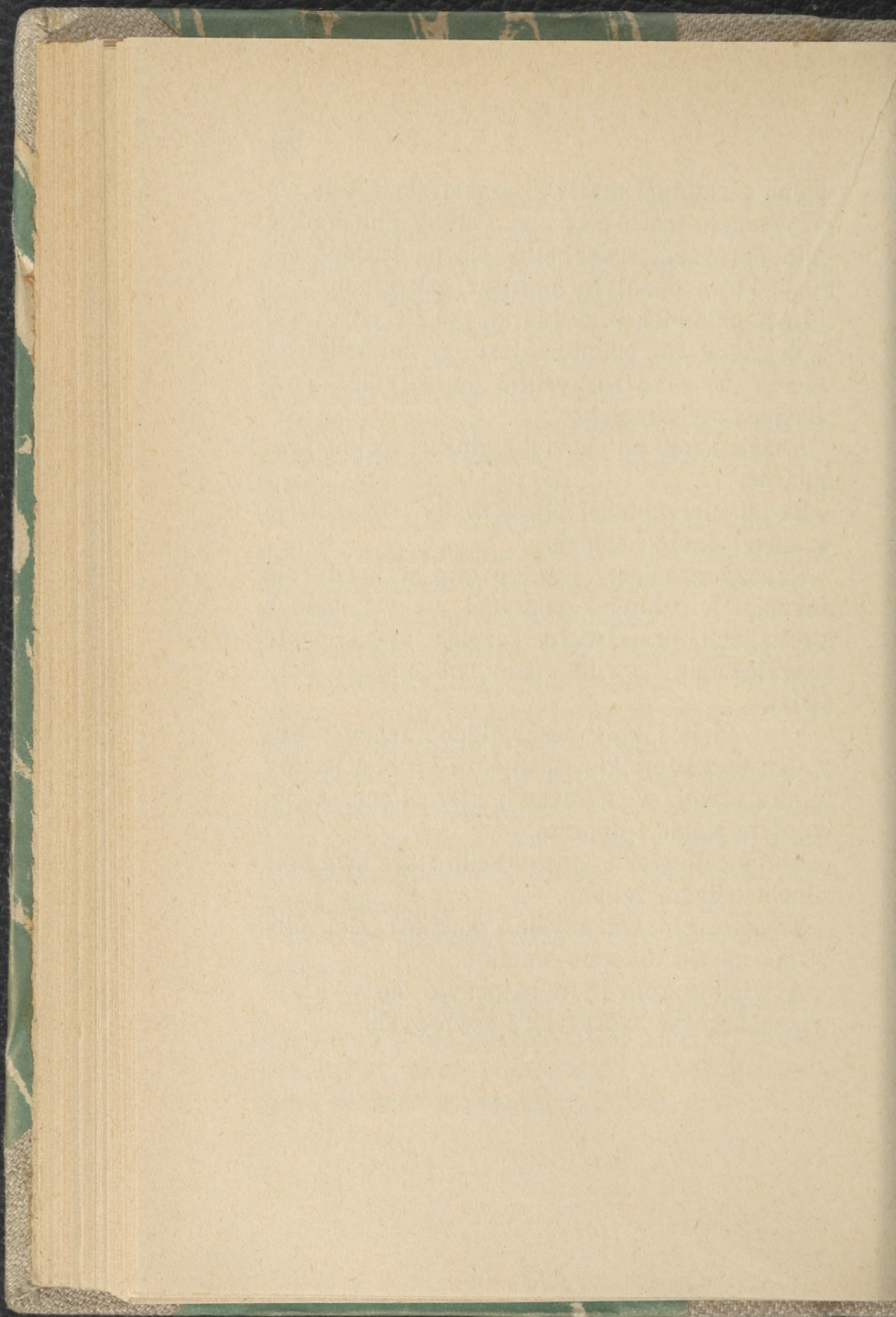
Rzeczy graniaste i bryłowate wznosiły się pękając. A człowiek popłynął we wszystkich kierunkach przestworu, czując swe bogate rozgałęzienia i swoje ruchy, obejmujące cały świat.

Krawędzie i kąty wszystkich rzeczy odrywały się z szorstkim szumem i szybko leciały w przestwór w swoistych kierunkach, z pewnością siebie i uporem.

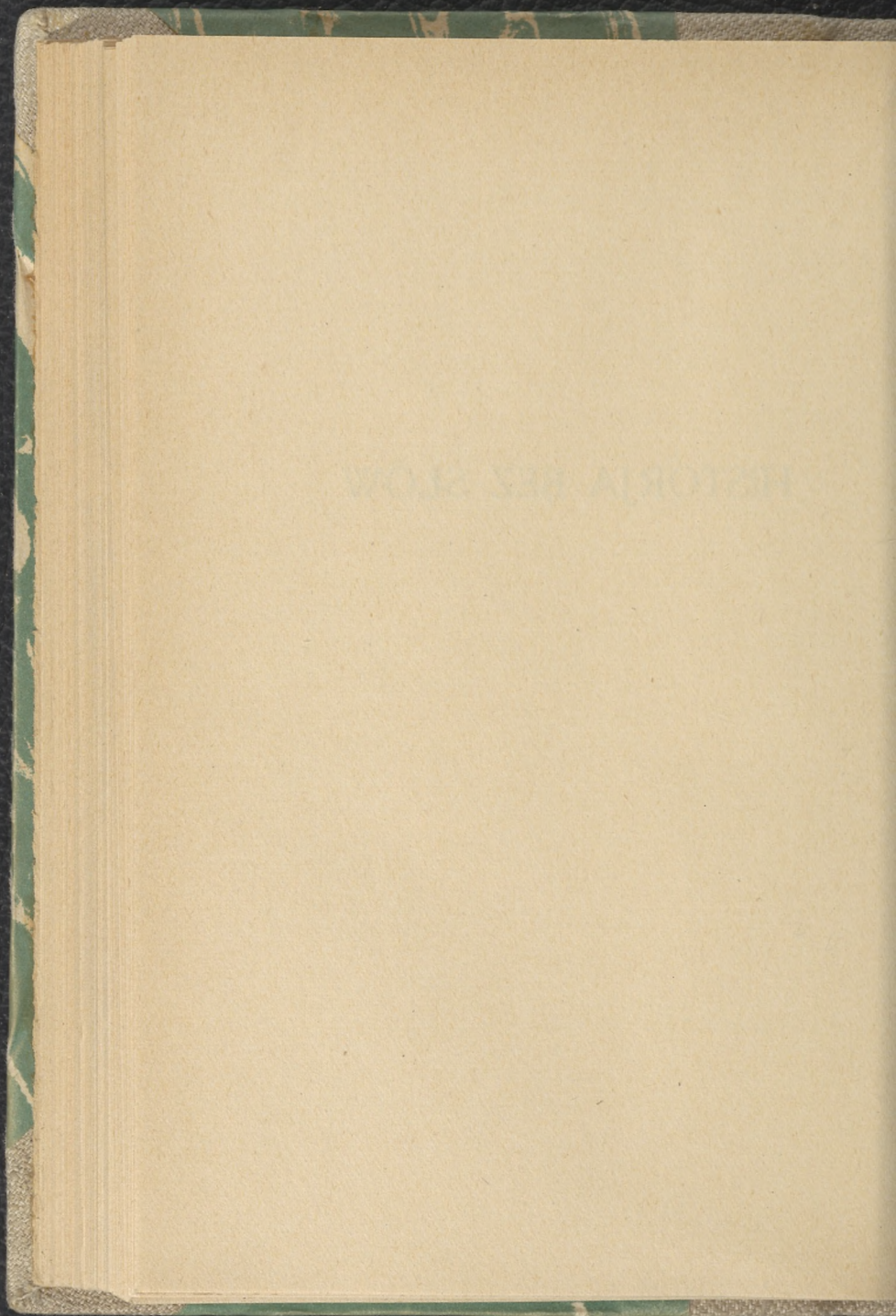
Serce człowieka podchwyciło stare swe bole silnem, silnem tętnem.

Ten, o którym myślę, podniósł się, aby wziąć na się brzemień smutku.

A wielkie koło bytu potoczyło się w krzywiznach coraz szerszych i szybszych.



HISTORJA BEZ SŁÓW



Lasy w nocy głębokie są jak toń bez dna, a ty w milczeniu patrzysz na gwiazdę nad Melatynem, myśląc o zwierzynie, która śpi w gąszczu, o nieprzerwanym śnie wszystkiego i o wszystkim, co w tobie nie usnie nigdy.

Długie, bez końca długie, są pochmurne dnie; ileż to razy wędrowałeś przez las — a chociaż niezliczona była mnogość twoich kroków i wspomnień — jednak nigdy nie doszedłeś do końca ani kroków ani wspomnień swoich: tak długie i głębokie są lasy pod Melatynem.

Ale dzisiaj jest płonące sierpniowe południe, które pali żarem na otwartych wyrębach i sierpem światła wżyna się w gęstwiny.

Jest taki jasny dzień, jakby się przerzedziły głębokie lasy i rozstały przed słońcem.

Żar wypił wspomnienia moje i omal nie usnąłem. Nie wiem czy z rozkoszy, czy ze zmęczenia, ukołysany białymi baldaszkami, które rozwiały się nad głową.

W taki dzień szedł Jeżek przez las, zadowolony, że o niczem nie myśli i nie może myśleć. Szeroko oddycha rozgrzanem powietrzem.

Od gałęzi oderwała się szyszka — widocznie zapomniała się jej trzymać, taki był bezwietrzny dzień. Korony strzępiły się a wśród nich poruszało się światło.

O jaki piękny, piękny dzień!

Jak połyskują srebrem drżące kłosy mietlicy!

Ułagodzony radością albo nudą, wsłuchiwał się Jeżek w ciepłe brzęczenie lasu.

Olśniony stanął na skraju zrębu, gdzie żar drgał bezgłośnie.

Co tu leży?

To jest człowiek.

Leży twarzą do ziemi i bez ruchu. Na wyciągniętej ręce pasą się muchy, których leżący nie płoszy.

Czy jest martwy może?

Nabożnie i ze zgrozą nachylił się Jeżek nad wyciągniętą ręką, która trzymała stary kapełusz z szerokim rondem. Muchy nie odleciały. Na starej podszewce widniało kilka — niestarych dotąd — liter, z których odcyfrować można było:

„ERTA EL SOL“

— Puerta del sol! — odgadł zdumiony Jeżek i nachylił się nad twarzą — jak wydawało mu się — trupa.

A wówczas leżący otworzył oczy i odezwał się:

— Czy nie dałby mi pan papierosa?

— Bardzo chętnie, — wytchnął Jeżek z nie-małą ulgą i zapalem.

Człowiek wziął papierosa, zmiął go starannie i obróciwszy się na bok, zapalił.

— Dziękuję, — odpowiedział i zamyślił się.

Był niemłody i przekwitnięty. Twarz miał szeroką i niewyraźną. Musiał wychudnąć bardzo, gdyż ubranie na nim układało się w dziwne, nieżywe fałdy.

Leżał na boku, rozciągnięty i palił. Patrzył nieporuszenie gdzieś w ziemię.

— Puerta del Sol, — rozmyślał Jeżek — Brama Słońca. Tylko — cóż mógł robić w Hiszpanji? Na turystę nie wygląda. Może nie jest zdrowy, gdyż takie święte oczy ma. Puerta del Sol w Madrycie.

— Pan był w Madrycie? — odezwał się niespodziewanie.

Leżący odetchnął, przyświadczył pociągnięciem nosa i znów milczał.

Mógłby przecież powiedzieć kim jest, — rozmyślał Jeżek — słowo ciągnie słowo a reszty domyślić się łatwo. Mógł wkońcu rzec: tak byłem w Madrycie, ale to jest najodleglejsze miejsce, gdzie byłem. Są miejsca je-

szcze piękniejsze a życie na nich jest jeszcze dziwniejsze. Mógłby zełgać byle co. Oto teraz wspomina.

Człowiek machnął lekko ręką, spoglądając niewyraźnie i w zamyśleniu gdzieś w nicość.

Może powie: Wiem, że pan patrzy na mnie z zainteresowaniem; uważał mnie pan za trupa i z litości nachylił się pan nade mną. Opowiem więc panu historję mego życia. Niech mi pan jednak nie przerywa o ile coś się panu wyda bez związku, albo nieuzasadnione. Tylko proszę postarać się wyczytać z mej twarzy czy żyłem lekko i po prostu. Tak jakoś mnie więcej by zaczął.

Ale człowiek powoli palił papierosa i milczał, wpijając jasne, niewidzące oczy w nieskończoność.

— Z pewnością coś powie, — myślał Jeżek — ale jak to ciężko wyszukać słowa, w których możnaby zamknąć historję życia. Niech będzie — poczekam.

Pocichu położył się na wznak.

Słońce uderzyło go w oczy. Przeniknęło przez zamknięte powieki. W tej chwili roztoczyły się czerwone i czarne koła. Palą żarem. Tańczą przed oczyma.

Gorącość oddycha długimi, ognistemi falami. Jeżkowi jest błogo. Jest mu tak, jakby go

unosily czarno-czerwone kola i przyplyw ciagnacych sie fal, ruch ogromny i niepostepujacy.

Dokad plynie ten silny, unoszacy go prad?

Ach — to nic! to tylko ruch zycia — w miejscu!

Nagle odwrócił się.

Po ręce jego biegala jasna mrówka, nie wiedząc, gdzie się ma obrócić na zbyt wielkiej płaszczyźnie.

— I nas mróweczko — pomyślał Jeżek — i nas rozdrażnia zbyt wielka płaszczyzna świata: te różne odległości, te pielgrzymki, ta panika nieucieszna! Dlaczego tak biegniesz? Zaczekaj, nie śpiesz się. Nic ci nie zrobię, chociaż jestem wielki. Ach mały awanturniku! czy to tylko zmieszanie tak cię pogania? desperacka samotność? jakaś trwoga? Gdzież jest brama, przez którą mógłbyś uciec?

Bliziotko — na odległość ręki — zleciał na kwiat motyl z szeroko rozwartymi skrzydłami. Huśta się na białym baldaszku, łopoce lekkiem skrzydełkami, składa je i znów rozchyła ruchem czarownym i lubieżnym, ruchem słodkim, aż do upojenia.

Ach, zostań rozkoszy! Nie czaruj serca mojego tym wiecznym ruchem odlotu! Stań i pozwól się ukołysać miłosna chwilko! sekundo bez równowagi! znaku niewysłowiony!

Cóż za wspaniałe spotkanie po różnych troskach wędrówki!

Czarowne skrzydła zachwiały się panięsko i nagle i w niepojęty sposób znikła motyl: sekunda, rozkosz — jakby się za nim zawarła nagle jakaś brama.

Jeżek patrzy w górę. Gdzież to wszystko uleciało? Dokąd ulatujecie wy świecące obłoki w bezcelowym i nigdy nieznużonym ruchu?

Ach! unosić się tak bez żadnej innej przyczyny jak tylko dlatego, że niebo jest wielkie i przestwór jest wielki i nieskończony! Unosić się dlatego, że i tęsknota jest wielka i nieskończona!

— Ty niebo kojące! dusza moja jest skromna jak me oczy. Ale dlaczego sięgacie aż za horyzont, wy oczy skromne? Dlaczego ty duszo najskromniejsza zawsze odszukujesz w sobie demoniczną cnotę nieukoju?

Jak wysoko płyną obłoki! zawrotnie wysoko, rzekłbyś, że szybują aż u bram słońca.

Puerta del Sol!

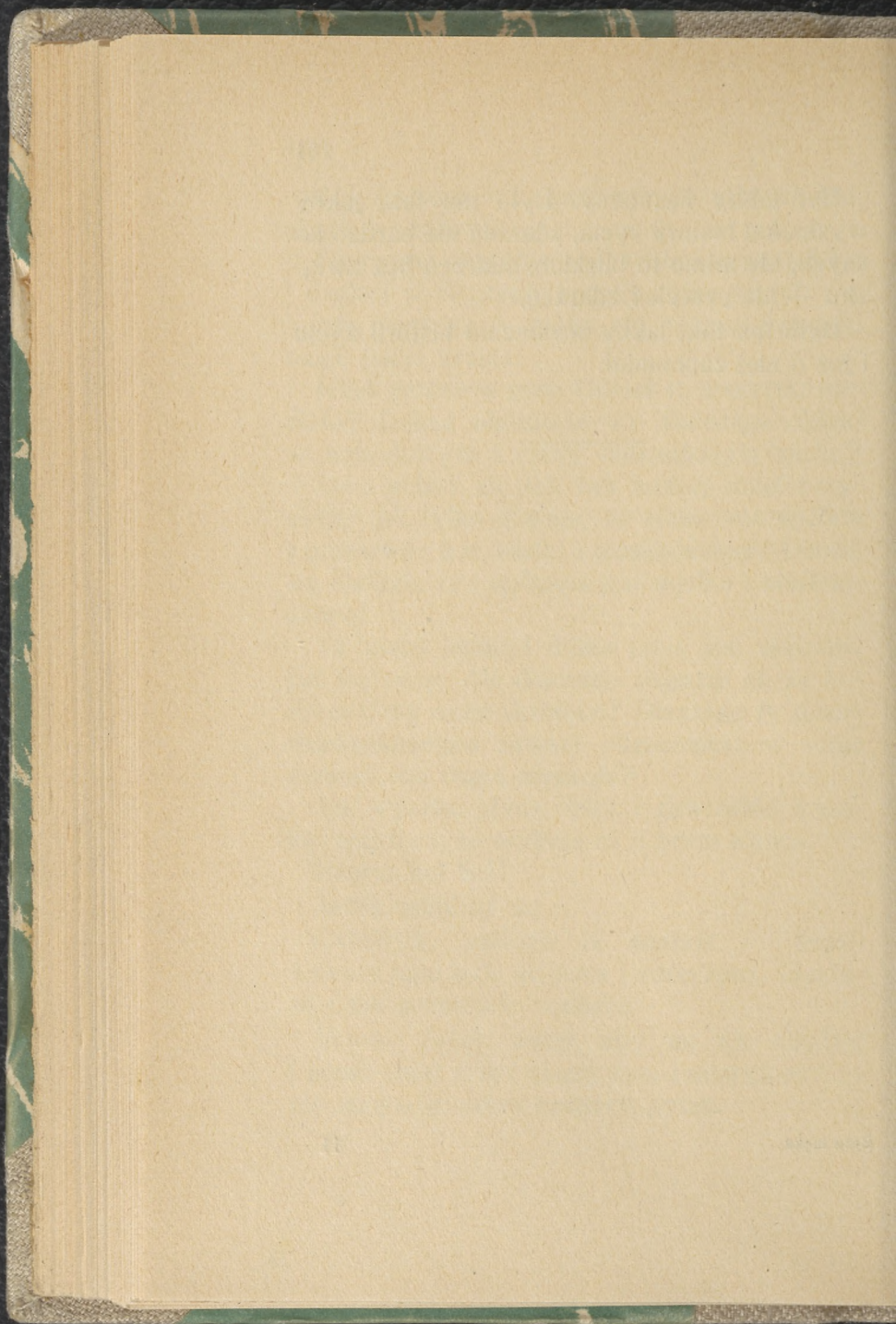
Jeżek oglądał się.

Człowiek, którego tu znalazł — usnął, a twarz jego była niejasna i udręczona, spokojna i jak przestwór rozległa.

Wtedy Jeżek wstał, aby go nie zbudzić i szedł dalej przez ciepły las, roztargniony — nie stawiając sobie żadnych pytań.

Był jakby nasycony. Było mu tak, jakby wysłuchał historii życia, zdarzeń nie bardzo jasnych, ale mimo to bliskich, zdarzeń bez związku — ale przecież zdarzeń.

Było mu tak, jakby wysłuchał historii życia i już o niej zapomniał.



ZAGUBIONA DROGA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

— Zagubiliśmy drogę!

— Oczywiście.

— Gdzie jesteśmy? Czy widzi pan coś?
Gdzie jest aleja?

— Nie wiem.

— Gdzie jesteśmy? Czy widział pan tu kiedy jakieś wrzosowisko?

— Nie.

— Ale jak mogliśmy zejść z gościńca? Przecież musielibyśmy przejść przez rów — —
Czy nie przechodziliśmy może przez rów?

— Nie wiem.

— To ciekawe. Przecie nie podobna zejść z gościńca, nie wiedząc o tem. Gdzie pan jest?

— Usiadłem.

— Po drodze idzie się przecie inaczej, niż po trawie. Twardo i głośno. A zdawało mi się, że tak właśnie szliśmy.

— To pan szedł z takim stukotem.

— No więc tembardziej! Wszak to wprost nie do pomyślenia! A najdziwniejsze jest to, że — —

Człowieku! niech pan nie śpi!

— Nie śpię.

— Gdzie właściwie jesteśmy?

Noc była ciemna i prawie bezgwiezdna. Świeciło się tylko trochę jasnych kamieni na ziemi. Niewyraźnie rysowały się krzaki jałowców, podobne do zakrzepłych postaci. Z nieznanej dalekości biegł krzyk pódzki i wwiercał się w ciemność nocy.

— Proszę się nie śmiać ze mnie, — rzekł stojący mężczyzna — ale to się mi nie podoba. Zgubiliśmy wogóle kierunek. Musimy dostać się koniecznie na jakąś drogę. Niech nas już zaprowadzi gdziekolwiek.

Droga mówi przynajmniej „naprzód“, a bezdroże milczy. Bezdroże jest jakby przecuciem nieskończoności. Ona znajduje się wszędzie wokół nas. Proszę pana, to jest niemożliwe położenie.

— Niech pan usiądzie, — odezwał się drugi.

— Nie chcę. Usiądę aż gdzieś przy drodze. Między prawym a lewym drogowskazem, — wtedy gdy będę wiedział, gdzie jestem. Dla człowieka, który idzie drogą, roztaczający się na prawo i lewo świat jest kulisą bez znaczenia — jest lewą i prawą ścianą długiego korytarza. Ale bezdroże jest jakby wierzchołkiem grozy, jest nazbyt we wszechświecie, nazbyt otwarte na wszystkie strony. Chodźmy stąd!

— Proszę jeszcze poczekać. Ja nie mogę.

— Czy się panu co stało?

— Nie mogę. Tak. Coś mi się stało. Zdaje mi

się, że coś zrozumiałem właśnie w tej chwili, gdyśmy zaczęli błądzić. Może to sobie zaraz przypomnę!

— Gdzie się to stało?

— Nie wiem. Wynurzyło się to z niepokalanej jasności. Lata już o tem nie myślałem — a teraz, przyszło samo. Może dlatego właśnie, żeśmy nagle zgubili drogę.

— Jakies wspomnienie?

— Wspomnienie? — nie! Rozwiązanie. Odpowiedź. Coś, czego wyglądałem przez całe życie, nawet wtedy, gdy o tem nie myślałem. O Boże! to strasznie skomplikowane! To zmieni całe moje życie! Wszystko się łączy. Czy pan to pojmuje?

— Zupełnie nie.

— Ani ja nie. Widocznie zejść musiałem z drogi, aby to móc zrozumieć. Wyrzec się wszystkiego — o czem się wie! Dlatego oni chodzili na puszcę! O porzuć dom twój i rodzinę twoją! Twoja logika jest utkana ze zwyczajów, a twoje drogi to tylko tysięczne przebrzmiałe kroki. Dlatego wyrzeknij się wszystkiego i zacznij błądzić, abyś mógł spojrzeć w niewiadomą. A co dziwniejsze i najbardziej niezwykle — siebie samego w tem znajdziesz.

— To do mnie pan mówi?

— Mówię do siebie, gdyż znalazłem to. Siebie znalazłeś i poznać się nie możesz.

A przecież to jest jedyne, coś kiedykolwiek widział!!

Mój Boże! tyle lat! I nagle to rozwiązanie: przyjdzie do ciebie radosne i bezsłowne uczucie, że właśnie jest tutaj to, co nie jest jeszcze myślą a tylko olśniewającą chwilą i cudowną pewnością.

Proszę posłuchać. Moje życie oczywiście się zmieni. Może nasze drogi rozejdą się, ale jestem zadowolony, że tę chwilę z panem przeżyłem.

— Gdyby mi pan powiedział przynajmniej —

— Nie mogę. Teraz jeszcze nie mogę niczego rozróżnić. Prawdę przejąć musisz jako uczucie, zanim się jeszcze słowem stanie. Musisz w nią wpaść jak w przestwór, który nigdzie nie prowadzi, ale otwiera się na wszystkie strony, twoje przemyślenie bowiem jest tylko drogą, prowadzącą w jednym kierunku, jest tylko korytarzem między ścianami. Twoja myśl idzie tylko naprzód, po którejs z wielu dróg. Ale jedyna prawda nie idzie nigdzie i nie ma żadnego określonego celu — lecz stoi jak przestwór.

Drugi milczał i z natężoną uwagą wsłuchiwał się w dal.

W tysiakkrotnej ciszy rozległej nocy wydawało się mu, że gdzieś daleko rozwija się drobny, bezgłośny rytm. Zda się, że zalała go ró-

wnina ciszy, ale jest, przedziera się przez nią, i nieustępliwie odbija się echem od drogi.

Ludzkie kroki! Dalekie uderzenia o twarde gościniec!

Stojący mężczyzna odetchnął.

— Tam jest więc gościniec! — rzekł i nagle zadziwił się, posłyszawszy swój głos.

O ile jaśniej i barwniej brzmiał on, aniżeli przedtem.

Siedzący mężczyzna jakby się ocknął:

— Co? Gościniec? Pan pójdzie już do domu?

— A pan tu chce może zostać?

— Tak. Ja panu to potem wytłómaczę. To jest niezmiernie zawile. Proszę poczekać jeszcze!

— Wytłómaczy mi to pan raczej na drodze.

— Gdybym mógł sobie zapisać to wszystko, co mi teraz przychodzi do głowy! O Boże! jakie nieprzeliczone jest mnóstwo tego!

— Zapisze pan to sobie w domu. Ja pana odprowadzę.

— Dziękuję panu. Gdzie jesteście?

— Nie wiem. Proszę tylko iść za mną. Uwaga, tu jest parów!

— Nie widzę nic.

— Proszę podać mi rękę! Chrystusie! jak się tu w istocie dostaliśmy? Baczość!

— Proszę zaczekać. Nie mogę tędy! Chodźmy z powrotem!

— Nie można — droga jest przed nami. Gdzie pan jest?

— Tu, w górze. A pan?

— W wodzie. Proszę tam zostać. Och! nic się panu nie stało?

— Nie. Dziękuję. Teraz jestem w dole.

— Proszę iść za mną. Tak.

Obaj mężczyźni potykali się na pochyłości. Był to przerwisty grunt, przez który iść musieli wśród tysiąckrotnych, męczących ostrożności. Były tu krzaki, przez które musieli się przedzierać, były rozległe, oddzielone łąny, przez które puścili się bezwzględnie jak dziki.

Wkońcu rów i droga.

— A teraz proszę mi wytłómaczyć, — odezwał się ten, który szedł naprzód — jakim sposobem mogliśmy się wogóle dostać tam na górę?

— Nie wiem, — odezwał się drugi ściszym nieco głosem — to doprawdy dziwne. Musiałbym rozważyć to — Mam teraz tyle do przemyślenia!

— Proszę mi powiedzieć, co pan tam na górze odgadł, zrozumiał?

— Tak. To jest właśnie w związku z tem błędzeniem! Pewnie wpadło mi to do głowy

w tej właśnie chwili, gdy zagubiliśmy drogę.
O — gdybym już był w domu!

— A czego to dotyczyło?

— Duszy — —

Teraz kroczyli obaj szybko i milczeli. Przeszli przez las i minęli wieś. Kilka okien jakoś po ludzku świeciło w głębokiej ciemności. I znowu otworzyła się przed nimi szeroka i daleka przestrzeń.

— Cóż więc chciał mi pan powiedzieć?

— O czym?

— O tem, co panu przyszło na myśl tam, na górze. O duszy.

— Ach tak, to prawda. Mówiłem, że o duszy? Ale naprawdę — to nie było tylko to.

— Więc — odezwał się po długiej chwili jego towarzysz — jakże jest z tą duszą? Jest pan jakiś bardzo roztargniony.

— Ja? Przeciwnie. Właśnie rozmyślałem o tem. Czyż nie jest to dziwne, że człowiek siebie nie zna?

— A pana rozwiązanie?

— Jakie rozwiązanie? To pozostanie na wieki tylko problemem.

— Ale pan już właśnie doszedł do jakiegoś rozwiązania.

— To z pewnością nie dotyczyło duszy. Raczej innych zagadnień życia w ogólności. Właśnie przemyślałem od czego zacząć.

— Od tego, co się panu najpierw rozjaśniło.

— Najpierw? To było tylko przeczucie. O! jak to trudno sformułować. Doprawdy nie wiem, co mi rozjaśniło się najpierw. Przyszło to wszystko tak naraz!

— Więc proszę zacząć od czegokolwiek.

— Tak nie można. Wszystko stanowi jedną całość. Wszystko się z sobą jasno wiąże. Gdybym to tylko mógł rozumem objać!

— Powie mi to pan kiedyindziej?

— Nie. Raczej teraz. Ale to, że idziemy z takim hałasem — wyprowadza mnie z równowagi.

— Usiądźmy więc.

— Tak, dziękuję panu. Przedewszystkiem, czy pan przypuszcza? — — Tak wyraźnie mi się to rozświetliło. Po pierwsze: z tego wypływa, że wszystko, co dotychczas przeżyłem było nędzne i głupie. Przebiło mnie to nagle jak nóż. Przestraszyłem się sam siebie i zrozumiałem, że tyle lat — o Boże! — przeżyłem niewysłowiony i nieprzewyciężony ból! Wtedy rozświetliło się mi kim byłem i jak cierpiałem, nie wiedząc o tem. Wszystko było nędzne i ułudne, wąskie jak więzienie. A mnie przejął strach, gdyż całe moje życie — jak zrozumiany błąd — oddaliło się ode mnie. Och! wiele jeszcze rzeczy objaśnię panu bliżej.

Ale po drugie — proszę poczekać! — po drugie —

— Co po drugie? — zapytał towarzysz po chwili.

— Proszę poczekać. Było coś w tem przecie o duszy — ale teraz już nie wiem — — Tak, było coś w tem niezmiernie ważnego o duszy. Boże! co to właściwie było?

— W jakim sensie o duszy?

— Nie wiem, nie były to wogóle słowa, była to pewność. Jest to tak małe.

— Proszę więc sobie przypomnieć!

— Tak, zaraz. Coś o duszy? Co to było?

— Proszę sobie tylko przypomnieć. Ja zaczekam.

— Dziękuję panu. Zaraz to w myślach znajdę.

Noc rozpościerała się nieruchomo na czarnych i bezkształtnych rzeczach.

A oto pierwszy o poranku człowiek idzie pustym gościńcem.

Czy słyhać wrzask koguta we wsi?

Czy to noc poruszyła się w cichem swem wnętrzu?

— Przypomniął pan sobie?

— Ach zaraz — Coś jeszcze tylko — — —

Na horyzoncie rozścielał się słaby świt. Ziemia i wszystko na niej pokrywało się chłodną, dziwaczną bladością. Wszystko stawało się coraz bielsze i coraz ostrzejsze.

Zabłysnęło światło.

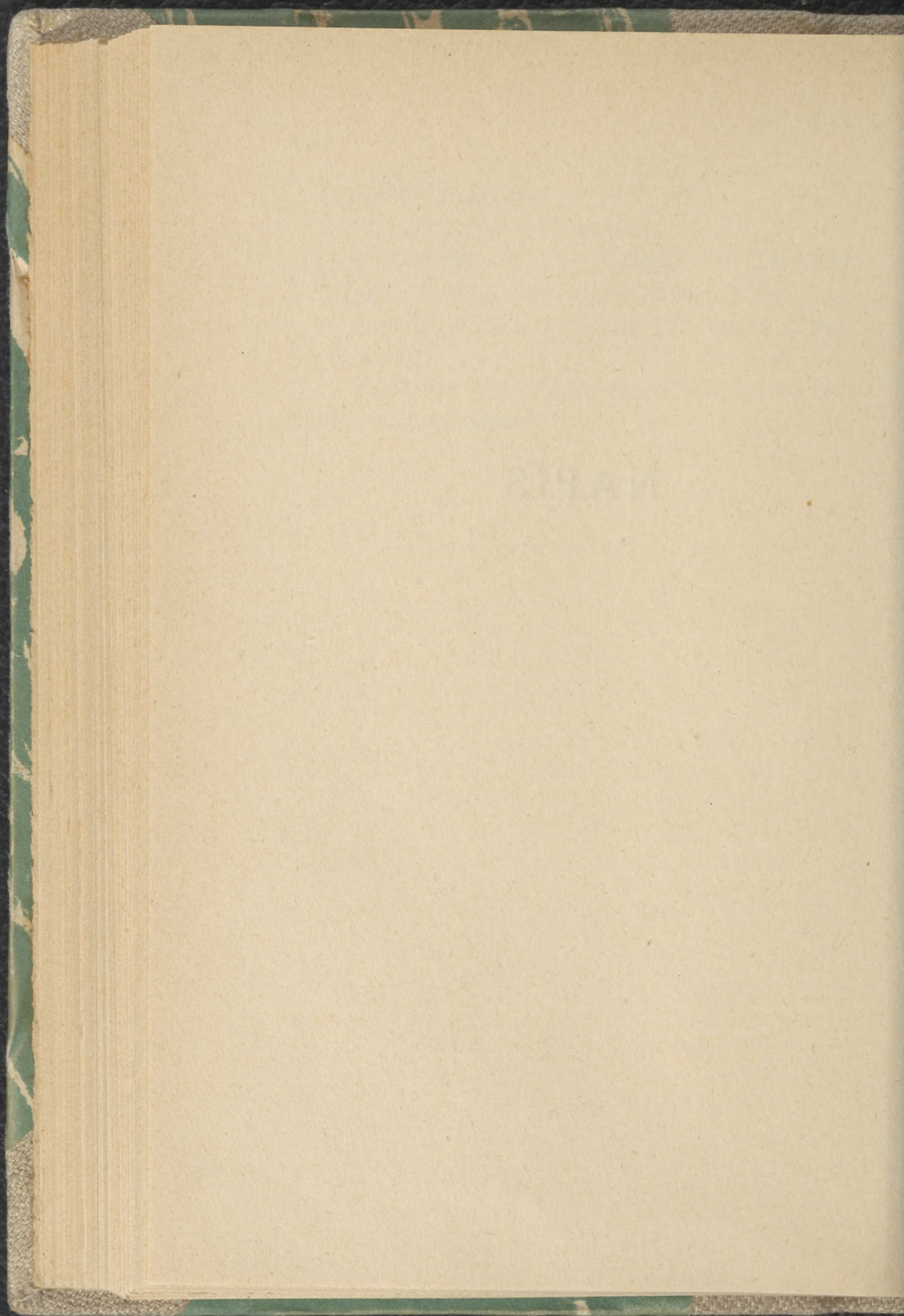
— Przypomniał pan sobie?

— Nie wiem — — — Uciekło mi. Zgubiłem wszystko i nigdy już wiedzieć nie będę.

— I wogóle nic, zupełnie nic panu z tego nie zostało?

— Zupełnie nic. Tylko to, co mi na zawsze życie moje rozjaśniło.

NAPIS



Odpczawszy chwilę, stanął Kwiczała przed drzwiami i radował się: Matys choruje, więc ucieszy się, że przyszedłem. Trochę pohala-suję przy jego łożu, aby się rozweselił.

Dzwonek rozbrzmiał tak przerywanie, że to dotknęło przykro Kwiczałę; zdawało się mu, że dźwięk — gdzieś wewnątrz — przeciera sobie jakby wypłoszoną i ślepą drogę przez zaskrzepłą ciszę.

Z ręką na dzwonku — nadśluchiwał.

Otworzyła mu stara mateczka w papuciach i szeptem zaprosiła do środka.

Kwiczała szedł na palcach, sam nie wiedząc dlaczego.

Przez otwarte drzwi zobaczył Matysa, leżącego na łożku, z twarzą zwróconą do ściany. Zdawało się, że śpi.

— Kto to? — zapytał chory obojętnie.

— Pan Kwiczała — wyszeptała staruszka i odeszła.

Matys zwrócił na przyjaciela rozweselone oczy.

— Zaczny z ciebie człowiek. Och, to nic nie jest. Tylko zapalenie opłucnej. Jakiś eksudat. Za czternaście dni będę już zdrowy.

Kwiczala uśmiechał się wymuszenie. Było mu niedobrze w tym dusznym pokoju, gdzie czuł mdły i nudny zapach kataplazmów, moczu, herbaty i jaj.

Niegolona broda Matysa i jego nienaturalnie płonące oczy zrobiły na Kwiczale niemiłe wrażenie.

Żałował, że zapomniał przynieść soczystych chłodnych pomarańcz, albo wielkiej wiązanki kwiatów. Położyłby to na nocnym stoliku pomiędzy pomiętymi chusteczkami, resztkami jedzenia i nieczytanymi książkami.

Wkońcu zmogła go mdła kliwość.

Próbował być wesołym. Opowiadał jakieś nowiny i był zły na siebie, że jego głos jest obcy i czemś niepotrzebnem przesiąknięty.

Czuł oparte na sobie oczy chorego — uważne, a przecież odległe. I połknął swoje nowinki. I pragnął uciec.

Matys wypytywał się o znajomych. Ale Kwiczala wyczuł w tych zapytaniach osobliwy pogląd chorego na zdrowych i odpowiadał niewiele.

Wkońcu temat wyczerpał się.

Otworzyć przynajmniej okno!

Posłuchać, co się dzieje na dworze!

Przenieść tam choćby cząsteczkę siebie!

Kwiczala był posępny i unikał uporczywego, nieprzytomnego wzroku przyjaciela. Unikał

widoku zaparzonej i pomiętej pościeli. Unikał zastygniętej szpetoty nocnego stoliczka.

Utkwił oczy w oknie. W bladym i na pół nieprzeźroczystym oknie. W oknie, które prowadzi na pole!

— Popatrz tutaj — odezwał się nagle chory, wskazując palcem na ścianę u wezgłowia.

Kwiczła nachylił się.

Na murze było można odczytać zblakłe i zamazane — słowo: „n a p o w r ó t“.

— Napowrót — przeczytał Kwiczła.

— Co mówisz na to? — zapytał Matys pochichu.

— Ktoś to tam napisał. Przed wielu prawdopodobnie już laty.

— Myślisz, przed ilu?

— Nie wiem. Może przed pięciu. Może przed dziesięciu. Kiedy tu malowano ostatni raz?

— Zapytywałem mamę — rzekł Matys, patrząc na ponury sufit. — Dawniej niż przed dziesięciu laty. Nie chciałem nigdy, aby mi tu malowano.

Kwiczła odwrócił śpiesznie oczy w stronę okna.

— Przyglądnij się jeszcze — nalegał chory — czy nic cię tu nie uderza?

Kwiczła nachylił się znowu nad łóżkiem.

— To pisała męska ręka. Ktoś pisał to słowo w rozdrażnieniu i w niecierpliwości, aż zła-

mał się przytem grafit. Wprost rył w ścianie. I po ciemku. Ten haczyk jest trochę dziwny — — A te długie kreski przy p i t wyglądają jakoś zdecydowanie.

— Napowrót! — powtarzał Matys. — Czy nie wiesz, co pod tem słowem ktoś rozumiał?

— Bóg wie. Może jakieś zdecydowanie się. Trzeba coś wrócić.

— Albo samemu do czegoś wrócić z powrotem?

— Możliwe. A dlaczego się pytasz?

— Tak tylko. Zastanowię się, dlaczego napisano to słowo.

— Ktoś miał może jakiś pomysł, albo natchnienie. Napisał to tylko jako hasło, aby o niem nie zapomnieć. Dlaczego cię to tak zajmuje?

— Dlatego, że napisała to moja ręka. Napisałem to oczywiście ja, ale teraz już wogóle nie wiem i nie mogę sobie przypomnieć kiedy i dlaczego. Myślę nieustannie, co to mogło oznaczać.

— Teraz to już nic nie oznacza ?

— Teraz nie, ale wtedy — tak. Zrozumiałem to w czasie choroby. Przedtem nigdy nie zwracałem na to uwagi, dopiero teraz. I teraz myślę już długą chwilę — — —

— O czym? — przerwał Kwiczala.

— Nigdy nie myślałem o minionych latach — mówił Matys, zamknawszy oczy. — Poco? Wszystko, co przeszło, jest takie oczywiste, jasne. Człowiek przyzwyczaja się do minionych rzeczy. Wszystko wydaje się mu takie znane. Ale dzisiaj nie wiem, na co się kiedyś zdecydowałem. Nie wiem dlaczego mi było wtedy tak nieznośnie. Nie wiem, kiedy to wogóle było. Nigdy nie domyślę się — — Czy nie zaskoczyło i nie zadziwiło ciebie nigdy coś przeszłego?

— Nie — odpowiedział Kwiczała szczerze.

Chory wzruszył niecierpliwie ramionami i milczał.

— Nie wiem kiedy i dlaczego to napisałem — zaczął znowu po chwili — ale przypomniałem sobie wiele momentów, w których to słowo mogło się mi objawić, jako ocalenie. I wciąż znajduję w pamięci nowe momenty, w których to mogłem napisać. A raczej — wypełnić!

— Jak to wypełnić?

— Nie wiem. Długo już myślę o tem, jakby to się dało wypełnić. „Napowrót“ — więc napowrót — ale ku czemu? Leżę tu i przypominam sobie byle co. Do czego — z tego wszystkiego, co przeżyłem — wrócić się? Mogę przypomnieć sobie wiele rzeczy pięk-

nych. Wielu rzeczy żal mi. Lada miłości. Od czasu do czasu zajaśnieje stara myśl. Ale wiele, niezliczenie wiele zapomniałem i właśnie o tem myślę najwięcej. Jest strasznie wiele minionych rzeczy. Przeszłość jest zawrotna.

Kwicziała westchnął. Było mu ciągle duszno.

— Ach, ulica za oknem! Światło! przestrzeń! Tam na dworze szybkość! Ruch!

— Przeszłość nie jest taka jak myślałem — mówił Matys, jakby sam do siebie. — Jest bardzo niejasna. Czasem działy się dziwne i nieprawdopodobne rzeczy. Zdaje mi się, że stoję na skraju — na pół nieznanego — świata. Coś już odkryłem, ale reszta ciągnie się nieskończenie dalej i szerzej, aniżeli spodziewałem się. Nie miałem o tem pojęcia — — To, że własna przeszłość wydaje się nam znana — jest omyłką, którą zesłała nam jakaś miłosierna dłoń. Znamy ją tylko trochę. Ale wszystko inne, większość musielibyśmy dopiero przeżyć!

Kwicziała nadśłuchiwał.

Na dworze dzwonił tramwaj. Mnożyły się kroki. Szeroko rozsypywał się turkot wozu. Cienko i jasno wleciał krzyk dziecięcia.

Ale tu — dochodzą tylko cienie dźwięków niematerialne, które przeszły przez szkło. Są obrane ze wszystkiego co bliskie i rzeczywiste. Bliskość i rzeczywistość odjęta jest tym

dźwiękom, które tu tłoczą się z dworu, przerywając ciszę.

— Jest tu tak cicho — mówił chory — a czas jest taki długi. Myślę o rzeczach przeszłych. Nie powinny były jeszcze minąć. Cokolwiek — o czym pomyślę — nie powinno było jeszcze minąć. Powiniennem to dopiero kiedyś przeżyć, uważnie odkładając na przyszłość. Nawet te najgorsze chwile. Wszystkie są takie nieprawdziwe, jakbym je wyssał z palców. Szczególnie te najwspanialsze między niemi.

— Jesteś bardzo samotny — odpowiedział Kwiczała.

— Tak. Ale za czternaście dni znowu wstanę i już może zapomnę, że napisałem kiedyś to „napowrót“. Ale teraz jest to jak napis na jakimś pomniku. „Napowrót“! Wszystko przeszłe jest tylko zapowiedzią, czemś niedokończonym, naznaczonem jako początek i przecucie. „Napowrót“. Może każdy poczuje to kiedyś i będzie chciał się wrócić — jakby do domu — napowrót. Nie jest! ach nie jest to powrót do początków! do pierwszych kroków! ale jest to powrót do końca, do dopowiedzenia, do dokończenia siebie samego, do ostatnich kroków. „Napowrót“ — nie do skutecznienia! Nigdy — „napowrót“.

Kwiczała wstał.

— Za czternaście dni — uśmiechał się Ma-

tys. — Wybacz mi! już tydzień nie mówiłem
z nikim. Pozdrów wszystkich.

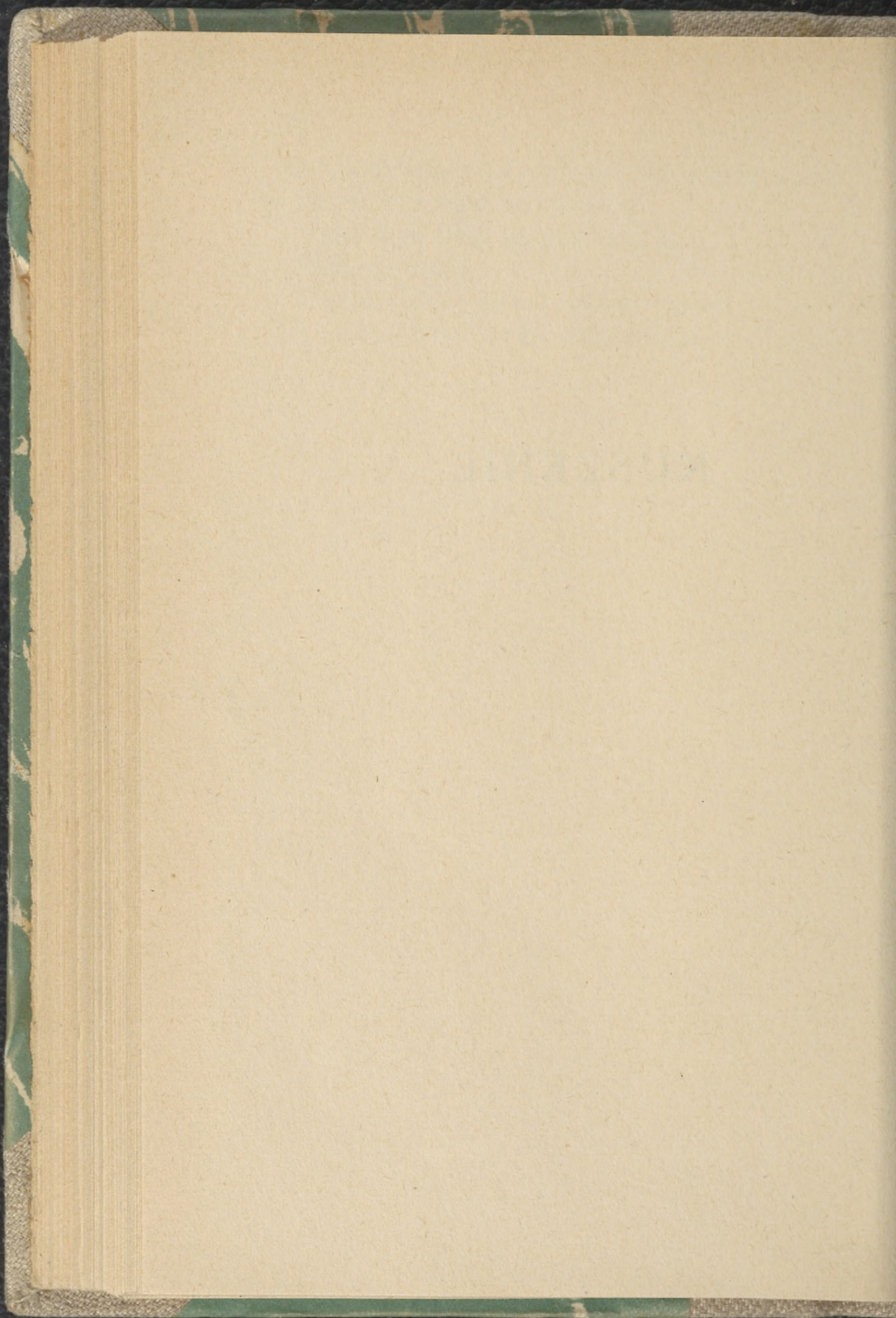
Ręka jego była gorąca i sucha.

Och, na pole!

Rzeźki chłód! ulica! ludzie! ludzie!

I „n a p r z ó d“ tego wszystkiego.

KUSZENIE



Długo już chodził Różyczka jak we mgle.

Bronił się przed tem do upadłego i bez końca wymyślał argumenty za i przeciw. Udowadniał coś sobie. Złościł się. Walczył ze sobą ostro, aby się skoncentrować. A zarazem tęsknił, aby to go uniosło bez myśli i kierunku. Pozwolić unieść się!

Być takim jak czarny drąg — na stawie — w mgłach. — Myślał o tem.

Nad wodą krzyczy mewa i zlatuje, aby złapać powierzchnię w pazury. Woda zakołysze się — a mewa ucieknie, jak ulicznik. Dopiero, Bóg wie, gdzie zachychoce.

Różyczka zastanawiał się: odjadę czy zostanę? Wszystkie argumenty zmartwiały i nie mógł ich już wzmocnić. Zmartwiały i utknęły. Nie mógł się od nich uwolnić — od argumentów, które go już nie cieszyły.

Zwiędły w tym wąskim pokoju — w pokoju, który go już nie cieszył — argumenty, aby został i nie odjeżdżał; nie porzucał zbytecznie spokoju, zajęcia, przyzwyczajzeń swoich, łóżka i karła wygodnego.

— Przecie nie potrzeba mi nic więcej — powiedział sobie — zostanę i wypełnię to wszyst-

ko prawdą życia. Moje miejsce jest wąskie i ciasne, ale mogę je pogłębić. Ach, zostać na zawsze!

— Albo odjechać! — powiedział sobie w tęsknocie. — Spróbować znowu! Runąć w świat jak kamień w wodę — — Gdyby tylko nie trzeba było decydować się! Gdybym się mógł — sam nie wiedząc jak — ocknąć gdzieś w świecie i nie mieć przed sobą niczego więcej, prócz jednego dnia! O Boże! coby to był za dzień! Gdyby mi to zesłały: przypadek albo przeznaczenie, przyjąłbym! Ale chcieć samemu — to straszne!

— Odjadę — czy zostanę? Pójdę na pole — zdecydował się wkońcu — aby cośkolwiek uczynić, ruszyć się.

— Wyjść trochę na dwór! — wahał się przy drzwiach.

— Użyć wieczora! — nucił sobie.

— Ale zostań — mówi lampa, łóżko, fotel i nuda — poco iść? Iść to tak trudno. A zostać to tak łatwo i prosto. Iść to tak rozpaczliwie! — więc zostań!

— Nie, dzisiaj nie! — zdecydował się przemocą i poszedł.

— Zostań w domu! — mówią rozpalone ulice — już nie kusimy ciebie. Przemierzyłeś nas tyle razy, że już nas nie widzisz.

— Ani wy mnie nie widzicie — przeczył — wasze okna nie zabłysną już dla mnie ani spojrzeniem nieufności, ani spojrzeniem uśmiechniętej zalotności, ani też przeźroczysem spojrzeniem niespodzianki. Chodzę tędy codziennie. Staliśmy się dla siebie obcy. Tak. Za tyle lat!

Różyczka — kołując w roztargnieniu — uciekł do kawiarni, zadowolony, że się zagubić może w ulewie światła i głosów, że znika w tłumie sam przed sobą, zadowolony, że płoną zwierciadła i brzękają szklanki.

Napisał palcem znak pytania na stole i odkrył na marmurowej płycie zabawne przebiegi żył, sieć przypadku, niezliczone drogi bez celu.

— Odjadę, czy zostanę? Oczy! kto to na mnie patrzy? Dziewczątka! — uśmiechnął się spojrzeniem — czego chcesz?

Śliczne oczy umknęły, uciekły, schowały się pod powieki. Słodko. Ciemno. Nie patrzą się nigdzie. Nic. Białe liczko pod czarnym kapeluszem. Zabawka ze słoniowej kości: dziecięce ręce. Przebierają na kolanie.

To wielkie, czarne — to mamusia. Przegląda mody. Siwe oczy ukradkiem przelatują, uciekają. Ani chwili spokoju. Cudowne są powieki tych oczu — spuszczone powieki.

Cudowny jest smutek. Miłość, Muzyka. Wieczór. Zapytanie i nic.

Sliczne jest spojrzenie tych oczu. Radość. Stroje. I znów muzyka. I znowu zapytanie.

Piękne jest kochanie. Wiosna. Fiołki na ulicy. Różowy kwiat: różowy uśmiech!

Slicznie jest, gdy się spojrzy w oczy. Prosto w oczy. Prosto i silnie. Pytające, krótkie spojrzenie.

Gładkie twarze oblał pons.

Piękne są białe i zapłonione twarze. Piękne są smutne włosy. Smutne i delikatne ręce, złożone na kolanach, na czarnej, żałobnej sukni.

— Dostyc! — prosiły siwe oczy — tyle zaszczytu, mój Boże! Gdzież ukryć teraz twarz moją, moje oczy, powieki i ręce? Proszę nie patrzeć tak na mnie! Upuszczę szklankę! Za nic już na pana nie spojrzę!

— Delikatne ręce — myślał przejęty — tak jak ręce skrzypaczki. Tremolo. Bezprzedmiotowy płacz. Pieśń, która się kończy i nie kończy! Czy usłyszę kiedy bojaźliwą i piękną pieśń? Ten wibrujący, dziecięco-chropawy głos?

— Boże! to nie! Cóż powiedziałabym panu? Nie umię zliczyć do pięciu. Kto pan jest? Dlaczego się pan tak patrzy?

A za chwilę:

— Dlaczego się pan nie patrzy?

— Gdy się patrzę, myślę o ludziach wokoło, o pani, o pani oddechu, o wszystkim, co po-

wiedziałbym ci: nie wiem, o czym myślę, gdy patrzę.

Ale gdy nie patrzę — myślę o pani, o wszystkim, czego nie widzę, o sobie samym, o szczęśliwym przypadku — a głównie — głównie o tobie.

— Proszę przestać! — proszę przestać!

Naprzeciw usiedli nowi ludzie, a w ich gronie —

— Ach, proszę się popatrzeć — wyrwały się siwe oczy — jakże jest piękna!

— Tak, piękna. Rzeczywiście jest piękna. Och, dziewczątka, jaka jest wielka i piękna! Dlaczego przyszła? kogo wypatruje ciemnymi oczyma?

Ach, któżby wytrzymał napastliwy widok urody? Któżby nie zachwiał się zmieszany i przełknięty? Któżby nie spuścił oczu?

Biada, że na niego spojrziała!

Powoli, bez wahania i zapytania podniosły się wielkie, czarne oczy nowoprzybyłej na jego twarz.

Wtedy serce jego przeraziło się i umilkło.

— Piękna jestem. Tylu zaleca się do mnie. Spójrz!

— Odjadę — odpowiedział pośepnie.

— Zostań! Piękna jestem. Spotkasz mnie na ulicach, w bazarach i na uroczystościach. Wypatrzysz mnie w łóżach teatrów. Spotkasz

mnie zawsze — jeżeli tylko zechcesz. Możemy się poznać i — któż to wie?

— Odjadę — powtarzał uporczywie.

— Zostań! Tak mało mam zabawy, tak mało. A taka piękna jestem. Będziesz mnie widział często, codziennie — jeżeli zechcesz — i tak zbliska. Zostań!

— Nie! — odezwał się gorąco — odjadę! Odjadę i wrócę z ustami nasyconemi morzem i obczyzną. Wrócę z inną duszą. Z duszą bez zgrozy, zdumienia i drżenia. Ze szczerą, odważną, płonąca. A może z duszą bezwstydną i niespokojną. Z duszą okrutną! Z duszą — dla ciebie! Ale wtedy — wrócę po to, aby płakały twoje najpiękniejsze oczy, aby zachwiała się twa piękność! Abym był gorszy niż ty! Abyś mnie kochała! Aby się wypełniło przeznaczenie. Abym nie bał się Boga! Abym tobie dorównał! Niema nic straszniejszego nad piękność i odwagę.

Czarne źrenice odwróciły się i czarowały miękko — do nieskończoności.

— Niech będzie! Niech się to stanie przeznaczeniem. Odjadę — abym się odważył.

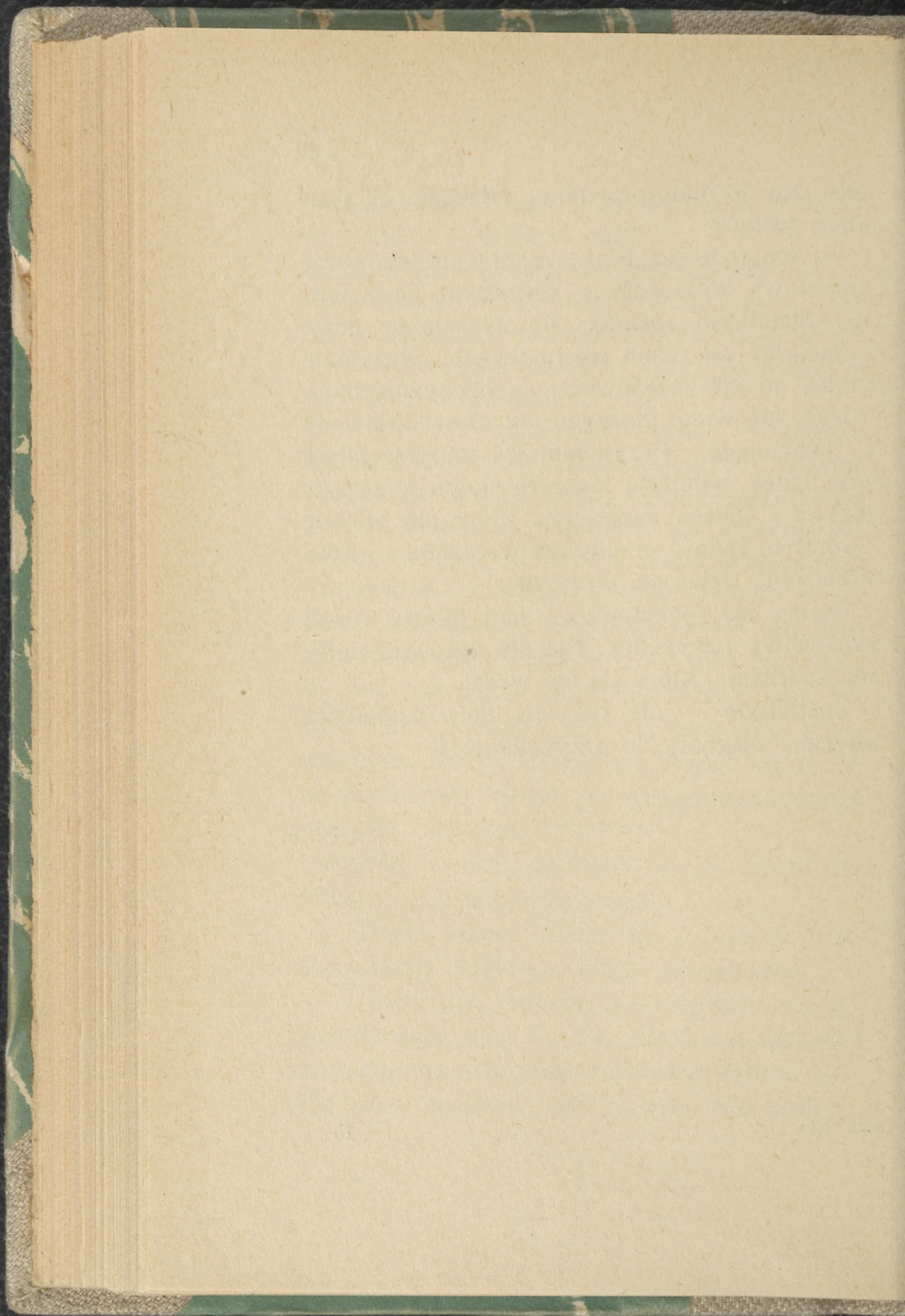
— Niech pan zostanie — odezwały się porzucone siwe oczy. — Ach, niech pan zostanie! przyszląbym tu znowu w przyszlą sobotę. Kiedyś może spotkam się z panem. Nie ucieknę,

gdy pan do mnie przemówi. Dlaczego pan nie chce zostać?

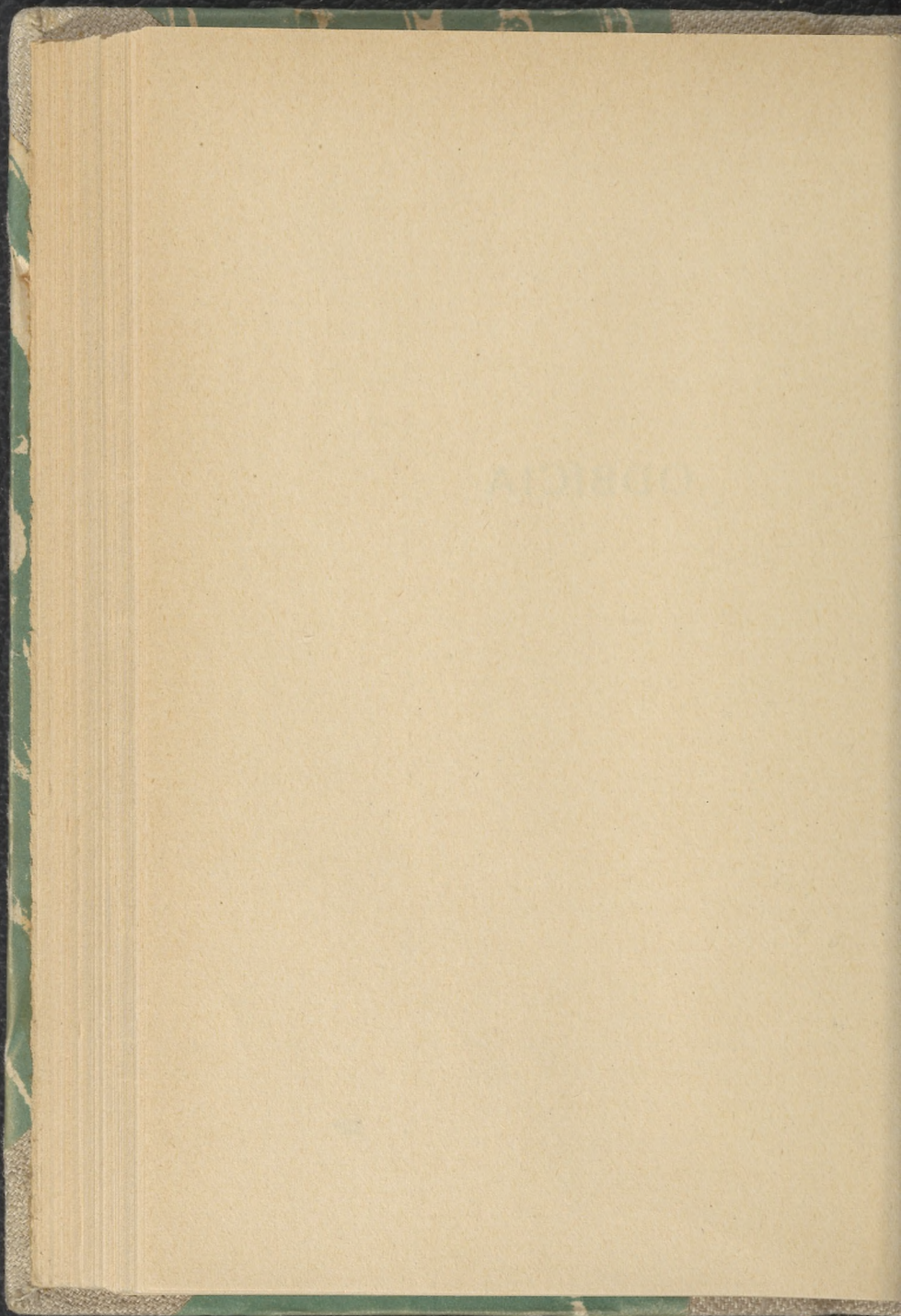
— Ach, dziewczątko! — zapłakało jego serce zmysłową tkliwością — zostałbym. Dlaczegoż nie chciałbym zostać? Ale właśnie ty przypomniałaś mi dzień na obczyźnie. Przypomniałaś mi nieszczęśliwego na obczyźnie człowieka, nie wiem dlaczego tak nieszczęśliwego i straconego. Przypomniałaś mi szczęśliwy przypadek, uśmiech, łaskawe słowo w obcym języku i śliczne spojrzenie, które się już nie wróci: tę radość — gdybyś wiedziała — i ten precudny dzień na obczyźnie.

Niema nic piękniejszego nad miłość i nad szczęśliwy przypadek. Nic nie dorówna miłemu spotkaniu, które się nie wróci.

Zostałbym — ale tyś we mnie wzbudziła wieczną tęsknotę do przypadków!!



ODBICIA



— Baczość! — zawołał Lhota do nieznanego rybaka — bierze!

— Ach, dziękuję panu! — odpowiedział zagadnięty uprzejmie — czy nie zechciałby pan sobie jej wyciągnąć?

Lhota ześlizgnął się szybko po grobli i ujął kij. Haczyk był pusty. A gdy Lhota ściągnął włosień, zobaczył nagle przymocowaną do haczyka czerwoną tasiemkę.

— Czy daje pan to zamiast glisty? — zapytał zdziwiony.

— Tak! — rzekł rybak ze wstydliwym uśmiechem.

— A złapał pan już coś?

— Nigdy.

Lhota usiadł na grobli, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy złościć.

Jak to można, myślał sobie, jak to wogóle można łowić w ten sposób ryby?

— To też ja nie łowię — odezwał się rybak — tylko tak siedzę z wędką, aby się ludzie nie śmiali, gdy mnie tu widzą.

— Czy pan tutejszy?

— Mieszkam w tym domku, który stoi za nami. Przez wiele przychodzę tutaj lat, bo mi się tu podoba. Ale nie łowię.

Lhota spojrział w wielkie, jasne oczy rybaka.

— Pan jest chory, prawda?

— Nie mogę chodzić. Już od dawna. Od wielu lat nie byłem dalej, niż tutaj. Ale tu jest pięknie.

— Rzeczywiście — odezwał się Lhota niepewnie.

Nagie groble ciągnęły się gdzieś w niewidoczną dal, a między niemi płynęła szeroka, sędziwa rzeka.

— Gdyby pan tu był o zachodzie słońca — mówił chory — albo rano. Siedzę tu zawsze od rana i nigdy nie było mi nudno ani pusto. A kiedy wieczór wracam do domu, zasypiam bez żadnych niepokojących snów. Noc za nocą śpię pięknie i bez snów. Dopiero w zimie — —

— Co w zimie?

— Nic, sny. W zimie nie mogę tu przychodzić i dlatego śpię we dnie i w nocy, bez wytchnienia, dopóki wreszcie ze zmęczenia nie mogę już spać. Ale w lecie jestem tu codziennie.

Lhota patrzył w zamyśleniu w wodę. Płynęła rozległa i bezkształtna, ocierając się nieskończonym bokiem o kamienie. Wzburzona, falująca, rozpryskująca się, aż mu migotało się w oczach.

A nie była to już bieżąca rzeka, tylko szum, który bez końca upływa i ginie: przemijanie bez granic, ucieczka bez kresu.

— W zimie śni mi się tylko woda — odezwał się chory. — To jedyny sen, który mi się śni po całych dniach i nocach, po całych miesiącach, przerywany tylko wtedy, gdy się ocknę. Dopiero w lecie mija, gdy mogę zobaczyć rzeczywistą wodę.

Lekki zawrót przymknął oczy Lhoty.

— Nie chciałbym, aby mi się śniła woda, która płynie.

— Nie, ta wogóle nie płynie — odezwał się chory. — Mnie nie śni się prawdziwa woda. Jest to wielka rzeka, która stoi bez ruchu, a po niej płyną odbicia. Biegają po niej, jak te listki, unoszone przez prąd.

— Jakie odbicia?

— Zwierciadlane obrazy rzeczy. Brzegi, które się odbijają na powierzchni. Odbicia płyną po wodzie szybko, jak fale, ale nie rozpryskują się, jak one. Może przychodzą aż z gór. Wielkie drzewa, które posuwają się cicho, koronami do dołu, jakby wisiały nad bezdennym niebem. Po tej nieporuszonej rzece płynie i niebo ze słońcem, z obłokami i gwiazdami. Widziałem płynące odbicia pagórków i wioski, zbudowanej na brzegu i ludzi. Kiedyindziej przepływa po nieruchomej powierzchni biały, samotny dom, albo tylko jedno oświetlone okno.

— To jest niedorzeczny sen! — odezwał się Lhota.

— Straszny. Czasem płynie odzwierciedlenie miasta i nadbrzeżnych skwerów z zapalonymi światłami. Na powierzchni drżą liście drzew, jakby wiał wiatr, ale woda nie kołysze się. Dziewczyna załamuje białe ręce i pędzi w dal. A ja patrzę na odbicie i widzę kogoś, kto stoi na drugim brzegu i chce popatrzeć na mnie, chce mi dać znak jakiś. Ale obraz płynie po wodzie szybko i postać z ręką przyłożoną do oczu znika.

Chory zamilkł na chwilę.

— A niekiedy — zaczął po jakimś czasie — jest to tylko zapalona latarnia opustoszałej przystani na brzegu rzeki. Zahušta się, jak w listopadowym wietrze i odpływa. Ani jedna z tych rzeczy nie może się zatrzymać, ani zwolnić biegu. Żaden ruch nie marszczy wody i niczego niema nad nią. Ona jest tylko. Wieczność jest straszna.

Lhota patrzy w milczeniu w wodę. Fala za falą wraca bez końca do kamienia pod jego nogami i znowu cofa się w nieustępliwej zabawie.

To Lhotę drażni a zarazem uspokaja.

— Często budzę się pokryty potem — mówił chory — i śmiertelnie jestem przerażony. A wtedy mówię sobie: wieczność jest strasz-

na! Przychodzi fala po fali, aby się złamać na kamieniu. Kamień za kamieniem zwala się w fale, które go niszczą. Ale powierzchni nic nie łamie i nic nie złamie. Na niej przemijają światła i cienie. Po niej przewalają się góry i przebiegają drzewa. Przepływają miasta i skały. Dziewczyna napróżno załamuje ręce, bo początek i koniec świata przeleca, jako zwierciadlane odbicia. Powierzchnia, która nigdy nie zmarszczy się, nie zadrży, bo zadrzeć nie może. Której się nikt nie dotknie, bo dotknąć się nigdy nie może. A kto się na nią patrzy, widzi zawsze tylko czyste, pierzchające obrazy, pozbawione rzeczywistości.

Na przeciwległej grobli stanął mężczyzna i patrzył chwilę.

— Cóż — zawołał wkońcu — biorą?

— Nie biorą — odpowiedział chory wesoło.

A do Lhoty odezwał się:

— Chętnie siaduję tutaj. Gdy spadnie do wody liść, woda się zachwieje i ja się zachwieję. Ale bez trwogi. Niekiedy, o zachodzie słońca myślę o Bogu. Wieczność jest straszna.

Lhota odwrócił się pytająco:

— Czasami — ciągnął chory dalej — widziałem tak dziwne wzburzenie na wodzie, że niepodobna pojąć, skądby się wziąć mogło. Czasami załamie się fala i załśni piękniej niż inne.

A są i zjawiska na niebie. Dzieje się to niezmiernie rzadko. A wtedy myślę: dlaczego nie miałby istnieć Bóg? Może jest właśnie tem, co najszybciej przemija na świecie? Może i jego rzeczywistość jest nagle załamana falą i błyskiem? Niepojęcie, wyjątkowo objawi się i znika. Często myślałem o tem. Ale mój widnokrag taki mały! W ciągu lat całych nie doszedłem dalej, niż tutaj. Możliwe, że i wśród ludzi trafia się takie załamanie, albo błysk, ale znów pierzcha. Musi się znów załamać. Prawdziwa rzeczywistość uiszcza się zanikiem, Ach, słońce zachodzi już!

Bosa dziewczyna milcząc, stanęła za chorym panem.

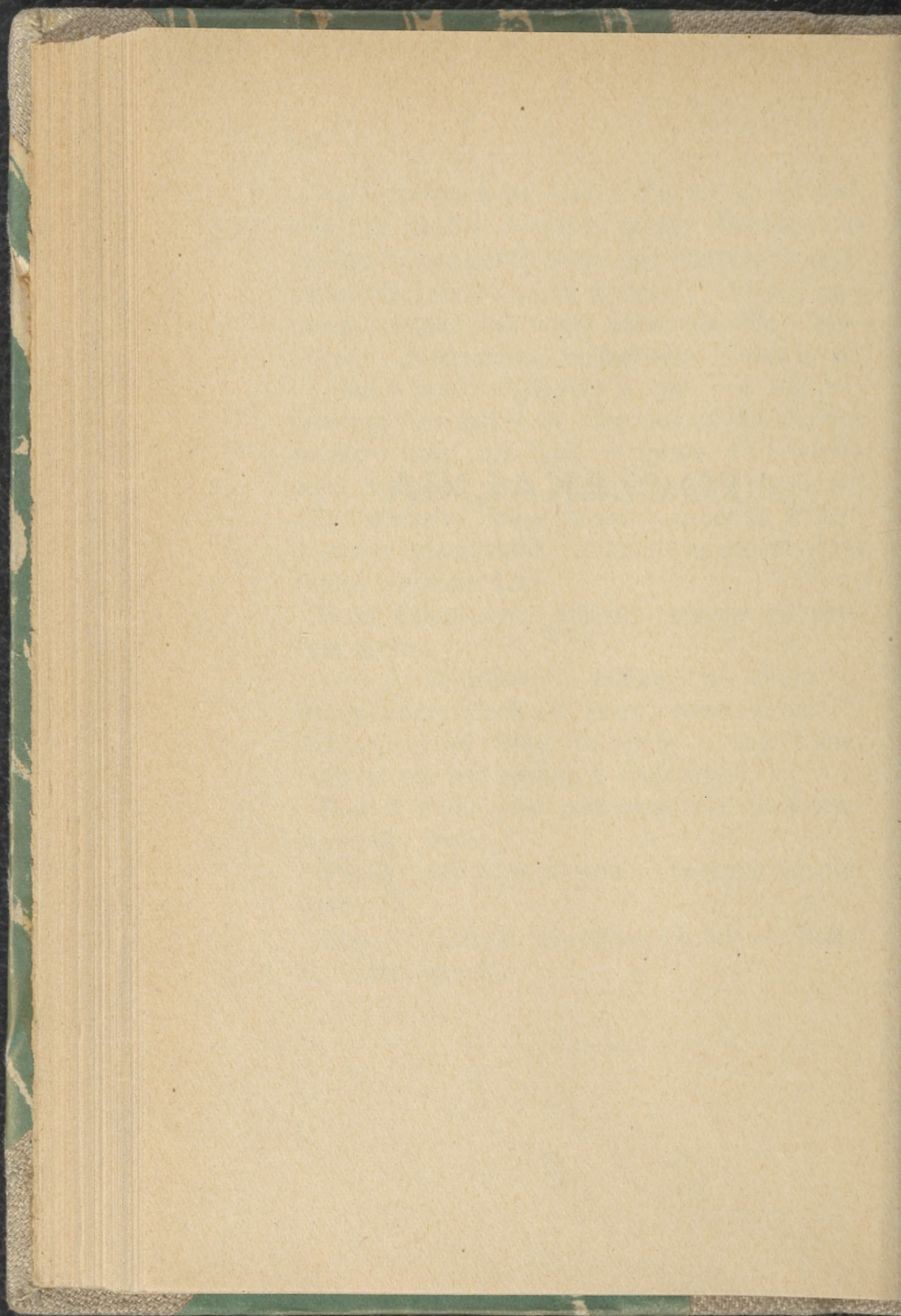
— Tak, pójdziemy — odezwał się chory. — Dobrej nocy. Niech pan patrzy teraz! teraz! — wskazywał na rzekę. To nigdy — nawet dwa razy — nie jest jednakie. Dobranoc!

Powoli i obojętnie odprowadzała go dziewczyna do domu.

Rzeka była perłowo-jasna i mieniła się bez końca.

Lhota z cichym zawrotem głowy spoglądał na upartą grę fal.

POCZEKALNIA



— Przeczekam noc w restauracji — myślał sobie Zaruba, gdy pociąg dojeżdżał — albo rozciągnę się gdzieś w poczekalni. Prześpię się trzy, albo cztery godziny i pierwszym porannym pociągiem pojedę dalej. Boże! tylko prędzej! Jeszcze pozostaje nadzieja! Jeszcze wszystko można uratować! Ach, tyle godzin!

Ale restauracja była już zamknięta, a jedyną poczekalnię zapełnił transport wojska.

Żołnierze spali na ławkach i stołach. Leżeli na ziemi z głowami opartymi o podstawę stołu, o spluwaczkę, o zmiętę papiery, z twarzami, zwróconymi ku podłodze, ściśnięci, jak stos trupów.

Zaruba schronił się w korytarzu.

Było tu zimno, a dwa gazowe płomienie trzęsły się znużone w wilgotnym półmroku, który pachniał dziegziem i klozetem.

Trochę ludzi chwiała się i ziewało na ławkach w tępej cierpliwości długiego czekania.

Ale tu było przynajmniej trochę miejsca. Trochę miejsca dla człowieka. Trochę miejsca na milczącą drzemkę zmęczonego.

Zaruba wyszukał ławkę. Usadowił się na niej tak, aby mu było jak najcieplej, jak najwygodniej.

Ze siebie samego uczynił kąt, w którym mógł się przespać — łóżko — krawędź łóżka, prostokąt, schronienie.

— Och, niewygodnie! — wyrwał się z półsnu — jak ułożyć członki?

Długo i usilnie rozmyślał nad tem.

Wkońcu — jak dziecku — zachciało się mu leżeć i rozciągnął się na ławce.

Ale ławka była zbyt krótka. Zaruba z rozpaczą starał się dostosować do niej rozmiar swego ciała. Rozzłościł się tak bezwzględny oporem.

Wreszcie leżał jakby skrępowany, bez ruchu — taki mały chłopczyzna — i patrzył na wielkie, świetlane kręgi, które toczyły się w mroku na krążącej tarczy.

— Wszakże już śpię — rozbłysło mu w głowie i w tej chwili otworzył oczy.

Wtedy zobaczył rozstępujący się kąt dwu ścian.

Zmieształ się niewypowiedzianie.

— Gdzie jestem? Co to jest właściwie?

Wytrzeszczył oczy, ale nie mógł zorjentować się ani w przestrzeni, ani w kierunku.

Zebrał wszystkie swoje siły i wstał.

Znowu zobaczył długi i zimny korytarz, ale wydał się mu smutniejszym, niż przedtem.

Spostrzegł, że wybił się już zupełnie ze snu i poczuł w ustach gorzki smak niewyspania.

Oparł ręce na kolanach i myślał o swych sprawach. Wykonać wreszcie ten ostatni krok! Jąć się ratunku! tak! ale jeszcze tyle godzin!

Z roztargnieniem spoglądał na brudną posadzkę korytarza. Obserwował pomięte papiery, obrzydliwe plwociny i ślady nieprzeliczonych nóg.

A tam jest coś, jakby podobnego do twarzy: oczy z błota, a usta ze śliny, obrzydliwa próba uśmiechu.

Zniechęcony podniósł oczy.

Tam, na ławce leży żołnierz, śpi z głową, odwróconą do tyłu i stęka, jak umierający.

Jakaś pani śpi, z głową dziewczynki na kolanach. Pani ma złą i wynędzniałą twarz. Śpi. Ale dziewczynka rozgląda się blademi oczami i coś do niej szepta. Ma długą, sterczącą brodę i szerokie usta w ramach mizernych policzków. Dziecinna staruszka o smutnych, szerokich, niespokojnych oczach.

A oto tam jak chrapie grubas, opuchły z rozespania, bezwładnie spadający z ławki, przestraszony i głupi, miękka bryła, która się zwali na pierwszą lepszą podporę.

Pod zielonym kapelusikiem mrugają czarne, bystre oczy młodego mężczyzny.

— Chodź tutaj! — świszczę przez szpary popróchniałych zębów do bladookiego dziewczątka. — Chodź tu — szepta i śmieje się.

Dziewczynka wierci się zakłopotana i uśmiecha się okropnym, starczym uśmiechem. Jest bezzębna.

— Chodź tu — gwizda młodzik i przysiada się sam do niej — jak się nazywasz?

I głaska dłonią jej kolanka.

Dziewczynka uśmiecha się bojaźliwie i wcale nie pięknie.

Śpiący żołnierz rzezi, jak w godzinie śmierci. Zaruba otrząsał się z zimna i obrzydzenia.

Godzina po północy.

Czas posuwał się męczeńsko powoli, a Zaruba czuł się jakby wleczony i bezmyślnie rozciągany przez jakieś wzrastające i bezkierunkowe naprężenie.

— Dobrze — powiedział sobie — zamknę oczy i wytrzymam tak bez myśli, bez ruchu, jak najdłużej, całe godziny, dopóki się nie przewali ten czas.

I tak stężały siedział, zmuszając się, aby wytrzymać w tej pozycji jak najdłużej.

Minuty zaskrzepeły na długi czas.

Wkońcu po chwili tak długiej, jak nieprzeżyta doba — otworzył oczy. Pięć minut po pierwszej.

Kozytarz, papiery, dziecko, ten sam zakłopotany, starczy uśmiech.

Nic się nie zmieniło.

Wszystko zdrewniało, nie posuwając się naprzód, zastygło w bliskiej obecnej chwili.

Nagle odkrył Zaruba człowieka.

Siedział w kącie, bez ruchu, tak jak i on sam i nie spał.

— Ten człowiek jest w tem samym, co i ja położeniu. Nie może przespać czasu. O czem myśli? O czekaniu bez końca, tak jak ja?

Człowiek wzdrygnął się, jakby zrozumiał to pytanie i jakby ono było dla niego niemiłe.

Zaruba niechcący wpatrzył się w jego bezkształtną twarz. Dojrzał na niej spokojny odruch. Tak, jakby ktoś odpędzał natrętną muchę.

Nagle ten człowiek wstał, na palcach przeszedł korytarz, ocierając się o Zarubę.

— Było panu nieprzyjemnie, że się patrzyłem na pana — odezwał się Zaruba przytłumionym głosem.

— Tak.

Obaj milczeli długo.

— Niech pan spojrzysz — zaszeptał wkońcu człowiek, wskazując palcem na ziemię — to wygląda jak ludzkie oblicze.

— Już przedtem przyglądałem się temu.

— Już się pan przyglądał — powtórzył człowiek melancholijnie. — Pan się więc czuł również tak —

— Jak?

— Niema nic cięższego od czekania, — odpowiedział człowiek.

— Jak się czułem?

— Ciężko. Ciężko czekać. Cokolwiek się zdarzy jest zawsze wyzwoleniem. Ale czekać — tak ciężko!

— Dlaczego pan mówi o tem?

— Dlatego, że ciężko czekać. I pan starał się coś wyczytać w tych twarzach wypisanych prochem i śliną. I pan się dręczył. Nic niema bardziej męczącego, aniżeli obecne położenie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że czekać jest ciężko.

Człowiek umilkł i patrzył w ziemię.

— Gdzie pan jedzie? — zapytał Zaruba po chwili.

— Jadę tak tylko, — odpowiedział zapytany w roztargnieniu. — Można bowiem często znaleźć piękne miejsca. Pojedzie pan tak daleko, że już o niczem pan nie myśli i nagle znajdzie się pan w takim miejscu: potok, albo źródło w lesie, albo dzieci — coś nieoczekiwanego, coś pięknego. A wtedy zaskoczony zrozumie pan, co to jest szczęście.

— Co to jest szczęście?

— Nic. Spotkanie z niem jest takie proste. Krótko mówiąc, wzbudza ono podziw. Czy myślał pan kiedyś o pogańskich bogach?

— Nie myślałem!

— To było tak: nikt na nich nie czekał i niespodziewanie ujrzał ich. Gdzieś w wodzie, albo w krzakach, albo w płomieniach. Dlatego byli tacy piękni! O, gdybym to potrafił wysłować! Gdybym to tylko potrafił wysłować!

— Dlaczego pan myśli o bogach?

— Tak tylko. Szczęście trzeba spotkać nagle i niespodziewanie. Jest to tak osobliwy przypadek! Takie nagłe wydarzenie, że rzeczy można: „ach, jaka przygoda!“ Czy pana spotkało to już kiedy?

— Spotkało.

— A wtedy wydawało się to panu snem. To najpiękniejsze jest tylko — przygoda. Tam, gdzie miłość przestaje być przygodą — staje się udręczeniem.

— Dlaczego, dlaczego tak jest!

— Nie wiem. Nie mogłaby trwać, gdyby nie była udręką. Niech pan sobie przypomni: starożytność miała jedno imię na określenie szczęścia i losu. Ale to było imię boskie.

— Fortuna! — pomyślał Zaruba z tęsknotą. — Gdyby mnie spotkała na tej drodze! Ale ciężko jest czekać na los.

— Czekać jest ciężko, — przemówił znowu człowiek — tak ciężko i przykro, że na cokolwiek pan czeka, czeka pan jedynie na: koniec czekania, na wyzwolenie z czekania. Czekanie jest tak ciężkie, że to czego się pan wreszcie

doczeka, nie może już być ani piękne, ani szczęśliwe, ale dziwne samo w sobie i jakieś owiane smutkiem, boleścią tego czekania. Nie wiem nawet jak powiedzieć? Każde wyzwolenie ma to do siebie, że nigdy nie jest prawdziwym szczęściem.

Poco on to mówi? — myślał Zaruba — jakże byłbym szczęśliwy gdybym się doczekał.

— Czekali na boga samotnego, — mówił nieznajomy dalej — ach, jakież był ten człowiek, który przyszedł i wyzwolił ich z czekania? Nie jaśniał ani postawą ani zewnętrznym pięknem, on z mężów najostatniejszy, mąż boleści! Dźwigał wszystkie ułomności człowiecze i człowieczy cierpiał ból, jakby nie był Bogiem.

— Dlaczego pan mówi o tem?

— Bo jak pan widzi — czekać jest ciężko, to Boga nawet złamie i upokorzy. Niech pan oczekuje przez lata jakiegoś szczęścia, wielkiego i pięknego wydarzenia. Gdy przyjdzie wkońcu, będzie jakieś małe i posępne, będzie jak ból. Ale pan powie: „Tak, Boże! to jest to, na co tyle lat czekałem, aby mnie wyzwoliło!”

— Co pan przez to rozumie?

— Rozumiem przez to, że jedyną nagrodą za czekanie, jest koniec czekania. I tylko dlatego istnieje czekanie, aby się mogło skończyć.

Dlatego — — dlatego trzeba czekać. To jest treść naszej wiary!

— Jakiej wiary?

— Jakiegokolwiek, — odpowiedział człowiek i umilkł.

Ludzie na korytarzu budzili się. Zaczęli się przechadzać.

Bezzębne dziewczątka, okryte szalem, usnęło w objęciach matki.

Przez korytarz przelewało się trochę życia. Było ono bezmyślne i nieporządne, ale w każdym razie obudziło się i mogło się utrzymać.

— Co pan rozumiał przez tych bogów? — zapytał nagle Zaruba głośno.

— Byli piękni, — mówił człowiek. — Do tego stopnia, że gdy ci tylko sprzyjało szczęście, albo los — i zobaczyłeś ich — przez to samo sam stawałeś się trochę bogiem. Tak sobie myślę, że piękno i szczęście są przedziwne i mogą się zdarzyć tylko przez cud i los. Ale kto czeka — — kto czeka na coś, co się zdarzyć musi, doczeka się nie piękna i szczęścia, tylko czegoś, co zakończy jego czekanie. Niech pan popatrzy, każdy czeka — — — i pan. Zeszliśmy z drogi radości, aby czekać na wielkie rzeczy. Ach, czekanie jest strasznym napięciem życia. Prawie takim, jak wiara. Ale czem dłużej czekamy — — — Niechże

przyjdzie cokolwiek, będziemy odkupieni. Niech pan patrzy już jest dzień.

Na dworzec zwałił się prąd ludzi ze śmiechem, kaszlem i hałasem. Zgiełk przesunął się przez korytarz jak wielka miotła. Zmiotł zatechłą ciszę i owiał zapyłone głosy.

Pasażerowie wstawali z ławek, strząsali z oczu pajęczynę senności i spoglądali na siebie bez nieprzyjaźni, złączeni wspólnymi przeżyciami nocy.

Ale na dworze — za oknami — świtał dzień.

Człowiek, który mówił, zginął Zarubie z oczu. Zagubił się między ludźmi.

Nowy tłum, bilety, krzyk i dzwonienie.

Czarny i huczący pociąg wjeżdżał na dworzec. Wessał tłum, zasyczał, odetchnął parę razy i ruszył do celu.

— Boże! tylko szybciej! — myślał Zaruba. — Jeszcze nie wszystko stracone! Jeszcze pozostaje nadzieja.

NA POMOC!

И. П. П. П.

Spostrzegł, że jest na rozległym stoku, porośłym pięknymi drzewami.

— Przecie to Francja — odgadł nagle — może wsiałem do innego pociągu. To rzeczywiście dziwny pociąg. Same obce twarze, które się ze mnie śmieją, jakbym był źle ubrany. A pociąg jedzie tak dziko, że okna brzęczą.

Broż wyrwał się ze snu. Ktoś pukał w okno.

— Kto to? — wykrzyknął Broż z zapartym oddechem.

— Proszę pana — mówił na dworze drżący, kobiecy głos — gdyby nam pan przyszedł prędko na pomoc!

— Idź do diabła! — odpowiedział Broż gniewnie i wwiercił się głową w poduszki.

Ach, pochwycić znowu przerwane włókno snu! Nawiązać sen w tem właśnie miejscu, gdzie był przerwany! Pociąg!

— To było coś o pociągu! — przymuszał się Broż.

I nagle przyszła mu do głowy męcząco — jasna myśl:

— Powinienem się zapytać, co się im stało!

Wyskoczył z łóżka i pośpiesznie otworzył okno. Owiała go pusta, chłodna, czarna noc.

— Kto tu jest? — zawołał.

Nikt nie odpowiadał.

Wtedy wstrząsnął nim chłód. Położył się; znowu odnalazł w pościeli swoje własne, suche ciepło i sycił się niem pożądliwie i nieograniczenie. Znowu opadały jego powieki, a członki ogarniała bezwładność. Och, spać!

Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się Broż w ciemność.

— Kto to mógł być? Nikt się tu we wsi nie troszczy o mnie. Kto to szukał u mnie pomocy? Był to kobiecy głos. Był to niezbadanie bolesny głos. Może chodziło o życie? Wkońcu nie jestem lekarzem! Ale może chodziło o życie.

Zmęczony odwrócił się Broż do okna. Rysowało się jak zimno-modry prostokąt w czarnej, nieprzebitej ciemności. Nigdzie nie pali się. Jest cicho. Tylko zegarek u wezłównia tyka.

— Co się to stać mogło? Jakies nieszczęście? Może gdzieś w sąsiedztwie ktoś umiera, boryka się bezradnie z ciężką chwilą. Nie jestem wkońcu lekarzem!

Ale łóżko męczy i pali.

Broż usiadł na pościeli i z przyzwyczajenia nałożył okulary.

— W jaki sposób — zastanawiał się — mógłbym wogóle dopomóc? Jakbym się mógł przyczynić do tego? Czy coś umiem może, coby

się przydać mogło? Boże! ani poradzić, ani pocieszyć, ani słowami nie potrafiłbym zdjąć z kogoś części brzemienia, ani podeprzeć kogoś obecnością moją. Sam przecie nie pożądam niczego innego, prócz spokoju, prócz tego, aby się pozbyć innych. Co się to stać mogło?

Wtem wpadła mu myśl do głowy, aby zaświecić lampę.

— Może zobaczą, że świecę i przyjdą znowu. Będę świecił. Okno moje będzie jak latarnia morska. Gdy przyjdą, zapytam się, co się im przytrafiło. Przynajmniej przekonam się, że rzeczywiście nie mogłem im w niczem pomóc.

Z góry pocieszony wtulił się Broż w poduszki. Z natężoną uwagą czekał, czy zaskrzypią wrota i czy odezwie się za drzwiami ten sam głos kobiecy, proszący. Ale dręczył go tylko tykający bieg zegarka. Napróżno usiłował go zatrzymać.

Była trzecia godzina.

Powoli kładło się mu na piersi przykre brzemie niepokoju i wzruszenia.

Nikt nie przychodził.

Wahając się chwilę — począł się Broż szybko ubierać.

— Zapewne tam, gdzie się coś stało — mówił sobie — będą świecić. Zapukam więc do okna. Tak czy owak nie będę już spał. Nic

tam wprawdzie nie pomogę, ale — Może są tak bezradni — —

W pośpiechu poplątał sznurowadła u bucików i przeklinał je. Wreszcie udało się mu związać jakiś niezwykły węzeł.

Wybiegł przed dom.

Było czarno, zupełnie czarno. Broż puścił się uliczką w dół, wypatrując światła w oknach.

Nigdy dotąd nie widział wsi tak bezświadomie uśpionej, tak obcej wszelkiej czujności — tak obcej.

Nigdzie nie było migotliwej, nocnej lampki, nigdzie ani prążka światła, przeciskającego się przez okiennice.

Przerażony stanął przed kaplicą. W oknach dygotał słabiutki odblask świeciłka. Błądził płomień.

— Wieczna lampka — zrozumiał po chwili i poszedł dalej.

Ale nigdzie nie świeciło się. Wszędzie było ciemno. Tylko trochę bladeści rysowało się na przepoconych ścianach.

Pocichu wracał Broż do domu, nadsłuchując przed niemymi domkami.

— Czy nie odezwie się wewnątrz któregoś lament? czy nie poruszy się cicha bezmocz? Czy nie zapłacze kobiecy głos? — sondował Broż przepastne przestwory milczenia — nic, ani głębszego oddechu, nic. Czy nie zaleci

z obszaru nocy, z jakiejś dalekości, z jakiejś strony świata rozdzierający krzyk o pomoc?

Jak obcy jest ten śpiący świat, który nie mówi! Który nie wykrzyknie bolem! który nie zawoła o zbawienie! Gdyby się teraz podniósł najcichszy lament, czy nie chwyciłby się go żarliwie, czyż nie oparłby się o niego, jak o słup, czyż nie czepiłby się go jak światła rozblęsnętego w ciemnościach!

— Innym dopomagać chcesz — odezwał się w nim jasny i drwiący głos — a sam sobie nie możesz dopomóc!

— A dlaczegoż w istocie jest tak? — myślał Broż w bolesnem zdumieniu.

— Wszak raczej dlatego, ach, właśnie dlatego, że sam sobie dopomóc nie możesz. Kto sobie dopomóc może — będzie pomagał sam sobie — ale ty, który nie umiesz tego — nie jesteś tu zgoła potrzebny.

Broż stanął, jak uderzony.

— Sam sobie dopomóc nie możesz? Ale dlaczego tak jest właśnie? Czy potrzebuję wogóle pomocy — — — od siebie samego, albo od kogokolwiek? Czy jest mi tak źle? Boże, to nie! Przecie żyję ze swego i niczego więcej nie pragnę. Tylko, abym przeżył swe dni dla siebie samego. Nie mam niespełnionych marzeń. Sam sobie dopomóc nie mogę? Niema w czem — Nigdy mi to nie przyszło na myśl.

Niech wszystko zostanie jak jest: dzień po dniu, aż do chwili, której dojrzeć nie można.

Dzień po dniu?

Broź usiadł na kamieniu i wpatrywał się bez ruchu w ciemność, jakby potajemnie śnił dalej — przerwany sen, albo jakby się mu zwiadywały dni po dniu, miesiące i lata, aż do chwili, której dojrzeć nie można.

— Nic się już nie zmieni! co się ma zmienić? Zdarzenia uciekają, a lata biegną, ale dzień po dniu nadchodzi, jakby się wogóle nic nie działo.

Upłynął dzień: i cóż z tego? Przecież dni są równe — jutro przyjdzie ten sam dzień! Tylko kiedy upłynie znowu!

I codziennie powiedzieć sobie mogę: nie straciłem niczego, prócz dnia! Niczego więcej, prócz dnia! Dlaczego więc ta tęsknota?

Broź tarł sobie mocno czoło: czy dlatego, abym się przewyciężył? Jestem niewyspany. Zatrzymałem się, a dni narosły wokół mnie, jak mury; dzień za dniem ułożyły się równo i ciężko, jak ściany. Już wkrótce się przebudzę. Ale czyż ten dzień, który zastanę dookoła będzie niezwykły i nowy? Czy nie będzie złożony z tysiąca przeszłych dni, jak z cegieł ściany? I powiem sobie znowu: to jest przecie jeden z tych dni, których tysiące ułożone są jak ściany. Dlaczego nadszedł? Przecież

wczoraj było ich o jeden mniej! Czy warto było obudzić się na ten jedyny dzień?

Wszystka ospałość opuściła go nagle.

— Przecież to jest więzienie — zrozumiał przestraszony — tyle lat żyłem, jakby we więzieniu!

Szeroko rozwarł oczy. Było mu tak jakby się rozświetliły nagle wszystkie te smutne lata: dziwnie obce, jeszcze dziwniej znajome, wszystkie dni, dni bez liczby.

— Ach, więzienie! — wyrwał się Broż — czyż nigdy nie przebudzę się w niezwykczajnym dniu? Czyż nie czekam na to codziennie (— ach, więzienie!), czy nie czekałem zawsze?

Zrozumiał nagle (— rozświetliły się minione lata!).

— Ach, czyż nie zatrzymałem się w istocie po to, abym czekał na niezwykczajny dzień?

Rozświetliły się minione lata.

— Patrz, Boże! — szeptał Broż, wpatrując się w niebo — nie będę już dłużej taić przed tobą. Czekałem na Twoją pomoc! na cudowne wyzwolenie! Czekałem, przeczuwając, że nagle się stanie coś wielkiego, że nagle ukaże się światło w szczelinach i wśród szybkiego kołania do drzwi rozkaże silny głos: „Łazarzu, wstań“. Tyle lat czekałem na silny głos zwycięzcy! Nie przyszedłeś i ja już nie liczę na ciebie. Ale jeżeli czekam jeszcze, to na po-

moc i na wyzwolenie! Na jakiś głos, który mnie wywoła z mego więzienia! Może nawet nie jest silny, ale tak słaby, że trzeba go podprzeć własnym głosem. Może to nie jest nawet głos rozkazujący, ale proszący: „Łazarzu, wstań, abyś nam pomógł“.

Sam sobie dopomóc nie możesz, kto tobie dopomoże? Kto przyjdzie wyzwolić ciebie, który sam się wyzwolić nie możesz?

Wszystko śpi w nieświadomym spokoju. Na wargach śpiącego tyka dziecięcy ból. Chłopięcy sen. Coś o pociągu? Uciekający sen kreśli się na ścianach więzienia.

Ale niespodziewanie przyjdzie, zastuka w okno i wywoła ciebie ze snu — niezwykajny dzień!

Czy poznasz go z oddali i wyskoczysz niezaspiany?

Może czekałeś na wstrząśnienie świata: „usłysz ciche, błagalne wołanie“.

Może dzień, na który czekasz nie przyjdzie nawet jako dzień świąteczny, tylko poprostu jak dzień powszedni, jak poniedziałek życia — nowy dzień!

Nad lasami świta.

SPIS RZECZY.

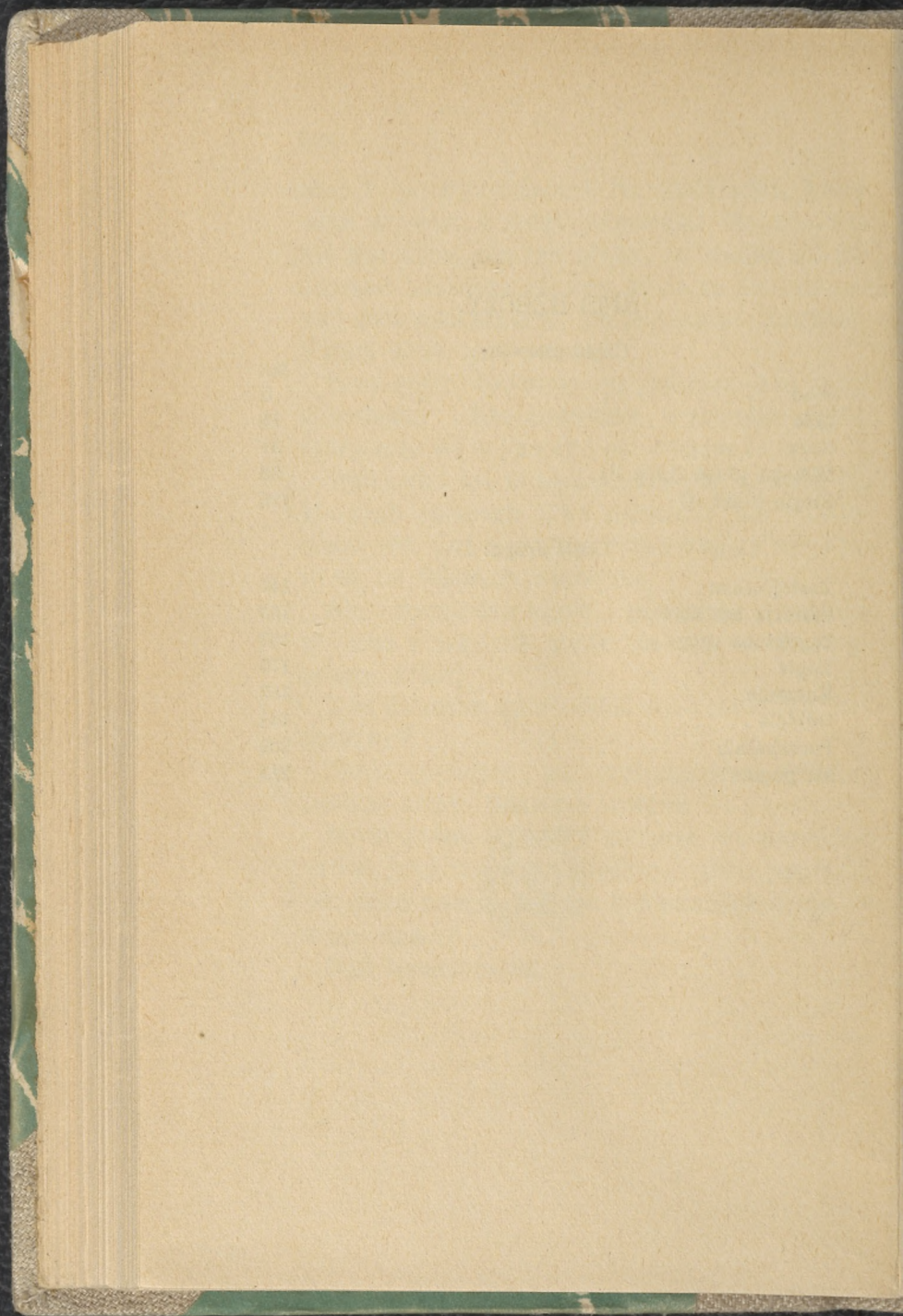
Część pierwsza:

	Str.
Ślad	5
Lida	19
Góra	51
Miłosna pieśń (Lida II)	93
Elegja (Ślad II)	123

Część druga:

Zastój czasu	147
Historja bez słów	153
Zagubiona droga	163
Napis	175
Kuszenie	185
Odbicia	194
Poczekalnia	203
Na pomoc!	225





KSIĘGARNIA NAKŁADOWA F. HOESICKA
WARSZAWA.

BIBLIOTEKA SŁOWIAŃSKA
W PRZEKŁADACH
STANISŁAWA ALBERTI

TOM 1:

Alojzy Jirásek: *Historja Filozofów.*

TOM 2:

Władysław Vančura: *Piekarz Jan
Marhoul.*

TOM 3:

Karol Čapek: *Boża męka.*

TOM 4:

Jerzy Wolker: *Gość w domu.*

*W ciągu roku 1927 ukaże się serja przekładów
z literatury czechosłowackiej:*

Karol Čapek: *Listy z Anglii.*

Jerzy Karásek ze Lvovic: *Dusza
gotycka.*

Franciszek Šrámek: *Ciało.*

Mateusz Čapek-Chod: *Turbina.*

Józef Svatopluk Machar: *Kryminał.*

Marcin Kukučín: *Dom na stoku.*

Karol Čapek: *Adam stwórca.*

Igor Hrušovský: *Człowiek z protezą.*

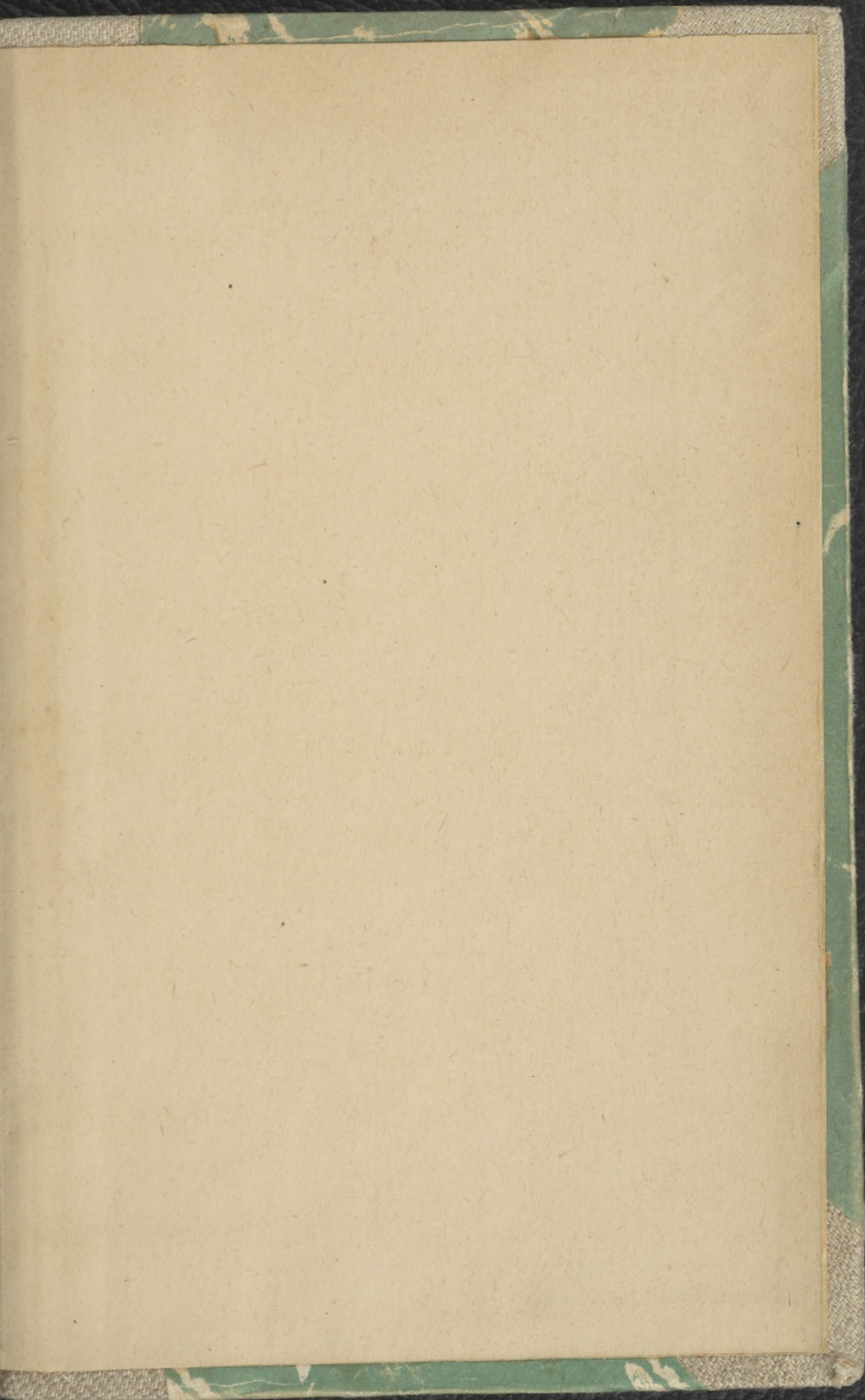
Ignacy Herrmann: *Z notatek Pawła
Czamardy.*

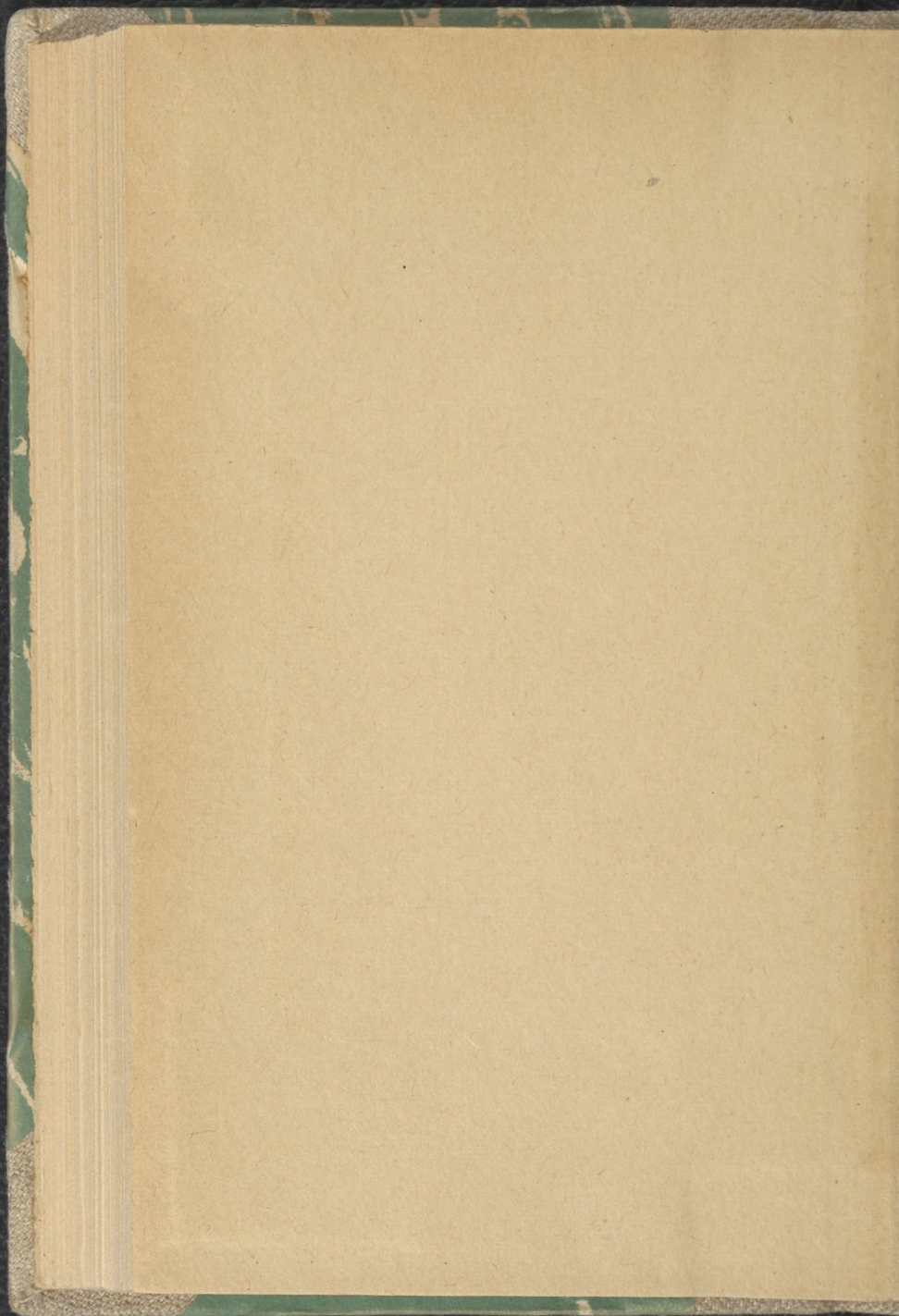
Szymon Baar: *Jan Cimbura.*

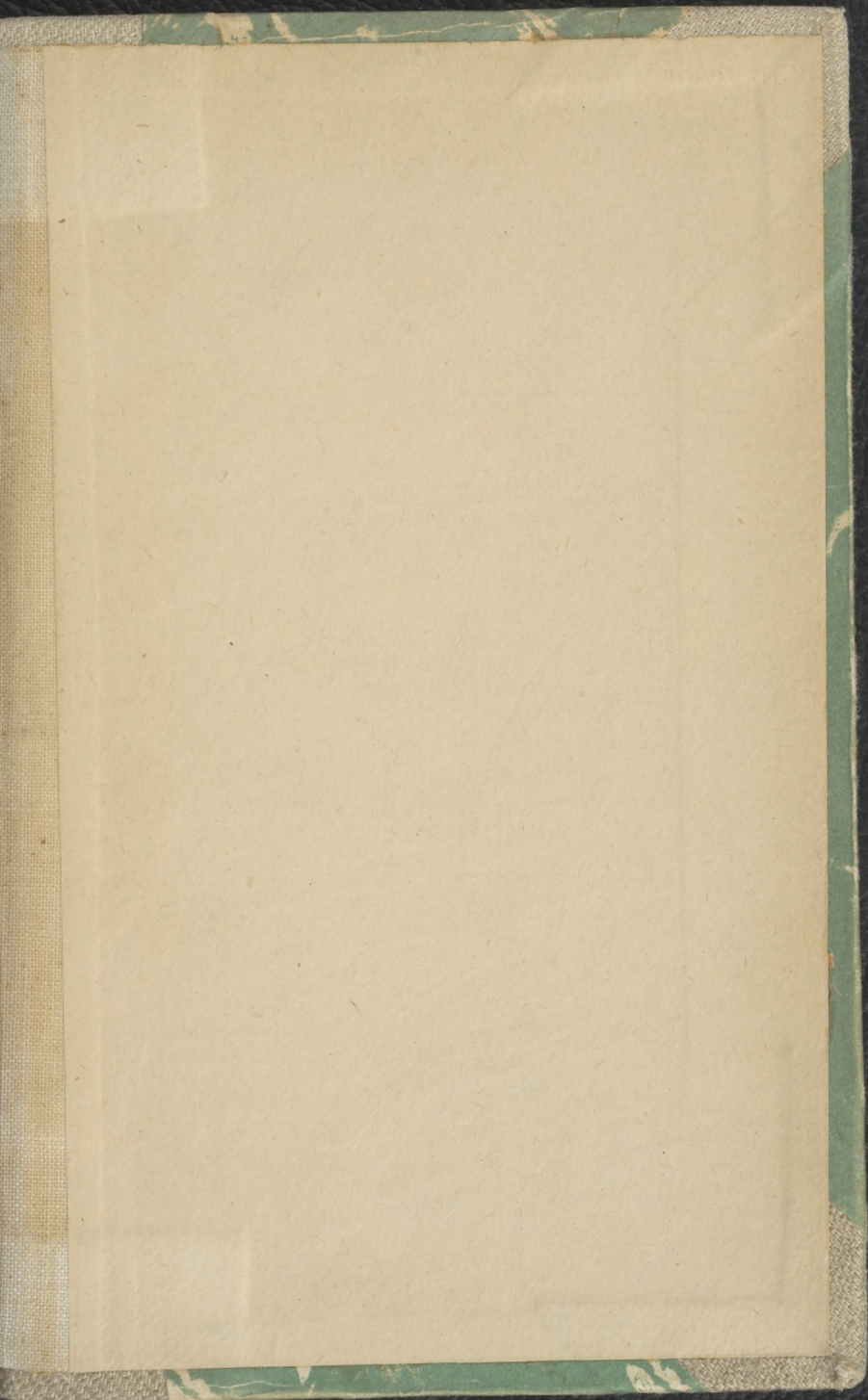
Antoni Sova: *Tomasz Bojar.*



B-ka Universytek
Tamm 2. 1. 1900









265736

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001002436121